

a-tak



pismo anarchistyczne ⑥

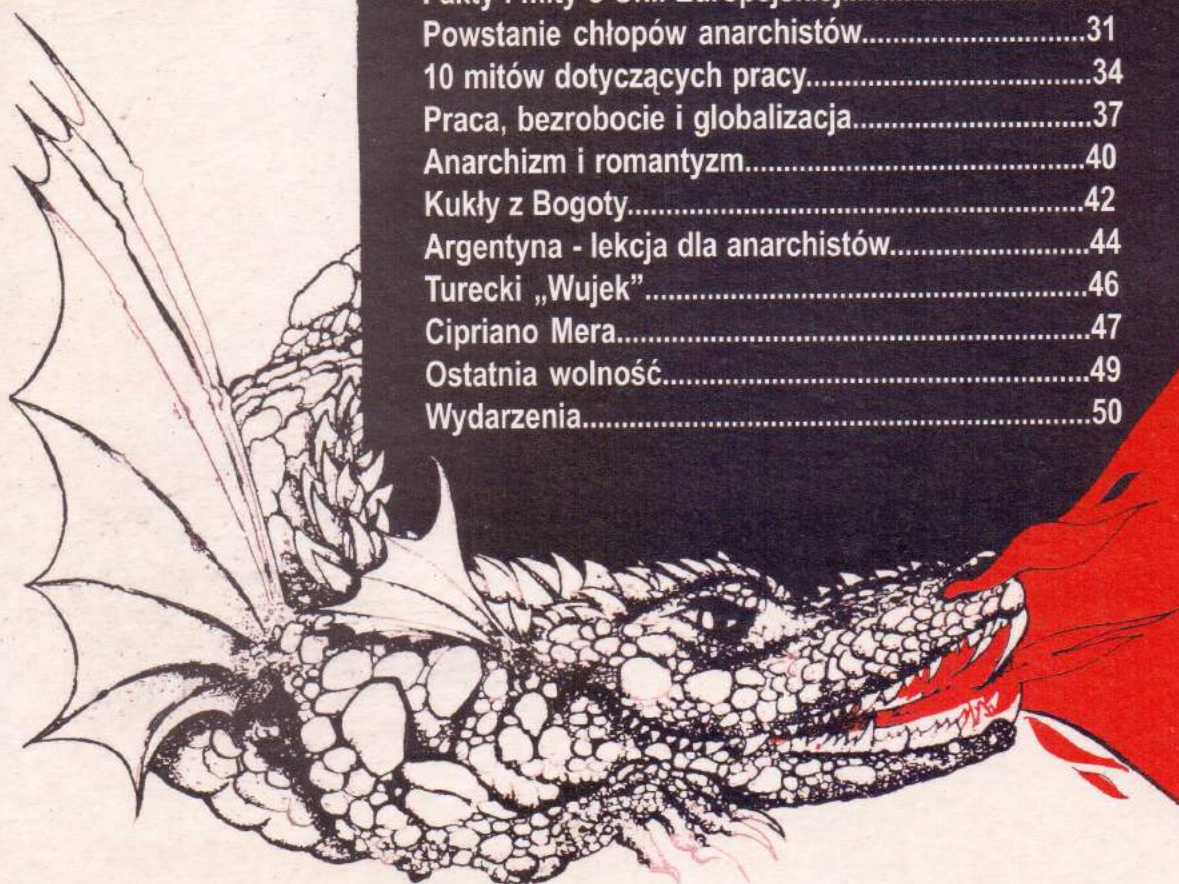
JEDNOSTKI

無政府狀態

Redagują: Rafał Górski, Łukasz Dąbrowiecki
Ilustracje: Kuba Sowiński, Rene Magritte,
Frans Masereel, Ferdynand Hodler i inni
Korekta: Inni i Rafał Pytlewski
Kontakt: atak@poprostu.pl Numer 6, lato 2002

Spis treści:

Kodeks pracodawcy.....	3
Mieszkać i pracować w De Nieuwe Blauwen.....	4
Ogrody anarchii.....	9
Anarchitektura.....	10
Eksmisja do Czeczenii.....	13
Europolicja.....	15
Eko-kapitalizm.....	17
Nieudane związki.....	20
Londyński „bon voyage”.....	21
Nowy lumpenproletariat?.....	22
Od spółdzielni do prywatdzielni.....	23
B.I.E.D.A.....	24
Klimat na neokolonializm.....	25
Syndrom morderczej żony.....	27
Fakty i mity o Unii Europejskiej.....	30
Powstanie chłopów anarchistów.....	31
10 mitów dotyczących pracy.....	34
Praca, bezrobocie i globalizacja.....	37
Anarchizm i romantyzm.....	40
Kukły z Bogoty.....	42
Argentyna - lekcja dla anarchistów.....	44
Turecki „Wujek”.....	46
Cipriano Mera.....	47
Ostatnia wolność.....	49
Wydarzenia.....	50



Kodeks Pracodawcy

Mało satysfakcjonujące są rozważania o lepszym urządzeniu klatki, w której przyszło nam żyć. Niestety, ofensywa prowadzona przez organizacje pracodawców (Konfederacja Pracodawców Prywatnych, Business Center Club), ekipę rządową i usługowych publicystów wymusza podjęcie tematu proponowanych zmian w kodeksie pracy. Na samym wstępie należy jednak zauważyć, że wszelka dyskusja o reformach w ramach kapitalizmu jest z gruntu jałowa, bowiem zmiary są zawsze albo nietrwale, albo uwzględniają wyłącznie interes silniejszego (w tym przypadku pracodawcy). Tak czy owak nie zaszkodzi, jeśli przyjrzymy się argumentacji strony przeciwnej. Całą nagonkę przeciw prawom pracowniczym rozpętano pod hasłem walki z kosztami pracy, jako głównymi przyczynami rosnącego bezrobocia. Badania kosztów pracy dla całej gospodarki przeprowadzono w Polsce tylko dwa razy, w roku 1996 i 2000. W dużym stopniu są już nie aktualne. Skoro jednak pracodawcy i rząd uznają je za obowiązujące, przekonajmy się jak sytuuje się Polska w międzynarodowym przeglądzie kosztów pracy na przeciętnego pracownika. W ostatnim raporcie OECD (Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju) obejmującym wszystkich 29 państw członkowskich Polska zajmuje dopiero 27 miejsce! Mamy więc jeden z najniższych bezwzględnych poziomów kosztów pracy. Tzw. czynnik ludzki jest najtańszym na tle innych czynnikami produkcji w Polsce. Szczytem arogancji lub ignorancji jest mówienie, że większa swoboda w wyrzucaniu na bruk pracowników i w obniżaniu wynagrodzeń zaowocuje mniejszym bezrobociem. **Tak naprawdę to nie pracodawcy, lecz potrzeby konsumentów tworzą miejsca pracy.** Żądanie, by pracownicy bez końca zaciskali sobie pasa doprowadza teraz już do tego, że kupują oni mniej towarów i usług oferowanych przez pracodawców. Ci ostatni mogą chyba przyswoić sobie tę prostą wiedzę, że „koszty pracy” to również „siła nabywcza” od której zależą ich zyski i skala zatrudnienia. Oszczędności niech szukają gdzie indziej. Znacznie wyższe są na przykład tzw. koszty zewnętrzne: podatek od dochodów i składki na system ubezpieczeń społecznych. Są to koszty związane z istnieniem aparatu państwa, niezależne od Kodeksu Pracy. Jednak i w tym wypadku należy być ostrożnym. Przecież majstrowanie przy

wysokości składki na cele zdrowotne może się zakończyć kompletna destrukcją tego, co jeszcze zostało z publicznej służby zdrowia. Innym czynnikiem hamującym wzrost gospodarki są podatki pośrednie; akcyza na prąd, podwyższenie VAT-u na zabawki i mieszkania, akcyza i podatek drogowy wliczane w cenę paliwa, podniesienie składki ubezpieczenia O.C. Wszystko to razem wygląda dość beznadziejnie. **Trudno się powstrzymać przed uwagą, że oprócz państwa drugim zupełnie niezbędnym kosztem pracy są sami pracodawcy, którzy potrafią jedynie narzekać i czerpać profity z cudzego wysiłku.** Często spotykam się z argumentem, że należy nagrodzić praco-

żart. Póki co musimy jednak działać w ramach tego, co jest możliwe tu i teraz. Najbardziej skuteczną formą walki z bezrobociem wydaje się wspieranie samozatrudnienia ludzi, którzy są bezrobotni. Zwolnienie z płacenia podatków, uproszczone przepisy i kredyty powinny objąć te osoby, które zdecydują się rozpocząć działalność gospodarczą bez pasytywowania na czyjejkolwiek pracy. Wspomniane warunki mogą spełniać spółdzielnie pracy, w których każdy pracownik będzie miał realny udział w zarządzaniu i w podziale wypracowanego dochodu. Wymagałoby to uchwalenia nowego prawa o spółdzielczości i zagwarantowania powyżej opisanych praw pracowniczych w



dawców większemu prawnieniami, ponieważ podejmują oni ryzyko inwestując w nowe miejsca pracy. Po pierwsze, nie robią tego z pobudek humanitarnych, lecz dla pomnożenia kapitału. Po drugie, ryzyko inwestycyjne podejmowali tak samo właściciele niewolników kupując ubrania i narzędzia dla niewolników, o kapitale włożonym na krzewy bawełniane nie wspominając. Jeszcze bardziej igrali z losem handlarze niewolników. Mogli zbankrutować, jeśli zbyt wielu kajdaniarzy zmarło w transporcie, albo dopadli ich piraci czy inne nieszczęście. Sugestia, że pracownicy mają się wyrzec swych praw i wolności na rzecz szefów, bo ci podejmują ryzyko można uznać za dość koszmarny

umowie o pracę. Podobne rozwiązania zawierała uchwalona z inicjatywy „Solidarności” Ustawa o Przedsiębiorstwie Społecznym z 1981 roku. Ulgi fiskalne i administracyjne mogą być również nagrodą dla spółek skarbu państwa i przedsiębiorstw komunalnych, które uznają prawo pracowników do współzarządzania. W żadnym wypadku nie warto wspierać firm, w których dojdzie do podziału na pracodawcę i pracownika najemnego. Wspomniana relacja jest w końcu jednym ze źródeł kryzysu zatrudnienia. Umilanie życia biznesmenom nie poprawia sytuacji pracowników. Zmiany systemowe powinny iść w kierunku usamodzielnienia tych ostatnich. R.G.

Mieszkać i pracować



U progu dwudziestego pierwszego wieku zdajemy sobie sprawę, że pluralizm socjalny i kulturowy stały się nieodłączną częścią życia miejskiego. Prawo do wyboru własnych przyjaciół, sąsiadów i kolegów - niegdyś uważane za transgresję, sekciarstwo lub zamykanie się w getcie - stanowi dziś silną broń w rewolcie społeczeństwa przeciwko odosobnieniu, samotności, anonimowości i nudzie. Przełom tożsamości zbiorowych (od blokiersów po staruszków, od gejów po Fryzyczyków, od wegetarian po ćpunów itp.) należy więc uważać za przejaw rozwoju społeczeństwa. Widzimy również, że służby planowania oraz korporacje budowlane wykazują rosnące zainteresowanie takimi zbiorowościami, które znowu wpływają na - zbiorowe lub nie - mieszkalnictwo i budownictwo mieszkaniowe. Raporty zarządów wskazują mimo to na małe zainteresowanie motywami socjalnymi i kulturowymi, ale wspólnoty mieszkaniowe oceniane są przede wszystkim z punktu widzenia ekonomicznego. Wiele publikacji - niezależnie od dobrych intencji - często ogranicza się do prezentowania tabel, statystyk, obliczeń i porównania inwestycji.

Komuny, spółdzielnie i wspólnoty mieszkaniowe stały się wreszcie akceptowanymi praktykami socjalnymi w ramach odnowy miasta. Jeżeli dysponujesz świadomością historyczną, możesz uważać ten rozwój za zwycięstwo utopizmu i kolektywizmu. Jednak większość publikacji przyjmuje wrogą postawę wobec idei lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, w których pojęcia takie jak kolektywizm, utopizm i kontrkultura odgrywały ważną rolę. Zagadnienia ideologiczne często wydają się dziś nieobecne. W studium wykonanym przez Els de Jong, *Woon-Werk projecten in Zelfbeheer. Mogelijkheden en Ervaringen* (Rotterdam 1991) zestawione zostały zalety wspólnot mieszkaniowych:

- wspólna własność jest dobrą i opłacalną alternatywą dla rynku mieszkaniowego, ponieważ łączy zalety kupowania i wynajmowania;
- aktywny udział w procesie renowacji wydaje się szczególnie atrakcyjny pod względem finansowym i wpływa na wysokość czynszu;
- samorząd wspomaga spójność socjalną między mieszkańcami i może wpływać na strukturę socjalną sąsiedztwa;
- poprzez własnoręczne budowanie mieszkańcy mogą stawiać wymagania odnośnie jakości i dokonywać wyborów w zakresie stosowanych materiałów budowlanych;
- wspólnoty mieszkaniowe mogą wspierać powstawanie nowego rodzaju działalności socjalnej i ekonomicznej.

Laboratoria socjalne

Jednak najważniejszy wniosek kryje się w myśli, że wspólnoty mieszkaniowe istnieją na zasadzie dobrowolności. Ponieważ takie życie wymaga wiele czasu i energii, nie można narzucać ludziom samorządu - ludzie powinni sami się na

niego zdecydować. W formach współżycia takich jak nasze, gdzie punktem wyjścia są prawa i obowiązki indywidualnego obywatela, wspólnoty mieszkaniowe zawsze są eksperymentem socjalnym. Ludzie muszą się często nauczyć, jak zorganizować wspólnotę i w niej przeżyć. Z tego punktu widzenia wspólnoty mieszkaniowe są laboratoriami socjalnymi, gdzie wykonuje się eksperymenty na działalności wspólnoty. Niestety ten aspekt eksperymentalny jest często nieobecny w literaturze fachowej. Każdą wspólnotę tworzą różni ludzie, różne postawy i sposoby życia, różne tła kulturowe i ekonomiczne, różne konteksty i lokalizacje geograficzne, różne cele i ideały. Jako laboratoria socjalne wszystkie takie projekty głoszą wspólnotę i współpracę - lub też uczestnicy są opłacani złożoną siecią doświadczeń i rozczarowań. Ja sam jestem od blisko 10 lat związany ze związkiem mieszkaniowym De Nieuwe Blauwen w rotterdamskiej dzielnicy Kralingen. Ta wspólnota obejmuje około 45 osób, 18 większych i mniejszych mieszkań, 10 pracowników, 6 małych przedsiębiorstw, jedną restaurację wegetariańską, jeden związek artystów, jedną drużynę piłkarską i klub dla dzieci z sąsiedztwa. Na podstawie doświadczeń w ramach tego projektu chcę objaśnić kilka praktyk socjalnych, nierozzerwalnie związanych z De Nieuwe Blauwen.

Więści z frontu

Od lat osiemdziesiątych De Nieuwe Blauwen stanowi część miejskiego krajobrazu wojennego. Jak wiecie, Rotterdam jest znany ze swojego nowego budownictwa mieszkaniowego, tak zwanego odnowienia miasta. Dziesiątki tysięcy starych domów były przez ostatnie dziesięciolecia burzone całymi dzielnicami, i na ich miejsce budowano całe dzielnice nowych mieszkańców. W starych dzielnicach, takich jak Het Oude Noorden, Crooswijk i Kralingen wiele osób - mając w głowie jedynie odnowę miasta - permanentnie szukało nowego mieszkania, w którym można by czasowo zamieszkać. Ja sam w ciągu dziesięciu lat mieszkalem w ośmiu różnych mieszkaniach. Czasowe pustostany nie tylko stanowiły smaczny kąsek dla nielegalnych lokatorów, ale również idealistyczni pracownicy społeczni przypasowywali nowe funkcje dla pusto stojących budynków. W latach osiemdziesiątych pojawiła się w tym zakątku miasta nieformalna sieć, w której uczestniczyli Woongroepenwinkel, garstka lokatorów-anarchistów i kilku pracowników społecznych. Grupa ta wymieniała pomysły na temat innej odnowy miasta, krytykowała gminę za jej bardzo rygorystyczne wyburzanie i planowała zachowanie interesujących budynków. Z wielu przyczyn skupiliśmy się na Vlinderbuurt, wielokulturowej okolicy pracowniczej położonej między Crooswijk a dobrze usytuowaną częścią Kralingen; wielu z nas mieszkało w pobliżu; pomysł domu sąsiedzkiego pasował do naszych planów; wreszcie - okolica oferowała budynki umożliwiające wielorakie wypełnienie. Po okresie protestów i negocjacji zawarliśmy umowę z właścicielem posesji przy Vredenoordlaan, obejmującej osiemnaście mieszkań. Pięć z tych mieszkań było już zajętych i namawialiśmy przyjaciół, aby głównie tu szukali



mieszkań - proces przyspieszający negocjacje. Wreszcie budynek sprzedano gminnemu przedsiębiorstwu mieszkaniowemu za symboliczną sumę kilku guldenów. Według umowy mieliśmy odnowić cały budynek, zgodnie z wymogami ustawodawcy. Skutkiem tego wszystkiego nielegalni lokatorzy i pozostali obdarowani zorganizowali się w związek pod nazwą De Nieuwe Blauwen (żart słowny i wariacja na temat „Het Nieuwe Bouwen” - „rewolucyjny” styl, w którym budynek został zbudowany w latach czterdziestych przez architektów Van Tijen i Maaskant, czyli głównie ze stali, szkła i betonu).

Na początku tego akapitu odwoływałem się do obszaru wojennego: wielkie projekty, takie jak odnowa miasta, nie są adresowane do indywidualnych mieszkańców i kolektywów - angażują one całą okolicę. Władze okupują dane terytorium i oddają je wykonawcom, kratom, ogrodzeniom z drutu kolczastego, ćpunom kradnącym ołów i cynk oraz nadzorowi policji. Vlinderbuurt, a szczególnie nasz budynek przy Vredenoordlaan, już od lat znajdują się na prawdziwej linii frontu. Podczas odnowy miasta okazało się, że stara fabryka gazu (nasi sąsiedzi) w tak poważnym stopniu zanieczyściła ziemię, że konieczne było uzdatnianie gleby. W konsekwencji z De Nieuwe Blauwen rozpościera się widok na opuszczone miasto duchów - największy program uzdatniania gleby w historii Holandii. Uzdatnianie umocniło nas w przekonaniu, że zamieszkujemy deprymujący fort na deprymującym polu bitwy. Otoczeni przez barierki, wysokie płoty, głośne maszyny, pędzące ciężarówki, chmury pyłu i piasku oraz urzędników bezpieczeństwa w mundurach można odnieść wrażenie, że przekroczyło się granice porządnego Rotterdamu. Podkreślam ten kontekst, ponieważ ma on głęboki wpływ na nasze zewnętrzne i wewnętrzne kierownictwo - przyczyniając się w ten sposób do naszej kolektywnej tożsamości i opowieści.

Jako członków De Nieuwe Blauwen łączył nas tylko jeden czynnik: nasza zależność od tego specyficznego budynku we Vlinderbuurt. De Nieuwe Blauwen nie są wynikiem wypracowanej serii idei lub grupy przyjaciół. Tutaj sam budynek narzuca wspólnotę, a samorząd nadaje jej formę i znaczenie. Większość z nas była zbyt biedna, aby zainwestować w projekt pieniądze - stąd wspólnota wydawała się jedyną realistyczną opcją, aby tu przeżyć. Wcisnięci między odnowę miasta i uzdrawianie gleby, i znienacka zamknięci w budynku, który stał się naszą własnością, zostaliśmy skonfrontowani z narodzinami nowej wspólnoty miejskiej. W grupie wyróżnić można było trzy frakcje: przede wszystkim lokatorzy-imigranci, nowi mieszkańcy miasta. Ponadto była mała klika zawołanych anarchistów, wykorzystujących odnowę miasta jako forum do głoszenia pluralizmu socjalnego i kulturowego. Wreszcie miejscy włóczędzy, w ciągłym poszukiwaniu tanich mieszkań, którym odnowa miasta depcze po piętach - jak wiadomo mieszkania, które dopiero mają być remontowane, są bardzo tanie.

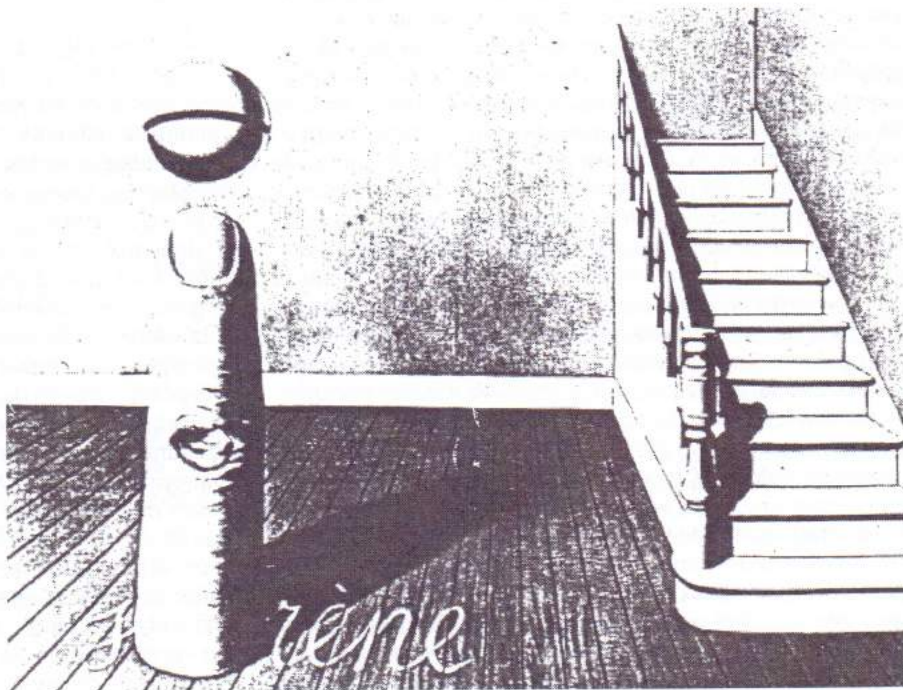
Różni ludzie, różne motywy do mieszkania we Vlinderbuurt, różne tła i mentalności... jak, na litość Boską, zaprowadzić porządek w tak niejednorodnym towarzystwie? W czasie naszych pierwszych prób współpracy od razu stało się wyraźne, że musimy kierować się w stronę strefy egzystencjalnej: właśnie przejętego w posiadanie budynku. Uzgodniliśmy, że będziemy inwestować w proces renowacji osiem godzin tygodniowo, i tą zasadę wpisaliśmy w umowę najmu, którą wszyscy podpisali. Naprawianie, utrzymanie i zarządzanie budynkiem stały się centrum naszej nowej wspólnoty. Jako grupa byliśmy tak różni, że niemożliwe okazało się stworzenie jednomyślnych stanowisk w kwestiach socjalnych, politycznych lub ekologicznych. Z drugiej strony nasze preferencje dla praktycznej strony projektu okazały się świetnym środkiem cementującym De Nieuwe Blauwen: burzenie, stolarka, malowanie, gipsowanie i ogrodnictwo okazały się nie tylko działalnością dostarczającą wiele przyjemności, ale również kształtowały towarzyskość, wzajemny szacunek i dumę.

Od początku byliśmy zmuszeni do prowadzenia zarządu ad hoc: kiedy napotykalismy na problem, organizowaliśmy spotkanie, na którym musiało paść jakieś rozwiązanie. Tak robimy już od jakichś dziesięciu lat i to nadal działa - chociaż taki proces podejmowania decyzji ma również odwrotną stronę. Każda wspólnota opiera się na bezinteresownych indywiduach, którzy z własnej woli wkładają w nią wiele krwi, potu i łez. Czasem przychodzą ze wspianymi planami, mającymi polepszyć praktyczne aspekty wspólnoty i wspierania spójności socjalnej. Wewnątrz De Nieuwe Blauwen istniała jednak pewna nie-

ufność wobec takich awangardzystów. Nowy plan kosztuje często wiele pieniędzy, i wiele osób obawia się, że będzie to miało bezpośredni wpływ na wysokość ich czynszu. Ponadto dobry plan często kosztuje dużo czasu, a nie każdy jest gotowy do poświęcenia projektowi takiej samej ilości pracy i energii. Wskutek tego nowe plany przyjmowano nieufnie, a „koguciki” otrzymywały niewiele wsparcia od wspólnoty. Taka postawa dominowała również wobec wykonawców i innych zainteresowanych. W okresie niecałego roku zrezygnowaliśmy z koordynatora, projektu stażu pracowniczego władz gminnych, wykonawcy i architekta. Weszliśmy w konflikt z sąsiedztwem i miejscowymi politykami, i kilku naszych członków skrytykowaliśmy do tego stopnia, że wycofali się z projektu. Przysłowie mówi, że każda rewolucja pożera swoje własne dzieci.

Patrząc negatywnie można nazwać nasz proces rozwoju paranoidalnym. Ale patrząc bardziej pozytywnie można uznać, że czyniliśmy próby opanowania niezmiennej złożonej problematyki i próbowaliśmy wyznaczyć się w inwestycjach przewyższających nas o głowę (łącznie około dwa miliony guilderów). Innymi słowy, nasze tempo było o wiele za ostre. Nagle grupka biednych miejskich dziwaków zaczęła prowadzić business, który przyprawiał ich o senne koszmary krążące wokół nieuniknionego bankructwa, rozjuszonego urzędu skarbowego i potencjalnej korupcji wewnętrznej: hej, czy aby na pewno możemy zaufać temu wykonawcy w jego tłustym Mercu? Czy nasz księgowy jest aby na pewno porządnym facetem? Czy ufamy naszym chłopakom i dziewczynom negocjującym z bankiem? I czy jeżeli źle przybijemy tą deskę, to będą nas do końca życia dręczyć komornicy i wnioski o odszkodowanie? Było więc wystarczająco dużo problemów, aby uzasadnić nasze paranoidalne odczucia.

Po pełnym euforii starcie zostaliśmy uwięzieni w gaworzącej wspólnotcie, wewnątrz której każdy wiedział, co należy zrobić. Skutkiem tego była błyskawiczna izolacja od świata zewnętrznego. Ale w tym procesie transgresji powstała jed-



nak prawdziwa wspólnota. De Nieuwe Blauwen przyjęło negatywną tożsamość, aby móc przeżyć nieciekawą okoliczności odnowy miasta i uzdatniania gleby, i poprzez konfrontację z morderczymi regułami gospodarki rynkowej, staliśmy się zwartą grupą; podnieśliśmy głowy i zaakceptowaliśmy naszą wzajemną zależność. Paranoja przerodziła się w dumę, strach przerodził się w wiarę w siebie. De Nieuwe Blauwen stało się obiektem naszej dumy i sąsiedztwo było nasze. Tą transformację ilustruje nasza pierwsza „pieśń ludowa”, która przez całe tygodnie gościła na rusztowaniach dookoła naszego budynku, na których pracowaliśmy, czyli Ice T & Body Count „There Goes the Neighborhood”:

*There goes the neighborhood.
We're here,
We ain't going nowhere,
We're movin' right next door to you.
And those of you who don't like it,
Can suck my muthafuckin' dick.
There goes the neighborhood.*

Nasza początkowa słabość - niemożność „wspólnego” funkcjonowania - stała się naszą nową siłą. Do dziś nie mamy okresowych zebrani, ale spotykamy się w razie potrzeby - większość decyzji podejmowanych jest nadal ad hoc.

Chaosmoza

Odwołując się w dość luźny sposób do francuskiego psychiatry i filozofa Felixa Guattari możemy określić naszą skalę procesów decyzyjnych jako chaosmozę. Jaki wpływ ma to na ludzi? Przede wszystkim niemożliwe są utarte formy podziału pracy: w zasadzie wszyscy mogą zrobić wszystko, i jako związek ciągle wspieramy tą zasadę. Tak więc pracowaliśmy zmieniając rzeczników, przez co „przeciwnicy” nie mogli szybko przejść do sprawy i mieliśmy więcej czasu na rozpracowanie specyficznych problemów. Ponadto członkowie mogą w zasadzie inicjować jak najwięcej czynności. Jeśli znajdziesz członków wspierających Twój pomysł, możesz brać się do pracy. Niezależnie, czy chodzi o ogród na dachu czy system rur zbierających wodę deszczową, organizację meczu piłki nożnej czy przystąpienie do umowy z lokatorami; nie ma to większego znaczenia. I jeśli Twoje pomysły nie nie kosztują, nie musisz mieć pozwolenia od nikogo.

W drugiej kolejności ten sposób pracy wpływa na wiarę w siebie poszczególnych mieszkańców - według mnie jest to najważniejszy argument w sporach ze związkami mieszkaniowymi i pracowniczymi. Nieświadomie, De Nieuwe Blauwen przekształcił „home-boys” i „home-girls” w dumnych mieszkańców własnoręcznie odnowionego budynku, umocnionych w poczuciu wartości trzymania się swojego zdania i opinii. Dzisiejsze życie miejskie - z nieodłączną ideologią Indywidualnego Obywatela - aż zbyt często opanowane jest przez wrogi uczucia takie jak anonimowość, nudę i samotność. Bezrobocie, narkomania, brak wartości socjalnych,



problemy psychologiczne - sprawy, których De Nieuwe Blauwen nie może nie dostrzegać - stają na przeszkodzie pozytywnego obrazu samych siebie. Zawsze jeszcze dziwi mnie sposób, w jakim wspólnota, zwykle nieświadomie, wzmocniła indywidualną i kolektywną wiarę w siebie. Wiele osób nie boi się podnieść głowy, wiedząc, że mogą liczyć na wsparcie sąsiadów. Odmieńcy i osoby na marginesie nie są dręczeni przez konserwatywnych sąsiadów lub agresywną młodzież świadomą przychylności połowy ulicy. Mieszkańcy, którzy mają problemy i chwilowo nie mogą zapłacić czynszu, wiedzą, że ze wspólnotą zawsze mogą się jakoś umówić.

Ponadto nasz nacisk na sprawy praktyczne oferuje możliwość określenia własnego profilu: ceniona jest nie tylko elita

administracyjna, ale również nasi piłkarze w piątej lidze, osoby dbające o nasz ogródek, zespół kucharzy wegetariańskich z knajpki Het Lachende Varken, muzycy, artyści i nawet grupa sztukatorów-samouków. Z tego punktu widzenia De Nieuwe Blauwen jest maszyną socjalną produkującą grupy przynależności - każdy może kształtować koncepcję De Nieuwe Blauwen, zgodnie z pożądanymi wymaganiami lub stylami życia. Koncepcja ta daje również słabym w ręce silną broń: zawsze możesz udawać dyrektora ważnego instytutu, lub członka zarządu związku budownictwa mieszkaniowego, pracownika socjalnego, artystę lub kogokolwiek innego. Czasem wygodnie jest mówić w imieniu lub w ramach jakiejś instytucji - ogół słucha głównie instytucji.

W zasadzie mieszkańcy mogą dowolnie wypełniać koncepcję swoją treścią. Jak długo ta metoda nie dostarcza problemów wewnętrznych, nic się nie dzieje. Jeśli coś się nie uda, to znaczy, że najwyższy czas na nowe zebranie członków. Dodatkowo, wspólnotowa mieszkaniowa daje możliwość nieformalnego podejścia do form wirtualnej władzy: fajne jest nie tylko udawanie, że masz jakiś wpływ; w zbiorowości biednych i bezsilnych konsumentów często dobrym pomysłem jest działanie, tak jakbyś faktycznie był osobą wpływową. Mówiąc językiem bardziej politycznym (ale z przymrużeniem oka) można by określić tą skalę indywidualnych i zbiorowych „występów” jako egoizm komunistyczny.

Wreszcie nasza narzucająca się obecność kształtuje odczucia bezpieczeństwa i zabezpieczenia w okolicy. Nie tylko my pilnie strzeżemy naszych nieruchomości, ale również sąsiedzi trzymają rękę na pulsie (po tym, jak złapaliśmy kilku złodziei, sąsiedzi obdarowali nas kwiatami wdzięczności). Kilka lat temu De Nieuwe Blauwen otworzyło klub dla dzieci i młodzieży. Dzieciaki grają w piłkę, uczą się graffiti, odwiedzają stadion Sparty. Oczywiście, są to działania na małą skalę, ale przysięgam, że mają głęboki wpływ na socjo-kulturalny klimat Vlinderbuurt.

Czas i przestrzeń

Podsumujmy to, co zostało już powiedziane: De Nieuwe Blauwen oferuje szeroki zakres historii socjalnych i międzykultu-

rowych - jest kwiatem doświadczeń, działalności i wydarzeń, połączonych budynkiem, który przejęliśmy mniej lub bardziej przypadkowo. De Nieuwe Blauwen jest głosem zwykłych mieszkańców, którzy próbują zwyciężyć izolację i anonimowość poprzez poddanie małego kawałka miasta swoim własnym rządóm. Ponieważ wielu z nas było bezrobotnych lub parało się sztuką, mieliśmy wiele czasu i wiedzy, które mogliśmy zainwestować w projekt. Na najbardziej podstawowym poziomie wspólnoty mieszkaniowe toczą ciągłą walkę z kolonizacją czasu i przestrzeni. Ciągłe trzeba wyzwać strefę zajęętą przez wroga i ponownie zagospodarowywać ją dla działalności wspólnoty - nieważne, czy jest to kamienica, ferma, zapomniana odnoga rzeki czy nowo wybudowany kompleks mieszkaniowy. Należy też ciągle wygospodarowywać czas i ponownie inwestować. Takie dekodowanie i ponowne kodowanie czasu i przestrzeni w zasadzie uniemożliwia harowanie czterdzieści godzin w tygodniu dla szefa na etacie - to by znaczyło, że istnienie wspólnoty ograniczone jest do week-endów i wakacji.

Rozważania te zwróciły moją uwagę na aktualne zainteresowanie władz miejskich takimi projektami. Wiele osób widzi we wspólnotach atrakcyjną formę prywatyzacji lub deregulacji. Ale wspólnoty mają inny stosunek do czasu i przestrzeni - do pracy i mieszkania, jeśli wolisz - i wydaje mi się niemożliwe, aby łączyć tak intensywne istnienie z zaletami nowoczesnego współżycia: niewolnictwa od zarobków i idei Pana Domu. Argumenty za wspólnotami mieszkaniowymi powinny implikować równocześnie argumenty przeciwko wymuszonej pracy zarobkowej oraz iluzji Indywidualnego Obywatela. Może uchylenie obowiązku socjalizacji oraz wprowadzenie dochodów gwarantowanych (kwestie od dawna podnoszone przez ruch bezrobotnych oraz partie lewicowo-zielone) mogłoby stanowić tymczasowy etap przejściowy. Wspólnota i pomoc wzajemna są dla nas bardzo cenne, ale

zwykle brakuje nam czasu i przestrzeni, aby wprowadzić je do praktyki.

Jeszcze ostatnia uwaga. Wspólnoty mieszkaniowe skłaniają się ku formom miejskiej organizacji plemiennej, tożsamości zbiorowej, i formom stanowiącym z definicji zagrożenie dla Indywidualnego Obywatela, podmiotu autonomicznego. Ale jak będziemy się obchodzić z takimi grupami - od blockersów po gejów, od Marokańczyków po ćpunów, od wegetarian po artystów, itd. - w zbiorowości uznającej moralnie i prawnie jedynie indywidualnych obywateli? Jest to wyzwanie dla obecnych tu utopistów: musimy stworzyć nowe praktyki socjalne i międzykulturowe, w nadziei, że dadzą one życiowe odpowiedzi na problemy takie jak praca, mieszkalnictwo, anonimowość i nudę. Projekty takie jak De Nieuwe Blauwen należy uważać za laboratoria socjalne, dostarczające bezcennych danych i doświadczeń. Dlatego jest to najwyższy czas, abyśmy zaczęli się przysłuchiwać i inwentaryzować miejskie historie. Jeżeli Deleuze i Guattari mają rację twierdząc, że Utopia nie jest tylko „nowhere” (Utopia oznacza „nie-miejsce” lub „nigdzie”: patrz Erewhon Samuela Butlera z 1872 r i News from Nowhere Williama Morrisa z 1890 r.), ale przede wszystkim now-here (tu i teraz), wtedy można bez obrazy nazwać wspólnoty mieszkaniowe utopistycznymi. Ponieważ, jak zauważają ci sami autorzy: „to create is to resist” („tworzyć/stwarzać znaczy stawiać opór”).

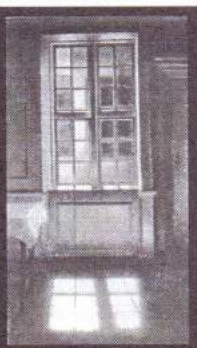
Siebe Thissen

Niniejszy artykuł został pierwotnie napisany jako referat przedstawiony na „Holland Presentation” w ramach kongresu Utopian Communities & Sustainability (7-9 lipca 1998 r.) w Amsterdamie. Z pozdrowieniami dla Jensa i Anny.



Przypadkowa śmierć anarchisty

Dario Fo



W sprzedaży:

Oficyna Wydawnicza Bractwa „Trojka”,
Maciej Hojak, os.
Czecha 17/8, 61-287
Poznań
„Inny Świat”,
Janusz Krawczyk, ul.
Kędziora 2/8, 39-
300 Mielec

Pierwsze polskie wydanie sztuki włoskiego noblisty Dario Fo. Pełna sarkazmu i ironii komedia oparta na wydarzeniach, które miały miejsce w Mediolanie w grudniu 1969 roku, kiedy to został zdefontestrowany z IV piętra komisariatu policji anarchista Giuseppe Pinelli. Poprzedzona szczegółowym opisem zdarzeń „gorłcej jesieni” 1969 roku, prowokacji agentów faszystowskich w środowiskach anarchistycznych i lledztwa majlcego wyjałnił okoliczności śmierci Pinellego - przybliła walny i pellen tajemnic etap historii włoskiego ruchu anarchistycznego. Ksiłka zawiera również charakterystykł twórczości Dario Fo oraz liczne fotografie i grafiki z tamtych lat.



księgarnia internetowa

KONTRA

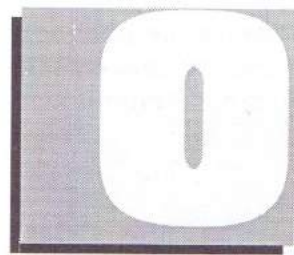
KONTRA

KONTRA

filmy::książki::czasopisma

WWW . KONTRA . GLT . PL

mejl: kkontra@interia.pl



grody anarchii

Miasto-ogród miało się odznaczać szacunkiem względem przestrzeni nieurbanizowanych, racjonalnie zorganizowaną komunikacją z centrum i pełnym zaspokojeniem potrzeb wszystkich mieszkańców

Już na pierwsze lata XX wieku datuje się sympatia hiszpańskich, a szczególnie katalońskich anarchistów dla koncepcji urbanizmu organicznego. Urbanizm organiczny anarchistów wyrastał z przekonania, że miasto stanowi ostatnią historyczną konkretyzację socjalistycznego ideału utopijnego, a dalszy rozwój aglomeracji powinien zmierzać do najbardziej kreatywnych relacji sąsiedzkich, co ich zdaniem udało się wcześniej osiągnąć w miastach średniowiecznych. Uważali, że system cechowy i zasada autonomii różnych grup społecznych były idealnie zharmonizowane z rozplanowaniem i architekturą miast tamtej epoki. Pisał o tym m. in. Cebria de Montoliu w 1913 r. Ten sam autor przyczynił się do popularyzacji idei miasta-ogrodu wśród barcelońskich anarchistów. Stało się to za sprawą pierwszego tłumaczenia książki Szkota Patricka Geddesa „Nauka obywatelska”. Miasto-ogród zamieszkałe przez nie więcej niż 100 tysięcy osób miało się w ich przekonaniu odznaczać szacunkiem względem przestrzeni nieurbanizowanych, racjonalnie zorganizowaną komunikacją z centrum i pełnym zaspokojeniem potrzeb wszystkich mieszkańców. Te i inne pomysły bazowały na zaniknięciu własności prywatnej gruntów i stworzeniu przestrzeni, które faworyzowałyby kontakt z naturą i co za tym idzie odrodzenie moralne, samowystarczalność i egalitaryzm społeczny. Wspomniane poglądy miały swe źródło w doświadczeniach życiowych anarchistów, którzy w znakomitej większości zamieszkiwali dzielnice robotnicze, oceniane przez nich jako niezdrowe, zaniedbane i przeludnione. Krytykowali spekulację gruntami i rozbudowę podyktowaną interesami partykularnymi osób zamożnych, co doprowadziło do zmazania z oblicza ziemi idei miasta bardziej przyjaznego mieszkańcom, na miarę człowieka, a nie wielkich firm czy rządu. Hiszpańscy anarchiści zaczęli wiązać koncepcję miasta-ogrodu z neomalthuzjanizmem (Malthus już w XVIII w. ostrzegał przed skutkami przeludnienia). Głosili, że powiększanie populacji należy poddać świadomej prokreacji i jej związkowi z poprawą materialnych warunków życia. Od roku 1906, kiedy to Luis Buffi



opublikował „Strajk żołądków”, zaczęli propagowanie środków antykonceptyjnych, głosząc, że nie ma obowiązku płodzenia niezliczonych rzesz proletariatu na rozkaz armii, kościoła i przedsiębiorców. Od 1933 r. w anarchistycznym tygodniku „La Revista Blanca” wprowadzono stały dział porad dla czytelników, dotyczących higieny, zdrowia (szczególnie zapobiegania chorobom społecznym) i stosowania środków antykonceptyjnych.

Jeszcze przed wybuchem wojny i rewolucji w lipcu 1936 robotnicy z barcelońskiego CNT i architekt-anarchista Alfonso Martinez Rizo mieli opracowaną propozycję przebudowy miasta. Chcieli, by została ona zaopiniowana i wzbogacona przez wszystkie wspólnoty mieszkańców. Była to ich własna adaptacja idei miasta-ogrodu, „marzenia niemożliwego do zrealizowania w obecnym reżimie egoizmów”, jak napisał Rizo w magazynie „Studia” nr 145 w 1935 r. Chodziło o zdecentralizowanie miasta w ten sposób by pousuwać zatory i napęlić go powietrzem i słońcem, raz na zawsze skończyć z rozdziałem miasta od wsi oraz osiągnąć syntezę obydwu środowisk. Wspomniano też o „rygorystycznym uregulowaniu ruchu ulicznego”. Martinez Rizo i Syndykat Budowlańców CNT

w Barcelonie liczyli, że potrzeba dziesięcioletniego okresu przejściowego, tak aby zamieszkiwało ją 100 tys. osób. „Miasta automatycznie będą się powoli wyludniać na skutek zaniku sił jednoczących je, natomiast pojawiają się siły rozpadu, powstałe wskutek przyciągającego oddziaływania zdrowszych miejsc”. Do współpracy zaproszono również geologa i anarchistę Alberto Carsiego, który dodał, że aby projekt można było uznać za wykonalny trzeba go rozważyć na tle możliwości bioregionu z jego pierwotnymi zasobami bogactw naturalnych. Po wybuchu rewolucji w 1936 r. w całej Katalonii zintensyfikowano badania nad korzystaniem z odnawialnych źródeł energii, przy wykorzystaniu wiatraków i młynów. Co więcej, anarchiści z Syndykatu Budowlańców i Przemysłu Drzewnego razem ze wspólnotami wiejskimi, zgodzili się dokonać ponownych zalesień, zawsze trzykrotną ilością drzew, które zostały wycięte we wszystkich lasach należących do komun wiejskich. Dla komunistów, którym udało się zdobyć władzę w maju 1937 r. te wszystkie pomysły zdawały się kompletnie niedorzeczne, zablokowali ich realizację. Uniemożliwili nawet wydanie książki Alberto Carsiego „Integralne bogactwo Katalonii”. Trwałym wkładem anarchistów w pejzaż Barcelony okazało się zburzenie więzienia i powstanie na jego miejscu parku miejskiego.

R.G.

Więcej informacji: Eduard Masjuan „Urbanismo y ecología en Catalunya” Ed. Madre Tierra 1992

ANARCHITEKTURA

Powstały w latach 70-tych XX wieku termin Anarchitektura nie pochodzi wcale ze słownika antypaństwowego ruchu społecznego. W zamierzeniu autorów był obraźliwym epitetem komentującym twórczość konkretnego architekta.

Obiektem ataku stał się LUCIEN KROLL (ur. 1927), belgijski architekt, któremu rewolta studencka umożliwiła realizację własnych zamierzeń. Żądania studentów sprawiły, że w roku 1969 Kroll został poproszony o zaprojektowanie w sąsiedztwie Kliniki Uniwersyteckiej w Brukseli tzw. „Strefy Socjalnej”, miasteczka „La Mèrne” dla studentów medycyny Uniwersytetu w Louvain (przedmieścia Brukseli). Studenci i zespół Krolla byli zupełnie zgodni co do tego, że opracowanie architektury powinno odbywać się przy współudziale jej przyszłych użytkowników. Program osiedla miał objąć mieszkania dla studentów, urządzenia rekreacyjne, stołówkę dla studentów i personelu, szkołę dla dzieci studentów, kluby i kawiarnie. Studenci połączeni w grupy o zmiennym składzie brali udział w projektowaniu budynków razem z Krollem, występującym w roli kapelmistrza. Przygotowując makietę całości, przesuwali kawałeczki gąbki. Gdy wybuchaly nieporozumienia lub jedna grupa popadała w dogmatyzm i upór, Kroll reorganizował zespół tak, by wszyscy mogli zapoznać się ze wszystkimi problemami, aż pojawiło się możliwe rozwiązanie. Dopiero wtedy rysował plany i przekroje, na podstawie których można było rozpocząć budowę. Na głównym placu osiedla można też zobaczyć wkład robotników budowlanych w projekt. Stworzyli coś w rodzaju skały, która rośnie zmieniając się w cegłę, a w górnych partiach elewacji budynku w płytki licujące. Efekt końcowy przedsięwzięcia sprawia wrażenie „gąbczastej” struktury, w której przenikają się przestrzenie o różnych funkcjach indywidualnych. Jest to architektura systemu otwartego, „żadne miejsce nie jest ważniejsze od innego” stwierdził Kroll. Różne funkcje budynków podkreślono różnymi systemami budowlanymi. Wielka przeszklona przestrzeń jest wspólna i mieści stołówkę. Poza tym użyto drewna, cegły, plastiku, aluminium i betonu, nie zabrakło dwuspadowych dachów i kominów oznaczających bardziej prywatne obszary.

Władze uczelniane nie kryły swej dezaprobaty dla rezultatów. Stwierdziły, że osiedle stało się obrazem dezintegracji funkcji i formy. To wtedy użyto określenia ANARCHITEKT. Narzekano też na przekroczenie limitów finansowych i powolne tempo realizacji. Po tym jak w 1974 roku oddano do użytku trzy akademiki, w tym jeden ze szkołą i kawiarnią oraz stołówką, realizację dalszej części wstrzymano, a następnie powierzono innemu zespołowi autorskiemu. Lucien Kroll nigdy nie zgodził się z poglądem, że brukselskie akademiki stanowią efekt przypadkowego pozlepienia szczątków. W artykule „De Soft Zone” napisał: „Nie wierzę, że uczestnicy mogą wyłonić z siebie spontaniczne zespoły [...] animator jest niezbędny”, niech tylko pamięta, że - „architektura musi być tworzona nie dla, ale w imieniu mieszkańców. Schody i przejścia są odwzorowaniem ścieżek rodzinnych lub przestrzeni zamieszkałych przez zwierzęta”. Architektura ta zakłada, że każdy mieszkaniec jest „osobą różną od sąsiada i chce odzwierciedlać tę różnorodność”.

Inną znaną realizacją idei współpracy projektantów i użytkowników było osiedle robotnicze „Byker Wall”

RALPHA ERSKINE'A w Newcastle w Anglii (lata 1969-1981). Teren ten o powierzchni 81 ha, opadający południowym stokiem do rzeki Tyne zajmowały domy szeregowo o bardzo niskim standardzie. Władze miejskie postanowiły zlecić opracowanie urbanistyczno-architektonicznej koncepcji przebudowy Ralphowi Erskine'owi (ur. 1914), Szkotowi wychowanemu w szkole kierowanej przez Kwakrów. Od niego pochodziła ogólna koncepcja osiedla, wybór środków formalnych i rozłożenie akcentów plastycznych. Trzeba jednak przyznać, iż każdy swój pomysł poddawał krytycznemu osądowi przyszłych mieszkańców. Uznał również, że mają oni prawo wybrać sobie lokalizację, plan mieszkania i sąsiadów. Dzięki temu dziewięcioletnia społeczność osób zmuszona do przeprowadzki nie rozpadła się, co więcej zorganizowała własny samorząd. Erskine zaczął od urządzania swojego biura na przebudowywanym terenie, w dawnym zakładzie pogrzebowym. Aby zachęcić ludzi do odwiedzin połączył biuro projektowe z biurem rzeczy znalezionych oraz punktem porad ogrodniczych i sprzedaży roślin i kwiatów. Potem nastąpiły niekończące się dyskusje i cząstkowe ustalenia. Udało zachować się kilka ważnych budynków - kościół, sale gimnastyczne i parę mniejszych obiektów. Zburzone części budynków i ich ornamenty zostały wbudowane w nowe obiekty (co przypomina architekturę romantyczną) jako dekoracja lub przedmioty użytkowe, np. stoły i siedziska to przerobione kapitele kolumn. Bardzo istotnym etapem było wybudowanie na początku małego fragmentu osiedla, Janet Squere (1971-72) według ustalonych z mieszkańcami założeń i poddanie go wspólnej, publicznej ocenie i dyskusji. Brak jakiegokolwiek arbitralnej zasady porządkującej, chociaż ważnym elementem jest 8-piętrowy mieszkalny blok osłonowy, tworzący półtora kilometrowy parawan chroniący przed północnymi, zimnymi wiatrami i przed hałasem autostrady. Nie bez znaczenia był fakt, że właśnie w tym rejonie przebiegał odcinek słynnego Wału Hadriana, przecinającego północną Anglię. Północna, ceglana fasada bloku, ożywiona mozaikowymi kompozycjami z różnobarwnej cegły. Natomiast południowa fasada otwiera się na osiedle mnóstwem balkonów, galerii i napowietrznych przejść łączących się z dalszą zabudową na stoku. Jest to świetny sposób przełamania nużącej dłużyzny wielkiego bloku. Dalszy ciąg osiedla to domy jednorodzinne budowane z cegły uzupełnianej elementami drewnianymi wielobarwnie malowanymi. Każdy dom ma przestrzeń prywatną i otoczony jest przestrzenią półprywatną: ogródkami i wąskimi chodnikami. Nawet zewnętrzne korytarze mieszkań w „murze” Byker podzielone są na fragmenty, na każdym rosną charakterystyczne rośliny, dzięki temu blok uzyskał tożsamość i sprawia wrażenie bezpiecznego.

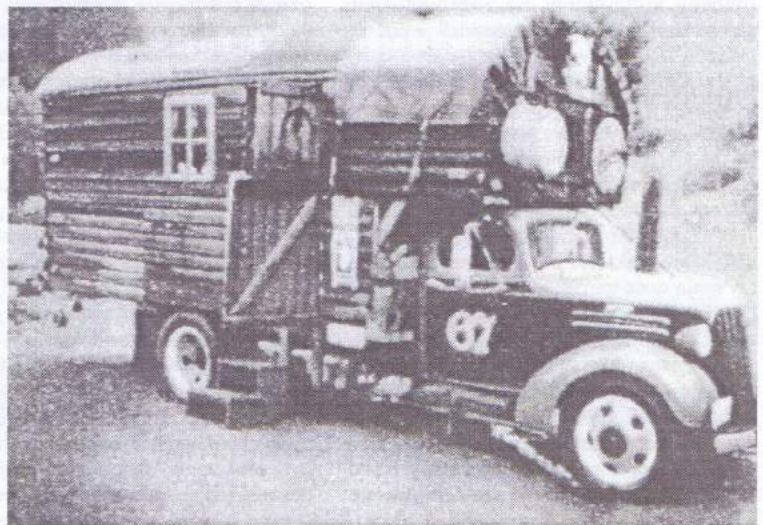
To samo podejście do kwestii partycypacji w tworzeniu architektury było podstawą założenia grupy ARAU (Atelier de Recherche et d'Action Urbaine) w Brukseli. Powstała w 1969, by powstrzymać przebudowę stolicy dyktowaną przez wielkie koncerny. MAURICIE CUOLT, jeden z członków grupy powiedział: „Odrzucamy wszelkie propozycje, które wy-



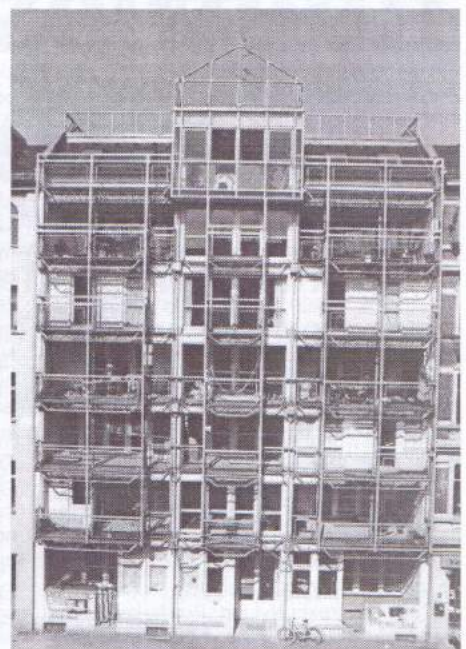
Akademiki Krolla



Blok osłonowy Byker Wall



Dom Zwierciadlany



Berliński dom-regal

ganiają mieszkańców z miasta. Nie zmuszamy ludzi do przyjmowania naszych gustów, lecz postępujemy według rad ludzi, których to interesuje". Podjęcie przez ARAU współpracy z prawnikami i dziesiątkami obywatelskich komitetów doprowadziło do odstąpienia od wyburzeń w wielu miejscach, ale nie stanowiło siły inicjującej nową zabudowę. Tym co łączy Byker Wall i akademiki Krolla jest efekt imitacji naturalnej złożoności stopniowo formującego się środowiska. Mamy tu do czynienia z pluralizmem typowym dla najstarszych, historycznych dzielnic miasta. To co wynika zwykle z mniejszych i większych zmian wprowadzanych przez kolejne pokolenia mieszkańców, tutaj stało się założeniem wyjściowym.

Zbliżony rezultat można osiągnąć zapraszając do wspólnego przedsięwzięcia kilku architektów. Kroll uczynił to w Alphen-aan-den-Rijn niedaleko Utrechtu (Holandia), projekcie urbanistycznym dla 300 domów. Centrum planu stało się jezioro. Kroll wybrał dziewięciu różnych architektów, by zaprojektowali pierwsze 100 budynków i poddali je ocenie przyszłych użytkowników. Faktycznie, osiągnięto różnorodność właściwą miastom budowanym w dłuższym czasie, a nie za jednym pociągnięciem. Rozwiązanie urbanistyczne uprzywilejowuje pieszych i tereny zielone, przy jednoczesnym zapewnieniu przestrzeni dla ruchu samochodowego. W roku 1980 Lucien Kroll zmierzył się z ideą odzyskania architektury na rzecz lokatorów, którzy mają dość zamieszkiwanych przez siebie blokowisk. Gmina Alençon we Francji zwróciła się do niego z prośbą o rewitalizację ZUP (zone a urbaniser en priorite) Perseigne, osiedla wzniesionego jako rządowy projekt mieszkaniowy w l. 1958-1969. Konsultacje z lokatorami zakończyły się radykalną transformacją osiedla. Do bezosobowych brył bloków Kroll „dolepił” mniejsze domy swego autorstwa. Powstały również nowe dwukondygnacyjne jednostki mieszkalne, mała architektura, dwuspadowe dachy, ogrody między nimi, nowe oświetlenie i balkony, przebudowie uległy niektóre wnętrza.

Z kolei amerykański architekt CHARLES MORE próbował w latach 80-tych XX wieku projektowania telewizyjnego. Na podstawie zgłaszanych telefonicznie propozycji, na oczach telewizorów przekształcał i udoskonalał swoje projekty. W ten sposób powstało wiele centrów miejskich i innych obiektów architektonicznych, m.in. w Los Angeles. Na zmianę swego statusu zdecydowali się niektórzy architekci pracujący w ramach programu ALTBAU (odnowy istniejącej substancji mieszkalnej) w Berlinie Zachodnim. Żądania mieszkańców tego miasta doprowadziły do stworzenia programu IBA (Międzynarodowej Wystawy Budowlanej) zakładającej wielkie przebudowy i wznoszenie nowych domów. Ustawę autoryzującą IBA uchwalili Senat Berlina Zachodniego. Jedną z ciekawszych realizacji jest plomba przy Admiralstrasse, zwana Wohnregal (regal do mieszkania) z 1986. Architekci Nyland, Puttfarken i Sturzebecher przewidzieli podstawową nośną

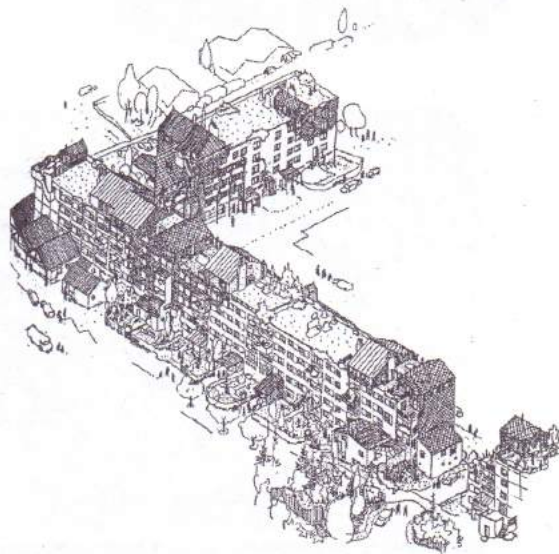
konstrukcję żelbetonową w formie ramy i płyt stropowych, a następnie wynaleźli specyficzny system wypełniającej konstrukcji drewnianej. Umożliwiały one mieszkańcom bezbudowlanych kwalifikacji wzniesienie własnych elewacji, ścianek działowych i balkonów zgodnie z własnymi upodobaniami. Autorzy nałożyli na elewację metalową siatkę, organizującą fasadę i służącą jako konstrukcja dla skrzynek na kwiaty. Całość sprawia wrażenie rusztowania, jak gdyby budowa ciągle trwała.

Doskonałym przykładem anarchitektury jest blok mieszkalny w szwedzkim mieście Malmö (1991), gdzie współdziałali ze sobą architekt IVO WALDHOR, przyszli mieszkańcy, instytut mieszkalnictwa oraz inwestor. Powstał pięciokondygnacyjny blok złożony z indywidualnych jednostek mieszkalnych-każda ukształtowana według preferencji danej rodziny. Mieszkańcy nie mieli poprzednio doświadczeń w projektowaniu, stąd wszyscy pragnęli wprowadzać zmiany aż do momentu ukończenia budowy. Ta elastyczność spowodowała duże opóźnienia, za to mieszkańcy byli zadowoleni. Niektóre elementy okazały się być nieekonomiczne - w szczególności ściany działowe, kuchnie i łazienki w różnych pionach (!) - jednak interwencja architekta pozwoliła przynajmniej na utrzymanie ograniczonej liczby okien oraz innych detali. Na zewnątrz zróżnicowane wnętrza sygnalizowane jest przez indywidualnie malowane okna i drzwi. Zasluga Waldhóra jest ukształtowanie różniących się mieszkań w jeden harmonijny budynek, za pomocą takich cech jak zielony cokół i sposób traktowania dachów.

Idee partycypacji próbowano zaszczyć w Indiach. Projekt B.V. Doshi dla Aranya Township pod Indore (1982) objął ulice, domy, sklepy i bank materiałów budowlanych zaopatrujących właścicieli. Stworzono specjalny ośrodek edukacji budowlanej oraz zakłady przemysłu lekkiego, aby uzyskać samowystarczalność ekonomiczną mieszkańców (40 tys.). Każda działka posiadała rdzeń infrastruktury (toaleta i łazienka) plus jeden pokój czyli podstawowy zakres projektu, do którego mieszkańcy mogli dobudowywać co chcieli. Bank materiałów sfinansowano z zysków ze sprzedaży największych działek dla osób zamożnych. Dzięki temu ceny działek dla rodzin o niskich dochodach zredukowano do cen dostępnych.

Na miano anarchitektury w pełni zasłużyła rozwijająca się w latach 60-tych i 70-tych XX wieku działalność budowlana osób związanych z ruchem kontestacji i szeroko pojmowaną kontrkulturą. Ten architektoniczny nonkonformizm okazał się funkcjonalny i stał się oparciem dla żywiołowego tworzenia własnych domów. Szczególnie liczne przykłady tego nurtu można

znaleźć w Stanach Zjednoczonych, gdzie nazywano je architekturą „łagodną”, „marginesową”, „naiwną”, bądź „dziką”. Część obserwatorów mówiła o powrocie do tradycji pierwszych osadników. Inni dostrzegali w tym samym zjawisku przedłużenie filozofii amerykańskiego anarchisty Henry Davida Thoreau (1817-1862), który radził każdemu tworzenie własnej architektury. Pisał on, że ma być to środek do samopoznania, introspekcji, wyraz wewnętrznych potrzeb i dążeń a tym samym pewna autoterapia. Większość z tych budowli stawiano poza miastem, a użyte materiały świadczyły o świadomym wykorzystaniu odpadów cywilizacji technicznej. Dla formowania swych siedzib używano kopuł geodezyjnych (domy ekologiczne w Drop City); drewnianych elementów odpadowych stoczników okrętowych i fragmentów starych łodzi (np. dom Sausalito w Kalifornii, dom Teda Burnsa w Belfascie w stanie Maine), malowanych znalezionymi puszkami farby; pianki poliuretanowej natryskiwanej przy pomocy kompresora na siatkę zbrojeniową (TAO DESIGN GROUP w Teksasie); beczek, butelek, spalanych karoserii samochodowych, barek. Zdarzały się starannie wykończone domy w koronach starych drzew¹ i domy na kółkach. Te ostatnie przyjmowały postać drewnianej nadbudowy na platformie ciężarówki, która zyskiwała werandę, taras, tradycyjną formę okien z okiennicami, schodki i przykrycie gontem. Inni przyjmowali pośredni wariant osiedleńczy, budując obozy pozwalające na kilkuletnie bytowanie. Bez żalu przenosili się na nowe miejsce. Do najbardziej malowniczych zaliczał się z pewnością dom CLARENCE'A SCHMIDTA, budowany w latach 1948-71 na wzgórzach Woodstock w stanie Nowy Jork. Autor, z zawodu murarz i tynkarz, budował go dla siebie, poczynając od niewielkiego baraku, a kończąc na siedmiopiętrowym drewnianym zigguracie-labiryncie z dziesiątkami okien odbijających światło słoneczne (stąd nazwa DOM ZWIERCIADLANY) Schmidta



Osiedle Perseigne po przebudowie

mówił, że jest to dlań „...twór niematerialny... dom ten jest moim dzieckiem, które przemawia do mnie codziennie”. Cała konstrukcja spłonęła pod koniec lat 70-tych.

Jeszcze inną kategorię stanowią spółdzielcze domy i osiedla dla wspólnot - komun (co-housing), gdzie stosuje się układ mieszany przestrzeni prywatnych i komunalnych. W przypadku grup zamieszkujących komune, cały proces planowania i realizacji inicjują i wykonują przyszli mieszkańcy, ściśle współdziałając z profesjonalnym biurem architektonicznym. Każda rodzina posiada własne mieszkanie, ale kuchnie, salony, strefy zabaw i warsztaty są wspólne. Mieszkańcy dzielą się obowiązkami gotowania, sprzątania, uprawy ogrodu i opieki nad dziećmi. Ponad dwieście takich komun pojawiło się w Danii (m.in.: Tinggarden w 1979, Tinggarden II w 1984 w Herfølge, Savvaerket w Jystrup w 1984), w Holandii (Hilversumse Meent w Hilversum w 1977, Purmerend w 1985) i w Szwecji (Tradet i Stacken w Golthenburgu w 1980). Pierwszy projekt dla tego typu spółdzielni powstał w USA w 1991 roku. Był to Muir Commons jako część przedmieścia suburbii Davis w Kalifornii. Następne osiedle to Winslow Co-housing w Bainbridge Island w stanie Waszyngton (1992) projektu Edward Weinstein Associates.

Twórcy i rzecznicy tej filozofii budowania proponowali profesjonalnym architektom zmniejszyć rozrzutność energii i surowców, a często wykorzystać powtórnie istniejące zasoby materiałów. Typowo anarchitektoniczne było przekonanie, że wielkie bogactwo inwencji konstrukcyjnych i plastycznych kryje się wciąż w twórczości jednostek i grup ożywionych wspólną myślą, że działalność ta ma swą wartość w kształtowaniu osobowo-

ści.² W ramach architektury wykształciły się jak widać dwa nurty. Pierwszy z nich zakładał udział architektów, którzy zrewidowali swoją tradycyjną postawę oraz rolę społeczną i działają raczej jako obrońcy postaw użytkowników, metodolodzy i pomocnicy w nadaniu przestrzennej formuły aspiracjom i potrzebom mieszkańców.³ Drugi to nurt świadomego odrzucenia przez grupy mieszkańców udziału różnorodnych pośredników w procesie budowania (w tym architektów i plastyków, którzy zbyt mocno oddalili realizowaną przestrzeń od jej konkretnego użytkownika). Wedle tych założeń [an]architektura jest cząsteczką „czynnością”, a nie zbiorem prawidłowych recept i reguł. Zyskuje walor, kiedy przyczynia się do bezpośrednich relacji między użytkownikiem a mieszkaniem oraz między domem a środowiskiem naturalnym.

Opracował Rafał Górski

Przypisy:

¹ Warto wspomnieć o nadrzecznych domach, które powstały w Polsce już w latach 50 XX wieku. Pewien marynarz (później komandor Żegluga Wielkiej) sam prowadził prace budowlane tworząc niewielki prywatny pensjonat „Tahiti” pod Warszawą koło miejscowości Świdrów. Oprócz dwupiętrowego pawilonu powstała chatka polinezjska na drzewie, wewnątrz ukształtowana na kajutę oraz „gniazda” w koronie kilku pozostałych dębów. Wchodziło się do nich po drabinach sznurowych. Opisane domki służyły za miejsca



Os. Winslow Co-housing w Bainbridge Island

schadzek z prostytutkami. Były szczególnie popularne w latach 1956-1970, na który to okres przypada największa świetność pensjonatu.

² Nieprofesjonalna architektura stała się przedmiotem oficjalnych akademii. Fachowe czasopisma publikowały artykuły o slamsach i budownictwie komun kontestatorów. Urządzano wycieczki architektów do tych miejsc. W Paryżu miała miejsce wystawa „architektury marginalnej”. W Stuttgarcie studenci Wydziału Architektury sami zbudowali „slamsopodobne” pawilony domów akademickich. Dużym powodzeniem cieszyła się książka Rudofsky'ego „Architektura bez architektów” (1974).

³ W zasadzie słusznie przyjmuje się, iż idea zapraszania przyszłych użytkowników do procesu projektowego narodziła się w opozycji do modernizmu. Jednak już wcześniej w Polsce (wiem, że się z tego powodu ucieszysz Jany) Syrkusowie przeprowadzali badania ankietowe w związku z budową osiedla mieszkaniowego na Rakowcu w Warszawie w latach 1934-36. W opracowaniu kwestionariusza pytań pomagali socjolodzy (Nina Assorodobraj i Stanisław Ossowski).

Eksmisja do Czeczenii

„Komornik przeprowadza czynności zgodnie z przepisami prawa i złożonym ślubowaniem, przestrzegając praw człowieka oraz etyki zawodowej, i jest zdolny do samodzielnej oceny konkretnej sytuacji nie popadając bądź w nadmierny pryncypializm, bądź w okazyjność postaw.” (z preambuły Kodeksu Etyki komornika)

Andrzej Ciemnoczołowski: nazwisko znakomicie znane na całym Pomorzu. Mówią o nim „kat”. Komornik, który nawet z najbiedniejszego potrafi zderzeć skórę, bezwzględnie wykona każdy wyrok eksmisji, zabierze wdowi grosz. Ostatnio jego pracą zainteresowała się prokuratura i policja. W A-taku o słynnym komorniku można było poczytać już wcześniej. Ale od tego czasu odniósł kolejne „sukcesy”.

W 1997 roku Andrzej Ciemnoczołowski odebrał nominację na komornika sądowego II Rewiru w Słupsku. Pięć lat jego pracy na terenie działania Sądu Apelacyjnego w Gdańsku

zapisano się w historii regionu dużymi czcionkami; przeważnie wytłuszczonymi literami tytułów z pierwszych stron gazet. W tytułach tych najczęściej powtarzają się określenia „bezlitosny”, „kat” i „brutal”, nie brak też takich rewelacji, jak „pomyłka” czy „nie ten adres”. Powszechnie wiadomo, że niezawodnym sposobem odzyskania wierzytelności czy pozbycia się nieplacącego lokatora, jest oddanie sprawy temu człowiekowi. W czasach, gdy co sprytniejszy kombinator może uratować się przed windykacją długów i należności, biorąc fikcyjny rozwód i przepisując majątek na żonę, przed czujnym okiem słupeckiego komornika nie ustrzeże się nikt.

Rok 1998. Majątek za 30 złotych

Państwo M. mieli dług. Zalegali z czynszem należnym spółdzielni mieszkaniowej „Czyn”. Sprawą zajął się Andrzej Ciemnoczołowski. Zajął ich majątek - owoc pracy całego życia. Część przedmiotów, w tym lodówka, lustro, fotele, kanapa, segment, zostały sprzedane na licytacji za symboliczną złotówkę od sztuki. Wpływ z licytacji wyniósł 15 złotych. Łóżko, telefon, telewizor, budzik, żaluzje - zostały przekazane wierzycielowi, czyli spółdzielni Czyn. Ich wartość komornik oszacował na 14 złotych i 25 groszy. Innymi słowy majątek rodziny M. był według komornika wart zaled-

wie niespełna 30 złotych. Znacznie wyżej wycenił własną pracę - na 2758 złotych - tyle wyniosły koszty egzekucji.

Rok 1999. Rzeczy zbutwiały

Zofia i Edward K. to ubodzy emeryci powyżej siedemdziesiątki. Mieszkanie komunalne, które zajmowali od wielu lat, miasto nieopatrnie sprzedało wraz z całym budynkiem prywatnemu właścicielowi. Ten postanowił pozbyć się uciążliwych staruszków. K. byli w domu, gdy do mieszkania wdarli się obcy ludzie. Lokatorzy myśleli, że to napad rabunkowy. Był zimny październik, padał deszcz. Staruszków wyprowadzono na podwórkę. Ludzie komornika nie pozwolili im się spakować. Ich rzeczy wywieźli do magazynu. Przez kilka dni K. koczowali, gdzie się dało - u znajomych, rodziny... Gdy w mieście zawrzało, komisja mieszkaniowa przyznała im lokal zastępczy w „Czeczni”, czyli baraku socjalnym. Mieszkają tam do dziś - wśród ludzi eksmitowanych za długi, alkoholików i marginesu społecznego, gotując we wspólnej kuchni i korzystając ze wspólnej łazienki. Po ciężkiej walce udało im się odzyskać majątek - ubrania i meble. Niestety, w tym czasie wszystko zdążyło zbutwieć w wilgotnym magazynie komornika.

Rok 2002. Styczeń. Nie ten adres

Łosino, niewielka podślupska wieś. Właścicielka domu akurat była na podwórku, gdy przybiegł do niej sąsiad. Krzyczał, że jacyś ludzie wdarli się do jej mieszkania i wynoszą rzeczy. Wyglądało to jak włamanie, ale wszystko się wyjaśniło, gdyż przed wejściem, obok ciężarówky, stał radiowóz.

W mieszkaniu wyważono drzwi. Kiedy właścicielka stała w progu, jakiś człowiek uderzył wynoszoną kolumnę głośnikową o framugę drzwi. Na zwróconą uwagę powiedział, że nic się nie stało i że zaraz poprawi i wpisał do protokołu, że kolumna jest uszkodzona. Wreszcie ktoś właścicielce mieszkania wytłumaczył, że to egzekucja komornicza i że chodzi o sto złotych grzywny, na którą kolegium skazało syna właścicielki. Na próby tłumaczenia, że syn od dawna nie mieszka pod tym adresem, nikt nie reagował. Gdy gospodyni próbowała ratować telewizor, policjant jej to uniemożliwił.

Ludzie komornika Ciemnoczołowskiego zabrali kompletny zestaw kina domowego, słowniki, dwa telewizory, telefon, wieżę stereo. W protokole egzekucji wycenili wszystko wstępnie na nieco ponad tysiąc złotych, czyli dokładnie tyle, ile wynosi grzywna i przewidziane koszty egzekucji komorniczej. Tylko, że sam zestaw kina domowego kosztuje w sklepie około 10 tysięcy złotych. Po egzekucji właścicielka złożyła skargę na działania komornika do słupskiego sądu i wniosek o wstrzymanie licytacji mienia, która miała się odbyć 12 lutego. Sąd uznał jej racje, nie oznaczało to jednak końca kłopotów.

Przez miesiąc właścicielka walczyła o odzyskanie swojego sprzętu. Chociaż sąd

nakazał komornikowi go oddać, ten - delikatnie mówiąc - nie był zbyt skory do współpracy.

Na kilkunastokrotne telefoniczne monity, ciągle padała odpowiedź, że komornika nie ma. Kiedy wreszcie udało się do niego dodzwonić, kazał przyjechać po rzeczy. Gdy już wreszcie przyjechano po dobytek taksówką bagażową to okazało się... że komornika nie ma, a jego pracownicy o odbiorze rzeczy nic nie wiedzą. Na pokazaną decyzję sądu stwierdzili, że ona ich nie interesuje. Rzeczy udało się odzyskać dopiero po prawie 3 miesiącach.

Rok 2002. Kwiecień. Nie wyjdę stąd!

Jolanta F. Pokazuje wystawiony przez słupskiego patomorfologa protokół oględzin. Lekarz stwierdził, że miała na obydwu ramionach krwawe podbiegnięcia, które mogły powstać w wyniku pobicia.

U komornika Jolanta F. pojawiła się ze swoim znajomym. Chciała ostatecznie wyjaśnić sprawę egzekucji swojego długu bankowego. Dług faktycznie był, chodziło o zaległości w spłacie kredytu. Bank skierował sprawę do egzekucji komorniczej. Jednak w trakcie jej trwania, doszło do ugody z bankiem. Bank poprosił o wstrzymanie egzekucji, ale komornik nie zareagował i egzekucję kontynuowano.

W odpowiedzi na ignorowanie pani F. przez komornika, siadła na krześle w kancelarii pana Ciemnoczołowskiego i powiedziała, że nie wyjdzie, dopóki jej nie wysłucha. W odpowiedzi na to, chwycił ją mocno za ramiona i wyrzucił za drzwi. W progu jeszcze próbował ją kopnąć, ale nie trafił. W zajściu uczestniczył także Wiesław J., znajomy dłużniczki, który został potraktowany podobnie. Andrzej Ciemnoczołowski stwierdził, że nie

czego takiego nie zrobił, a kobieta i mężczyzna byli pijani i ich zachowanie było dalekie od niestosowne.

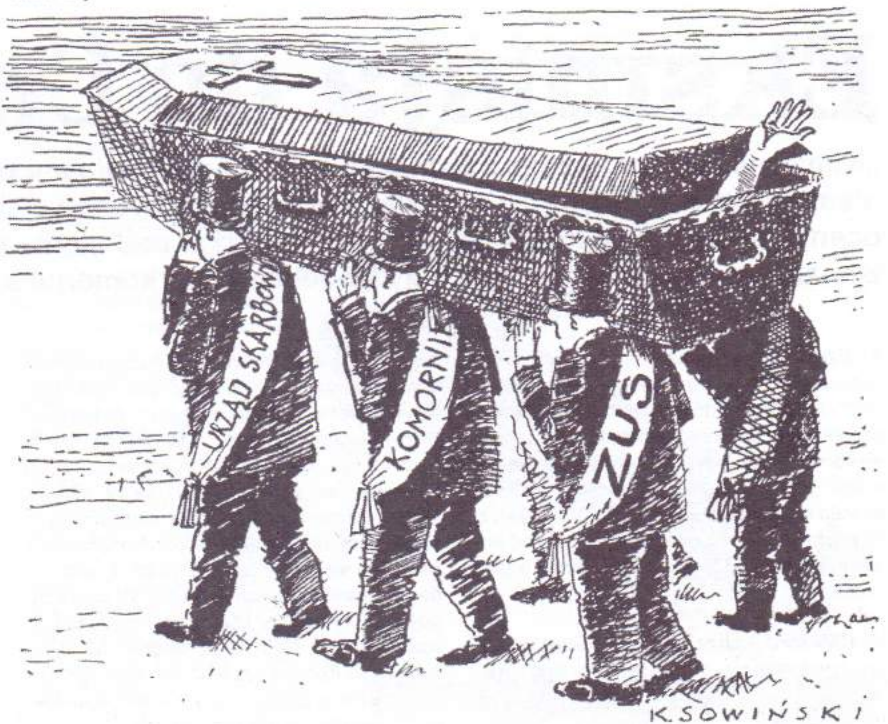
Komornik milczy

Gdy w prasie zrobił się szum, to dopiero policja zajęła się całą sprawą. Niestety tak, aby czasami nie zrobić jakiejś krzywdy komornikowi. Okazało się, że z komornikiem nie ma żadnego kontaktu, a pracownica kancelarii utrzymuje, że komornik Ciemnoczołowski jest nieuchwytny i nie zna nawet jego numeru telefonu komórkowego.

Mimo wielokrotnych skarg na komornika Ciemnoczołowskiego, Izba Komornicza nawet nie zareagowała. W ciągu ostatnich czterech lat w skali kraju odbyło się około setki postępowań przeciwko komornikom. Zakończyły się one grzywnami, upomnieniami i nagarami. W jednym przypadku wydano komornika ze służby, ale decyzję tę cofnął sąd. Zasady odpowiedzialności zawodowej komornika są bardzo skomplikowane. Teoretycznie podlega on prezesowi sądu rejonowego, ale ten nie ma instrumentów prawnych, by kontrolować jego pracę. Sąd może jedynie orzekać co do wstrzymania czy zawieszenia egzekucji. Większe kompetencje ma Izba Komornicza, która może wszczynać postępowania dyscyplinarne i usuwać z zawodu niegodnych przedstawicieli, ale komornik zawsze może się odwołać od jej decyzji do sądu apelacyjnego.

Jeszcze przed rokiem wiceprezesem Sądu Apelacyjnego w Gdańsku, któremu podlegają także słupscy komornicy, był sędzia Piotr Ciemnoczołowski, ojciec komornika.

M.P.



europolicja



W dniach 13-15 lutego 2002 roku w Santiago de Compostella (Hiszpania), słynącym z pielgrzymek, miało miejsce „nieformalne” spotkanie ministrów sprawiedliwości, podczas którego obradowano na temat problemów dotyczących nielegalnej imigracji oraz na temat rozwoju projektu europolicji. Przewidziana była również dyskusja w sprawie „harmonizowania przepisów prawa karnego”, mająca na celu usunięcie przeszkód na drodze do wprowadzenia „europejskiego nakazu aresztowania”. Dyskusja miała też obejmować kwestię stosunków między Unią Europejską, a Stanami Zjednoczonymi, jeśli chodzi o współpracę na rzecz zwalczania światowego terroryzmu.

Według dostępnych informacji, został zaaprobowany projekt masowego katalogowania imigrantów proszących o azyl, przez zdejmowanie ich odcisków palców (tzw. Eurodac) i europejskiego nakazu aresztowania, którego wprowadzenie przyspieszone zostanie na rok 2003. Stworzenie bazy danych zawierającej odciski palców wszystkich osób proszących o azyl lub pobyt, ma zapobiec składaniu podań przez uciekinierów w kilku różnych krajach, co często się zdarza, jako że poszukują oni w ten sposób kraju o najmniej represyjnym ustawodawstwie. Znaczy to mniej więcej tyle, że teraz już oficjalnie imigranci będą traktowani jak groźni przestępcy lub przynajmniej podejrzani o to, że mogą popełnić jakieś zbrodnie. Natomiast nowa norma prawna, która miałaby zastąpić (jako szybsza procedura) stary nakaz ekstradycji, została na razie podpisana tylko przez Hiszpanię, Francję, Brytanię, Luksemburg, Portugalię i Belgię.

W obu przypadkach mamy do czynienia ze środkami o wyraźnej intencji represyjnej, źle ukrytej pod maską „harmonizowania” ustawodawstw poszczególnych krajów i walki z przestępczością.

Do murów Cytadeli „Europa” dokładane są kolejne cegły, by zamknąć ostatnie drogi ucieczki. „Wspólna przestrzeń europejska” za naczelny cel obiera sobie racjonalizację dozoru i represję w stosunku do osób, które pochodzą z krajów budzących pogardę eurokratów. To samo dotyczy osób i ruchów społecznych, które sprzeciwiają się obecnemu stanowi rzeczy. Jak widać można potępiać ksenofobię i autorytaryzm prawicowych ekstremistów (takich jak Heider, Pim, czy Le Pen), a równocześnie projektować ustawy o charakterze rasistowskim i antydemokratycznym.

Europol

Europol to jedno z narzędzi wykreowanych właśnie w powyższym celu. Powstał w roku 1992 wraz z traktatem z Maastricht. Z początku funkcją jego było zajmowanie się przestępstwami związanymi z handlem narkotykami. Później, od 1998 roku, na mocy podpisania konwencji między państwami członkowskimi, stopniowo wzrastają jego kompetencje, tak, że od lipca 1999 zajmuje się również zwalczaniem terroryzmu. Europol ma za zadanie podtrzymywanie i ułatwianie współpracy między policjami europejskimi Unii w zakresie walki z międzynarodową przestępczością, zaś siedziba tego organu znajduje się w Aja w Holandii.

We wrześniu ubiegłego roku Rada Europy zapoznała się z dokumentem przygotowanym przez Europol pt.: „Działalność terrorystyczna w Unii Europejskiej: sytuacja i tendencje”, podanym do publicznej wiadomości 20 lutego 2002 roku. Oprócz panoramicznego opisu zawierającego informacje na temat różnych niepodległościowych ruchów, posiadających długą tradycję (ETA, IRA itp.) przedstawione zostało sprawozdanie działalności policji w kierunku zwalczania ekstremizmu islamskiego w następstwie wydarzeń z 11 września.

Trzeci rozdział tego dokumentu zatytułowany jest „Inne wydarzenia powiązane z terroryzmem”, a jego podrozdziały to:

„3.1 Sytuacja ogólna

3.1.1 Terroryzm anarchistyczny

(...) Pierwsze oznaki możliwej reaktywacji terroryzmu lewackiego, jak terroryzm anarchistyczny, pojawiły się w drugiej połowie 2001 roku. Pod przykrywką hasła o międzynarodowej solidarności dokonano ataków na południowych terenach Unii Europejskiej. Ataki te dokonane zostały w celu wyrażenia solidarności wobec więźniów anarchistów oraz przeciwko reżimowi więziennemu.

Jak wynika z lektury stron internetowych lewicy i anarchistów południowej Europy, uważnie śledzących te wydarzenia, istnieje możliwość odradzania się grup terrorystycznych radykalnie lewicowych lub anarchistycznych, ponieważ terrorystyczna aktywność z terenów południowych może służyć jako przykład do naśladowania.





Należy jednak zauważyć tutaj jak siły nieporządku publicznego wykorzystały tę okazję, aby spotęgować efekt spektakularności, cytujemy: „(...) Podczas operacji >Anarkizm< (od nazwy jednej ze stron) znaleziono także różne e-maile z załączonymi materiałami pedo-pornograficznymi”. Słowem, prawdziwa gratka: bombowi anarchiści i pedofile za jednym pociągnięciem prokuratorского pióra!

Strategie represji

Włochy zostały dotknięte również innymi atakami terrorystycznymi autorstwa anarchistów, np. zamach bombowy na Pałac Sprawiedliwości w Wenecji, na krótko przed przybyciem na miejsce premiera Silvio Berlusconi, ataki na główną kwaterę Legii Północnej w Vigonzy (Padwa), oraz budynek urzędu gminy w Catanzaro.

10 kwietnia 2001 roku w Rzymie potężna bomba spowodowała materialne szkody na zewnątrz budynków siedziby dwóch organizacji pozarządowych. Odpowiedzialność za ten czyn została przypisana komórkom Proletariackiej Inicjatywy Rewolucyjnej. Tej samej nocy znaleziono inną bombę na zewnątrz byłego biura Fiata. Policji udało się unieszkodliwić ją poprzez kontrolowaną eksplozję.

26 sierpnia miała miejsce eksplozja wybuchowego listu w Biurze Informacji Turystycznej gminy Catanzaro, co również należy łączyć ze środowiskiem anarchistów.

3.1.2. Ekoterroryzm

Ruchy walczące w obronie środowiska naturalnego i praw zwierząt ograniczyły swą działalność. Mimo to stały się przyczyną znaczących strat materialnych. Natomiast 18 września 2001 roku aresztowano 60 działaczy należących do anarchistycznego ugrupowania „Solidarność Międzynarodowa”. Przypuszczalnie przygotowywali oni atak terrorystyczny na katedrę w Mediolanie oraz inne obiekty w tym mieście.”

Dezinformacja kontynentalna

Jak można łatwo zauważyć w powyżej przytoczonym dokumencie mamy do czynienia ze „śmieciami”, które czytamy zwykle w corocznych raportach służb specjalnych dla europejskich parlamentów i za każdym razem rodzi się w nas wątpliwość: czy to żartem czy serio?

W tym przypadku, prawdopodobnie kierując się priorytetami różnych krajów, wrzucono do jednego worka ETA, różne odłamy IRA, niepodległościowy ruch korsykański, islamski ekstremizm oraz zawsze poręczne „zagrożenie anarchistyczne”.

O tym „zagrożeniu” pisano także m.in. we włoskiej prasie 14 lutego bieżącego roku. Straż Celno-Podatkowa podała do wiadomości komunikat, w którym zdaje relację z przebiegu operacji o kryptonimie „Anarkizm”, która doprowadziła do zdjęcia 10 stron internetowych (włoskich) zawierających informacje na temat preparowania materiałów wybuchowych. Zadenuncjowano 16 osób, w tym również kilku nieletnich. Nie znamy ocenianych stron, zatem nie możemy wiedzieć, czy zamieszczone tam informacje ograniczały się do kolejnej publikacji materiałów powszechnie dostępnych także w Internecie, czy też chodzi o coś innego.

W ostatnich tygodniach, jak napisano dalej w raporcie Europolu, miało miejsce aresztowanie dwóch Marokańczyków, którzy chcieli wysadzić amerykańską ambasadę lub zatruć akwedukt (do wyboru), zaś „na deser” przechwycono materiał wybuchowy na porzuconym motocyklu. Nikt nie raczył wspomnieć, że większość osób zatrzymanych w północnych Włoszech we wrześniu 2001 roku dość szybko zwolniono z braku dowodów.

Cele takich „dzieł”, jak raport Europolu, nie bardzo zresztą skrywane, są różne. Przede wszystkim służą uzasadnieniu istnienia organu, który je sporządza oraz kosztu utrzymania go dla Europy. Wydatki na Europol stale wzrastają: od 3.219.058 Ecu w 1995 do 35.400.000 Euro w 2001. Po drugie, mają na celu przedstawić opinii publicznej wroga (wrogów), któremu można przypisać winę za konieczność wprowadzenia restrykcji wobec wolności osobistej. Jednocześnie pełnią rolę szantażu w stosunku do tych sektorów opozycji społecznej, które mają jeszcze siły, aby walczyć. Wystarczy przypomnieć inwigilację i próby zastraszenia, które od pewnego czasu mają miejsce w całych Włoszech. Ich przedmiotem są zarówno ludzie opracowujący niezależne serwisy informacyjne (Indymedia), jak i młodzież aktywna w ruchu sprzeciwiającym się neoliberalnej globalizacji (np. represje wobec grup młodzieżowych na Elbie).

Wreszcie raporty używane bywają jako okazja do wewnętrznych porachunków w obrębie aparatów państwowych (patrz deklaracje różnych polityków włoskich w sprawie zamachu w Rzymie).

W tym kontekście „terrorizm anarchistyczny” podniesiony aż do rangi „niebezpieczeństwa dla Europy” jest tylko kolejnym wymysłem władzy, obawiającej się rozwoju form niezależnej walki, która rozszerzając się na cały kontynent, może się stać dla niej poważnym zagrożeniem.

Jedyna korzyść jest taka, że za bomby podłożone (rzekomo) przez anarchistów, George Bush nie rozkaże zbombardować jakiegoś miasta w Europie.

tłumaczenie z „Umanita Nova”, marzec 2002



eko-kapitalizm

eko-kapitalizm

Zapobieganie zmianie klimatu nie jest proste. Działanie by być skuteczne, musi być podejmowane na całym globie i dotknąć wielu aspektów naszego życia. Żadne z istniejących rozwiązań nie jest opisywalne w prosty sposób. Jednak w poszukiwaniu zrozumienia nawet mało skomplikowanego problemu, ludzie często zwykli szukać rozwiązań, które pasują do ich własnego politycznego światopoglądu - tak interpretują rozwiązanie, by uprawomocnić ich własne poglądy. Ten artykuł jest próbą naświetlenia jednej z tych interpretacji - dokonanej przez kapitalistycznych apostołów, a właściwie już papieża "wolnego rynku".

W ostatnim dekadzie zauważalna była ogromna zmiana w stosunku do problemów ochrony przyrody, szczególnie w kręgach ponadnarodowego biznesu. Temat ochrony środowiska przesuwają się od stadium bycia irytującą przeszkodą w osiągnięciu zysków, poprzez etap "poważnych problemów do przezwyciężenia", do momentu gdy, traktowany ze zrozumieniem, prezentuje istotny czynnik rynkowy pomnażający zyski. Kiedy stare i utarte sposoby na przetrwanie zawodzą, systemy zaczynają się reformować, by przetrwać. Tak jak reżimy totalitarne Wschodniej Europy po okresie zimnej wojny zaczęły tworzyć coś na kształt "rynkowego socjalizmu", tak w zachodnioeuropejskiej gospodarce pod wpływem zagrażającego kryzysu ekologicznego forsuje się "rynkowy ekologizm". Jak te reformy są przyjmowane? Według naszej oceny, że koncepcja "rów-

noważonego rozwoju", która natrafia na coraz lepszy grunt w kołach korporacyjnych, jest niczym więcej jak częścią zmieniającego się Światowego Porządku, niezbędnym komponentem globalizacji - takim samym wyzwaniem i eksploatacją tylko pod nowym szyldem.

Podejście do zagadnienia zmian klimatycznych dobrze ilustruje "model" eko-kapitalistyczny. Jeszcze jakieś 6 lat temu działania przemysłowców w kwestii zmian klimatu skupiały się na dobrze już rozpoznanych strategiach sabotażu. Prym wiodła Globalna Koalicja na rzecz Klimatu (Global Climate Coalition), która finansowała naukowców, twierdzących, że zmiana klimatu nie jest żadnym zagrożeniem, i lobbingowała amerykańskich polityków, strasząc katastrofalnym wpływem działań na rzecz ochrony klimatu na amerykańską gospodarkę. Dziś retoryka została całkowicie

Bogaci zawsze są gotowi
oddać przysługę biednym
i nie pozwolą im
umrzeć z głodu



zmieniona. Wszystkie korporacyjne szczyty powtarzają: "zmiana klimatu to jedno z największych wyzwań XXI wieku". Mają oni nadzieję na potencjalne zyski, po które sięgną ich firmy dzięki "mechanizmom dostosowawczym".¹ Pragną też udowodnić, że ostatecznym ekspertem w rozwiązywaniu problemów jest sam rynek. Ale zmiana nastawienia w negocjacjach klimatycznych nie jest wyjątkiem. Wśród przemysłowców wzrasta nadal przekonanie, że rynek jest lekarstwem na wszelkie społeczne i ekologiczne bolączki.

Inny przykład, to twierdzenie, że genetycznie modyfikowana żywność ostatecznie rozwiąże problem głodu, czy przekonanie, że prywatyzacja światowych zasobów wody pitnej nada wodzie wartość i zapobiegnie marnotrawstwu.

Strategie "zielonego wybielania" są powszechne wszędzie tam, gdzie kompanie opłacają kreatorów imidżu i gdzie bycie "przyjaznym środowisku" (eco-friendly) ma wpływ na funkcjonowanie firmy. Rynekowa hipokryzja prowadzi do sytuacji, gdy korporacje eksploatujące zasoby nieodnawialne twierdzą, że zobowiązały się działać na rzecz redukcji emisji gazów cieplarnianych równocześnie wydając miliony na poszukiwanie nowych zasobów, których wydobycie i spalanie jest wbrew tym zobowiązaniom.

KTO STOI ZA EKO-KAPITALIZMEM

Najistotniejszą tu grupą przemysłowców jest Światowa Rada Przedsiębiorców na rzecz Zrównoważonego Rozwoju (The World Business Council on Sustainable Development - WBCSD) utworzona w 1995 roku. Jej poprzedniczką - Rada Przedsiębiorców na rzecz Zrównoważonego Rozwoju (BCSD) została utworzona w 1990 - dwa lata przed Szczytem Organizacji Narodów Zjednoczonych w Rio - przez Stephena Schmidheiny'ego, najwyższego funkcjonariusza zarządu (chief executive officer) korporacji Swatch. Jest ona także bliskim przyjacielem Maurice'a Stronga, przemysłowca, który namawiał do organizacji Szczytu.

Szczyt w Rio został zdominowany przez wpływy BCSD i postrzegany jest jako punkt zwrotny, w którym biznes przekształcił się ze zwykłego lobby w pełnoprawnego decydenta na ogólnosiwiatowym poziomie.

Lista członków WBCSD to przewodnik po najbardziej niszczycielskich korporacjach trudniących się morderczą eksploatacją Ziemi. Oni wszyscy tam są... Shell, BP, Amoco, Rio Tinto Zinc, Monsanto, Du Pont. I nie chodzi o to, że wszystkie te korporacje mają być modelami zrównoważonego rozwoju, one ten "zrównoważony" rozwój chcą modelować.

ZASADY I WARTOŚCI EKO-KAPITALIZMU CZYLI W CO LIDERZY BIZNESU NAPRAWDĘ WIERZĄ

Niewątpliwie ciśnienie wokół "eko-kapitalizmu" jest wywołane przez wyspecjalizowane

firmy od tworzenia publicznego wizerunku, tak by wyzysk i eksploatacja były trudniejsze do rozpoznania. Zawieśmy jednak na chwilę swój brak wiary i spróbujmy przyjrzeć się bliżej twierdzeniom eko-kapitalistów. Zrozumienie tej nowej fali w kapitalistycznym myśleniu będzie niezbędne jeżeli nasz opór ma przynieść pozytywny efekt.

Tworzenie nowych rynków

Każdy widzi, że zmiana musi nastąpić. W środowiskach biznesowo-rządowych istnieje prawdopodobnie pogląd, że to kapitalizm stworzył potrzebę tej zmiany (ta hipoteza ma oczywiście podwójne dno). Niemniej jednak twierdzi się, że to "wolny rynek" jest najwspanialszym narzędziem, którym operując powinniśmy wywołać zmiany. Spójrzcie na przykład na rewolucję informatyczną - jak szybko nowe technologie internetowe i telefony komórkowe przeniknęły i zmieniły nasze życie! Jeżeli moglibyśmy zaprząć moc rynku, aby skorzystała na tym przyroda, twierdzą, byłaby to najbardziej skuteczna droga zapobieżenia katastrofie zmiany klimatu, powodująca jednocześnie wzrost gospodarczy i nie tak negatywnie wpływająca na "standard naszego życia".

Problem w tym, że rynek będący niewątpliwie wielką siłą dokonującą zmian, jest także siłą kreującą niesprawiedliwość. Kiedy decyzje determinowane są przez "niewidzialną rękę rynku", znaczy to, że wynikają one tak naprawdę z poszukiwania jak największego zysku finansowego, niż z troski o ludzi i przyrodę. Nie bierze się wtedy pod uwagę cało-

ściowego, holistycznego znaczenia decyzji, czy choćby długoterminowych konsekwencji, a co więcej marginalizuje się społeczeństwo i niszczy ekosystemy. Kiedy wytwarza się towar (taki jak zezwolenia na emisję, którymi można handlować) wycenia się go w zależności od posiadanych przez niego właściwości (ilości zużytego węgla), a jego wartość mierzona jest przez pojedyncze kryterium. Dlaczego ludzie z biznesu mieliby brać pod uwagę coś innego, jeżeli muszą być w stanie konkurować ze swymi rywalami. Z tej prostej przyczyny, jest to fundamentalny powód dla którego ekologia i kapitalizm są niekompatybilne.

Nowoczesne technologie

Istnieje skrywana wiara, że rynek sam z siebie będzie pobudzający dla rozwoju technologii zużywających mniej energii. Jest wiele przykładów na to jak produkty i całe procesy technologiczne zanieczyszczają mniej po zastosowaniu pewnych bodźców. Powtarzającym się sloganem, jest także "transfer technologii" z pierwszego do trzeciego świata. Rynek ma zachęcić do inwestowania w nowoczesne technologiczne projekty oszczędzające energię w krajach trzeciego świata i Europie Wschodniej. Może to oznaczać technologie czyniące bardziej wydajnymi elektrownie energetyczne, uprawy rolnicze mniej energochłonnymi itd. Wiele zachodnich firm, szczególnie wytwarzających produkty zaawansowane technologicznie, jest ze zrozumiałych powodów wielce tym zainteresowanych.

Bez zbytniego wgłębiania się w kwestię pro-



czy anty-technologicznej debaty, trzeba zauważyć, iż najistotniejszą sprawą pozostaje: kto kontroluje rozwój technologiczny? Bo jeżeli dla zachodnich korporacji, odwołując się do modelu, "transfer technologii" oznacza kolonizację, "wdrażanie postępu", pozbywanie się odpadów i zwykłe eksperymentowanie w byłych krajach bloku komunistycznego i trzecim świecie, to niewątpliwie pojawiają się przegrani - zresztą ci co zwykle - biedni. Tego rodzaju "bodźce" świadczą o krótkowzroczności światowej "elity", która wierzy, że bogate kraje odpowiedzialne za lwi udział w emisji i produkcji substancji zanieczyszczających środowisko, mają cokolwiek rozsądnego do zaproponowania reszcie świata.

ZIELONE ŚWIATŁO DLA GLOBALIZACJI

Podczas gdy krytycy twierdzą, że ostatnia fala ekonomicznej globalizacji ma katastrofalne skutki dla systemów ekologicznych, ich adwersarze utrzymują, że globalizacja jest jedyną drogą do zrównoważonej przyszłości: wzrost ekonomiczny ma prowadzić do wypracowania technologii energo-oszczędnych i dlatego jest niezbędny dla zrównoważonego rozwoju. Wolny handel i inwestycje wzmacniają światowy wzrost ekonomiczny i transfer technologii.

GLOBALIZACJA OCHRONY PRZYRODY

W globalnej ekonomii (która jest ścieżką zrównoważonego rozwoju - pamiętajcie!) normy ekologiczne wprowadzane przez poszczególne kraje zawsze będą barierą dla handlu i inwestycji. Firma nie będzie inwestować w miejscu, gdzie dostosowanie się do lokalnego prawa ochrony środowiska będzie zbyt kosztowne. Dlatego musi zostać stworzone takie narzędzie prawne, które będzie regulować te sprawy globalnie. Konwencja klimatyczna jest właśnie częścią takiego międzynarodowego prawa dotyczącego ochrony przyrody. Inne, to konwencje na rzecz bioróżnorodności, handlu zagrożonymi gatunkami czy międzynarodowe porozumienie dotyczące wielorybnictwa.

Ale traktowanie w ten sposób środowiska naturalnego na poziomie globalnym to ślepa uliczka. Wymaga to bowiem zredukowania złożonych procesów ekologicznych do prostej statystyki. Zamienia to las, który jest ekosystemem, siedliskiem życia, pięknem krajobrazu, domem, w nic więcej jak ilość zmagazynowanego węgla. Oznacza to decyzje podejmowane przez gości pożądających kasy, nawiązków do działania na poziomie globalnym i popartych faworyzującą ich legislacją, lecz całkowicie głuchych na głosy ludzi zaniepokojonych stanem środowiska i pracujących dla jego polepszenia. W końcu, oznacza to traktowanie w wyizolowany sposób poszczególnych zagrożeń, niepodjęcie zagadnień w sposób całościowy, co jest oczywistym podejściem całego ruchu ekologicznego działającego u podstaw, u samego źródła problemów.

TWORZENIE KONSENSUSU PO PRZEZ PARTNERSTWO

Jeżeli decyzje będą podejmowane na poziomie globalnym wtedy ogromna liczba partii będzie musiała porozumieć się w istotnych kwestiach, a przynajmniej ze sobą współpracować. Jest więc ożywcze dla całego projektu globalizacji i jego "skutku ubocznego" jakim jest eko-kapitalizm, że stawia wymagania, które trafiają do świadomości całego spektrum grup biznesu i rządów. Działa to na zasadzie samopotwierdzającej się przepowiedni: różnica między lewicą a prawicą zanika, gdy rola rządu, czy zdecentralizowanego "samorządu" ogranicza się do ułatwiania przepływu międzynarodowego kapitału.

Lecz samo porozumienie między rządem i biznesem nie wystarczy. Inni "udziałowcy" winni także wyrazić zgodę. W wielu zachodnich krajach obserwuje się rosnącą niezdolność związków zawodowych do skutecznej obrony pracowników. Wybierają w zamian współpracę z bossami dla promocji własnej gałęzi przemysłu. W dziedzinie ekologii zaś, to NGO-sy (organizacje pozarządowe) wzięły w swe ręce reprezentowanie społeczeństwa obywatelskiego. Przyjmuje się, że konsultacje z NGO-sami załatwiają sprawę mediacji problemów między opinią publiczną a biznesem/rządem. W rzeczywistości sytuacja postawiona jest na głowie, gdyż NGO-sy brane są pod uwagę tylko gdy idą na kompromis. W momencie, gdy zaczynają wspominać, że potrzebna jest radykalna, całościowa zmiana,

od razu tracą możliwość uprzywilejowanego dostępu do decydentów - po prostu nikt ich nie słucha.

WYJŚCIE Z KRYZYSU EKOLOGICZNEGO

W świecie, który zmienia się coraz szybciej, będą pojawiać się coraz to nowe problemy ekologiczne o nieznanym skutkach. Globalna zmiana klimatu jest tylko ekstremalnym przykładem. Zadaniem rządów i biznesu jest takie obchodzenie się z zagrożeniami, by nie miały one szkodliwego wpływu na kapitał. Zasada naczelną często wspominana w tym kontekście jest prawo pierwszeństwa w podejmowaniu działań, kiedy zagrożenie osądzone zostanie jako mogące naruszyć stan równowagi. Ale to co dotyczy równowagi, dotyczy także zysków: wiele sektorów gospodarki nastawione jest na wyciąganie kasy z zagrożeń np. przemysł ubezpieczeniowy, czy przyszły rynek obsługi ryzyka ekologicznego. Ten ostatni objawia się jako całkiem lukratywny interes.

Podejście to jest diametralnie różne od tego prezentowanego przez radykalny ruch ekologiczny, który motywowany jest poczuciem związku ze światem natury. We wspaniałym nowym świecie eko-kapitalizmu akceptuje się fakt, że społeczeństwo jest wyalienowane ze środowiska naturalnego i olewa się całą koncepcję współistnienia ze środowiskiem pozaludzkim. Dlatego by skutecznie rozwiązać problemy ekologiczne musimy przywrócić się źródłom technologii i kapitału. Warto także podkreślić, że ze względu na niepewność i



zagrożenie będące cechami charakterystycznymi nowego, ekonomicznie zglobalizowanego świata - podejście to jest esencją procesu globalizacji.

ODPOWIEDŹ NA EKO-KAPITALIZM

Eko-kapitalizm jest odpowiedzią na opór prowadzony przez ruch ekologiczny w XX wieku wobec systemu kapitalistycznego. Jest także próbą rozciągnięcia kapitalizmu i wartości kapitalistycznych na obszary do tej pory im niepodległe. Będąc podstawą globalizacji ekonomicznej wprowadza handel i rynek w coraz to nowe dziedziny życia - coraz to nowe obszary Południa są drenowane przez globalną gospodarkę i kolejne sfery życia zachodnich społeczeństw, tak jak edukacja czy ochrona zdrowia, inkorporowane są za pomocą prywatyzacji przez rynek. Przez ostatnie lata wiele ze światowych zasobów wodnych zagarniętych zostało w prywatne ręce, korporacje biotechnologiczne ścigają się, by zrobić to samo z zasobami żywności poprzez patentowanie genetycznie modyfikowanych odmian zbóż. Podejmowane są próby prywatyzacji atmosfery (np. szczyt klimatyczny w Hadze). Czy naprawdę chcemy żyć w świecie, gdzie wszystko podlegać będzie handlowej wymianie i wszystko będzie nam sprzedawane, w świecie, w którym wszystkie decyzje dotyczące naszego życia będą podejmowane tylko ze względu na ekonomiczny zysk i uczestnictwo w wyścigu szczurów? W Hadze inicjowano przekształcenie w towar światowych zasobów pierwiastka węgla, jednego z ważniejszych składników

otaczającego nas świata (atmosfera, lasy itd.). Lecz utowarowieniu podlegają także inne aspekty życia. Uprzedmiotowienie i trywializacja wprowadzane przez drobnych, dobrych kapitalistów, i rozpowszechniane przez prywatne, kapitalistyczne media, stają się naszą drugą naturą. Wspaniałość i okazałość natury przekształcana jest w "turystyczną atrakcję", czas staje się pieniądzem, edukacja i nauka jedynie środkiem do zbicia jeszcze większej kasy, standard życia mierzony jest zaś w ilości posiadanych rzeczy. To co możemy zrobić na codzień, to odmawiać swej legitymacji tym, którzy starają się kontrolować świat, niezależnie czy będzie to biznes, rząd, NGO czy partia twierdzące, że występują w naszym imieniu. Jeżeli chcemy przetrwać to najważniejsze jest zachowanie autonomii od tych dehumanizujących instytucji. Udział w globalnych szczytach - nie koniecznie w miejscu ich trwania - jest jednym ze sposobów na kontrofensywę. Motywacja do walki powinna jednak wynikać z codziennej naszej działalności i wartości, którymi żyjemy. Chodź oczywiście globalna solidarność jest bardzo ważna, nie stawiamy oporu tylko ze względu na trze-

ci świat, który niewątpliwie ucierpi jako pierwszy z powodu zmian klimatycznych. Chcemy wyrwać nasze życie z rąk tych, którzy starają się nas zdominować, stłamsić naszą wolność, naszą miłość do natury i poczucie piękna.

źródło: greenpepper magazine
tłum. Ł.D.

1 Trzy mechanizmy dostosowawcze (flexibility mechanisms) znane także pod nazwą "mechanizmów z Kioto" ("The Kyoto Mechanisms") to: Międzynarodowy Handel Emisjami (International Emissions Trading), Wspólne Wdrożenie (Joint Implementation - JI), Mechanizm Czystego Rozwoju (Clean Development Mechanism - CDM). Umożliwiają one państwom płacenie innym krajom za obniżenie emisji gazów cieplarnianych, zamiast redukcji ich we własnym.



Nieudane związki

Zgodnie ze słownikową definicją, głównym założeniem każdego związku zawodowego jest walka o prawa pracownicze. Dla każdego pracownika tenże związek powinien również stanowić silne oparcie w razie kłopotów w miejscu pracy. W tym krótkim tekście w skrócie nakreślona będzie postawa i pozycja dwóch największych central związkowych w Polsce - Solidarności i OPZZ.

W obecnej rzeczywistości realnym zagrożeniem dla ludzi nie jest bezpośrednio dyrektor, właściciel czy zarząd. Lecz jest nim ewidentna ingerencja państwa w gospodarkę, w postaci nakładania przeróżnych podatków, koncesji, a także ustaw działających na szkodę pracowników, jak np. obecne próby manipulacji przy kodeksie pracy. W myśl tych wszystkich ustaw, pracownik sprowadzony został do roli przedmiotu, wszelkie negocjacje rozgrywają się na linii pracodawcy-urzędnicy-bossowie związkowi.

Wracając do sedna sprawy - czy OPZZ i „Solidarność” to prawdziwe związki zawodowe? Można śmiało powiedzieć, że nie. Czy któryś z tych „związków” stanął do walki o faktyczne prawa pracownicze, a nie tylko takie, które dobrze sprzedają się w mediach, jak np. najazd „Solidarności” na Warszawę? Inną śmieszną sprawą są pokazywane w TV negocjacje biurokratów związkowych OPZZ z rządem, w chwili gdy te same osoby są w klubie poselskim SLD. Bo wszelkie marsze, akcje wywieszania transparentów z okien luksusowych rezydencji związkowych obchodzi rząd tyle co zeszłoroczny śnieg. Jest to bardzo wygodne, bo nie trzeba wychodzić z biurka, nie trzeba się specjalnie starać - a sumienie biurokracji związkowej jest czyste. Są to bankruci, którzy resztką starej popularności, lub przywi-

leju próbują pasować w zakładach pracy. Ściągając składki od pracowników (1% zarobku), nic dla nich nie robiąc - mydlą oczy bezowocnymi i bezsensownymi pertraktacjami z rządem.

Otóż rząd ma własny interes, a skoro rządzi i ma za plecami policję (w razie pracowniczych protestów nigdy nie waha się jej użyć) to interes rządu i ekipy go popierającej jest dobrze chroniony. Nie ugnie się on przed formalnym naciskiem nieudolnych wraków z OPZZ i „Solidarności”.

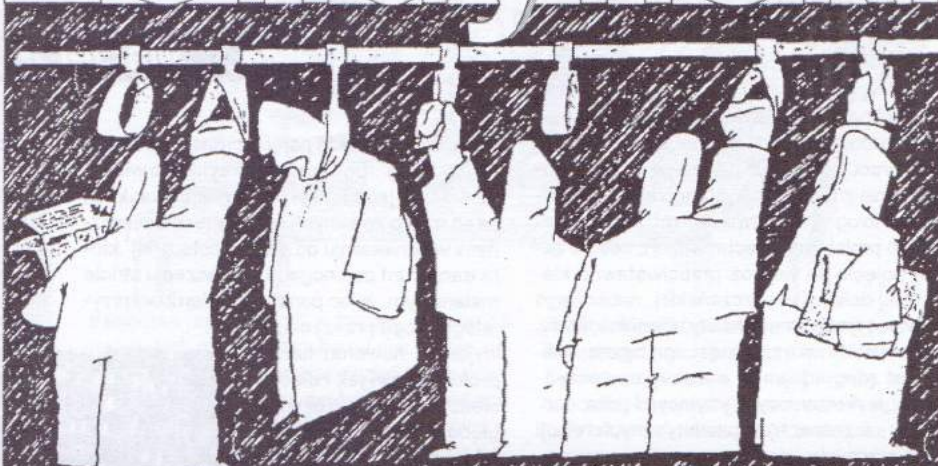
Co zostało z ducha NSZZ „Solidarność”? Chyba tylko goła nazwa, grupka cwanych aktywistów i sporo zdeorientowanych i oszukanych ludzi. Na pewno „Solidarność” nie jest niezależna - kontrolują ją aparatczyki związkowe, Kościół i cała masa polityków żerujących na etosie tego związku. Samorządna jest dlatego, bo chciałaby sama rządzić, dlatego m.in. stała do wyborów parlamentarnych. Skoro nie potrafi obronić pracownika przed wyzyskiem to czy słusznie ma prawo zwać się związkiem zawodowym?

Obie wspomniane formacje związkowe zachowujące pozory zrzeszają w kierownictwie masę karierowiczów i dorobkiewiczów, ludzi dążących do władzy. Czy można mieć zaufanie do „ugodowców”, karierowiczów i kolaborantów rządowych? Czy byli działacze PZPR z OPZZ, które dostatecznie skompromitowało się w stanie wojennym, mogą być obdarzeni zaufaniem? Czy takim zaufaniem można obdarzyć Krzaklewskiego, Śniadka i innych, którzy przez ostatnich kilka lat zdążyli pokazać co potrafią? Po stokroć nie! Nie słuchajmy ich kłamliwych argumentów, bo miejsce tych dwóch central związkowych znajduje się na śmietniku historii.

M.P.

Prywatyzacja firm publicznych ma z zasady być panaceum na wszelkie ich bolączki i niewydolności. Ma to nastąpić poprzez poddanie ich zasadzie konkurencyjności w ramach gospodarki wolnorynkowej. Tyle teoria, którą torpedują nas wszelkiej maści ekonomiści. Jeżeli tak, to pytam ich, dlaczego wielokrotnie otarłam się o załamanie nerwowe, jak również, od czasu do czasu, wpadałam w szaleńczą wściekłość podczas korzystania, przez ponad rok z usług sprywatyzowanego londyńskiego metra?

Londyński



“Bon Voyage”

Do niedawna najsprawniejszym sposobem poruszania się po tak ogromnej metropolii, jakim jest niewątpliwie Londyn, było metro. Wtedy jeszcze publiczne. I pewnie byłoby tak do dziś, gdyby w połowie lat dziewięćdziesiątych nie podjęto decyzji o jego prywatyzacji. Była to jednak prywatyzacja szczególna. Polegała ona na wysprzedaniu poszczególnych części przedsiębiorstwa małym firmom. Tak więc, torowiskami zarządza jedna firma, przesyłaniem sygnału elektrycznego inna, etc.

Powszechną praktyką podnoszenia swej konkurencyjności szeroko stosowaną przez prywatne firmy jest “cięcie kosztów” ich funkcjonowania. Zasada ta zdaje się być naczelną regułą, jakiej trzymają się firmy zarządzające londyńską kolejką podziemną. Polega to na zaniechaniu prowadzenia jakichkolwiek inwestycji. Mówiąc innymi słowami, na nie przeprowadzaniu niezbędnych remontów i modernizacji. Taka polityka musiała przynieść efekt i przyniosła! Dziś pasażer londyńskiej kolejki podziemnej musi przywyknąć do słów “suspended”, “delays”, “signal failure”, czyli zawieszenie kursu, jego opóźnienie, oraz brak sygnału elektrycznego, czyli brak dostawy prądu. Czasami przerwy pomiędzy pociągami, które normalnie kursują, co pięć, sześć minut, sięgają godziny lub więcej. Nie trudno sobie wyobrazić, jakie powoduje to reakcje wśród osób zmuszonych nimi jeździć.

Byłam jedną z nich. Zdarzyło mi się spędzić prawie dwie godziny w zatłoczonym, pełnym tak samo wystraszonych osób jak ja

wagonie, po tym jak piorun trafił w pozabawiony zabezpieczenia antypiorunowego transformator elektryczny. Innym razem, spędziłam w metrze ponad godzinę, stojąc dwadzieścia metrów od stacji docelowej, gdyż w budce stróżniczej wybuchł pożar. Jego powodem było spięcie elektryczne w wyeksploatowanym sprzęcie służącym do kontroli przepływu pociągów. Jasno chyba widać, że standard usług tak sprywatyzowanego przedsiębiorstwa sięgnął dna. Chcę tu dodać, że ceny przejazdów w Londynie są jednymi z najwyższych na świecie i ustępują jedynie tokijskim.

Jedyną grupą, której od początku zależy na zmianie tej sytuacji są związki zawodowe. Gdy prowadzone przez nie negocjacje z zarządami firm i władzami miasta nie przyniosły skutków, ogłosiły serię jednodziennych strajków. Naczelnym ich postulatem było podwyższenie bezpieczeństwa pasażerów. Strajki te, mimo ich oczywistej niedogodności cieszyły się ogromnym poparciem Londyńczyków. W ich efekcie, mer Londynu Ken Livingstone ogłosił decyzję o wielomilionowej dotacji dla stołecznego metra. Pozostaje jednak pytanie, które zadaje się obecnie zadawać znaczna część brytyjskiego społeczeństwa, jaki jest sens przeprowadzania prywatyzacji, do której trzeba później dopłacać z kieszeni podatnika?

Odpowiedź na to pytanie jest wielce istotna, gdyż władze podjęły decyzję o prywatyzacji punktów kontroli lotów!

Beata Kubica

Nowy Lumpenproletariat?

Maciej Późny

Tak można określić sytuację prowizorycznego zatrudnienia, w której znalazły się miliony ludzi pracujących, już nie pracujących i młodzieży nie znającej co to stała praca. Poprawny etymologicznie termin brzmi: podproletariat lub proletariat w łachmanach. Jest to zatem pojęcie na wskroś przeciwstawne klasycznej definicji mieszczańskiej „ naukowego i rewolucyjnego materialisty” Engelsa, który, jak przystało na moralizującego bigota, definiował zdegradowane warstwy społeczeństwa - „wykorzenieni”, żyjącymi poza, pod, (lub w szczelinach) kapitalistycznych relacji produkcyjnych.

„Pod-proletariat” powiedzielibyśmy, jako że stanowi tę część korpusu społecznego, która wyrzucona jest poza nawias „praw mieszczańskich” za sprawą zupełnego i długotrwałego wyczerpania własnej siły roboczej oraz destruktywnej prowizoryczności ekonomicznej i egzystencjalnej, kiedy to nadzieja na uzyskanie jakiegokolwiek (dorywczej) pracy - ciężkiej, niskopłatnej i na zlecenie - staje się karkładową formą wyzwolenia w wymiarze jednostkowym i społecznym.

Moglibyśmy użyć tego tytułowego określenia powodując się również faktem, iż opisywana tu warstwa społeczna, będąca potencjalną siłą roboczą - w odróżnieniu od klasycznego przemysłowego wojska rezerw (jakże bardzo nadużywali tych neoplatonickich kategorii „naukowcy” rewolucji!) - nie żyje w czasowym zawieszeniu własnego „zrealizowania się”, ale wyłączona jest definitywnie z czynnego życia zawodowego.

„Pod-proletariat” także dlatego, że wygnanie (pracownika) z kapitalistycznej „świątyni” pracy - fabryki, warsztatu, firmy - pociąga za sobą totalny upadek kontaktów typowych dla wspólnoty, opartych na rywalizacji i uległości wobec swoistych obrzędów błagalnych, polegających na zbiorowym zużywaniu energii fizycznych i umysłowych.

I wreszcie „pod-proletariat”, ponieważ pokonany politycznie i przekonany o własnej marginalności i braku znaczenia, w stosunku do postępowości i niewyczerpanej vitalności triumfujących sił kapitału.

A jednak, pomimo, że dzisiaj dramat podziału klasowego rozgrywa się w cieniu teoretycz-

nych i analitycznych pojęć: „prowizoryczność, globalizacja”, powinno się przyjąć do wiadomości fakt jego istnienia. Ale, lepiej uniknąć tyrad naszpikowanych pojęciami metafizycznymi w odniesieniu do grupy społecznej, która traci grunt pod nogami w znaczeniu stricte materialnym, żyjąc poniżej standardowo przyjętego progu przeżycia. Aby wyjaśnić nowemu lumpenproletariatowi jak i dlaczego siedzi w gównie, o czym jest głęboko przekonany, powinniśmy prawdopodobnie zanalizować szczegółowo świadomą podmiotowość - lub jej resztki - które jeszcze tkwią w upadłych i odrzuconych jednostkach klasy pracującej. A więc należy zrozumieć dlaczego w podświadomości proletariat został wprowadzony obraz epokowej klęski zanim jeszcze znane były jej rozmiary i przede wszystkim, niezależnie od sprzeczności i związanej z nią nieporadności, z którą społeczeństwo kapitału stawiało czoło momentowi rzekomego wyjścia z najbardziej delikatnej fazy kryzysu. Od czasu, kiedy to zdawało się jeszcze możliwe dokonanie przełomu klasowego, choćby tylko ograniczonego do obrony na poziomie związków zawodowych, w błędnym kole: kryzys - odbudowa - atak na pracujących - znowu odbudowa - nowy atak, rozprzestrzenił się w zadziwiająco szybkim tempie jakiś rodzaj świadomości w kwestii istniejącego niebezpieczeństwa ze strony trzech czynników: kapitalizm - rząd - państwowe związki zawodowe, które to czynniki łącząc się, atakują niedobitki niepokornych przedstawicieli klasy pracującej.

Ta „odwrócona” świadomość zagościła zarówno w umysłach członków proletariat usuniętych, po ciężkich nieraz walkach, z tkanki produkcyjnej, jak i wśród tych, którzy utracili pracę z powodu masowych zwolnień (w firmach, zakładach), a także wśród rosnącej rzeszy ludzi pracujących tylko dorywczo, i w końcu wśród ludzi młodych, dla których perspektywa uzyskania stałej pracy coraz bardziej traciła ostrość, przybierając zwiernie kształty

nieuchwytnego mirażu czy zjawiska o charakterze mitycznym.

Przykre konsekwencje, wynikające z ciągłych ataków o potrójnej sile, dotknęły także osoby szczerzące się jeszcze posiadaniem stałej pracy. Są oni nękani wizją: jej utraty (a więc ulegają wszelkim formom wyzysku, jakie im

się narzuca - inne tempo pracy, inny czas itp.), państwowymi związkami zawodowymi obsadzonymi przez mafie i niewydolność struktur hipotetycznych baz alternatywnych. Jeśli chodzi natomiast o czynniki reprezentujące proletariat na arenie politycznej, to otrzymamy obraz jeszcze bardziej mętny. Ale zostawmy to wszystko na boku (mówiliśmy to sobie już i powtarzaliśmy wiele razy) i postawmy sobie ze szczerą brutalnością następujące pytania, trochę nietypowe i o trudnych odpowiedziach:

- jeśli zjawisko lumpenproletariatu jest tendencją strukturalną i pociąga za sobą coraz większy rozdziewiek w stosunku do „wyższych” warstw proletariat, w jaki sposób może dojść do odrodzenia się całej klasy?

- jeśli metody analityczne wynikające z hierarchii politycznej, związkowej i społecznej okazują się nieadekwatne do zaprogramowania praktycznego zrewolucjonizowania społeczeństwa w całej jego złożoności, co zatem powinniśmy w tym względzie zmienić?

- jeśli „odwrócona” świadomość cofa się z pozycji zaangażowanych społecznie do jednostkowej apolityczności, jakie znaczenie mają i jak się sytuują na tym tle zjawiska antyspołeczności zorganizowanej, oparte na rozkładzie istniejących stosunków społecznych kapitalistycznych?

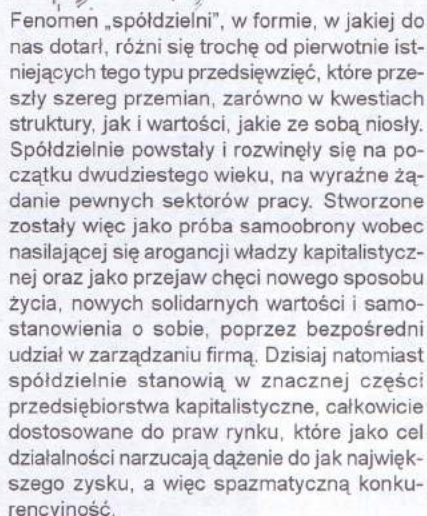
- Jeśli nie odpowiada nam ani rola hieratycznych kaznodziejów, głoszących wywrotowość społeczną nie na czasie, ani rola patetycznych przewodników schyłkowych wobec postępującego barbarzyństwa kapitalizmu, cóż nam pozostaje? Jakiej warstwy społecznej, jakiego interesu zbiorowego stanowimy część? Gdzie się widzimy jako działająca mniejszość?

Czy to są prowokacje? Rzekibyśmy raczej, pytania uzasadnione. W każdym razie nieumiejętność udzielenia odpowiedzi nie zwalnia nas z poszukiwań słusznym pytań.



dukcyjnej, jak i wśród tych, którzy utracili pracę z powodu masowych zwolnień (w firmach, zakładach), a także wśród rosnącej rzeszy ludzi pracujących tylko dorywczo, i w końcu wśród ludzi młodych, dla których perspektywa uzyskania stałej pracy coraz bardziej traciła ostrość, przybierając zwiernie kształty

Maciej Późny



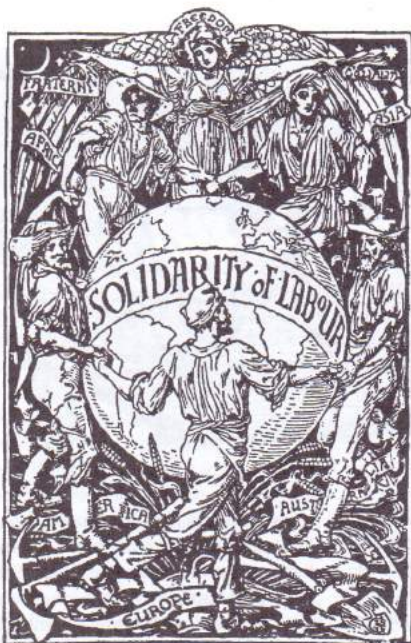
Jesteśmy świadkami olbrzymich nieraz spółdzielni, w których wspólnicy-pracownicy poddani są reżimowi totalnego wyzysku, przy znikomym zabezpieczeniu (własnych praw) i prowizoryczności, a także uwikłani w wewnętrzne regulaminy bardzo ograniczające, tak, iż fikcją okazuje się władza decyzyjna tych szumnie zwanych „wspólników”. Również w obrębie samych spółdzielni, rady administracyjne chętnie przeobraziły się w prawdziwych kapitalistów, zachowujących pełną władzę, tak, iż rzadko dochodzi do konsultowania z „bazą” i tylko wówczas, gdy jest to wygodne dla „góry”. Wygląda to w ten sposób, że rada administracyjna zbiera się na zebraniach czysto formalnych, po to, aby „demokratycznie” i legalnie uchwalić, to, co zostało już postanowione, zaś pracownicy nieznający się na omawianych materiałach, zgadzają się na wszystko albo prawie na wszystko. Oczywiście wina częściowo spada na pracowników zbyt biernie przyglądających się takiemu biegowi rzeczy (jest to aspekt wspólny wszystkim sektorom pracy), ale często zapomina się o tym, że ci „wspólnicy” zostali umyślnie wprowadzeni w sytuację kompletnego poczucia abstrakcji w sprawach dotyczących zarządzania spółdzielnią.

Czasami ktoś wspomina jeszcze idealistyczną wizję spółdzielni, ale tylko w celu uzyskania ulg i korzyści prawnych. Jesteśmy dziś zatem świadkami sprzeczności pomiędzy spół-

działnią idealną, pojętą jako zespół pracowników pragnących polepszyć własne warunki bytowe i społeczne, pomijając przy tym pośrednika-kapitalistę, a rzeczywistością „natury biznesu”, która to sprzeczność rozwiązywana jest coraz częściej na korzyść tego drugiego aspektu. Możemy tu wyróżnić co najmniej dwie zasadnicze przyczyny:

- pierwsza to tak zwany „węzeł ekonomiczny”, właściwy naturze biznesu, która w celu uniknięcia własnej eliminacji z rynku, przystosowuje się, bardziej lub mniej świadomie do zasady konkurencyjności i do praw rynku;
- druga ma charakter społeczno-polityczny: jednostka jest do tego stopnia oswojona z rzeczywistością, w jakiej przyszło jej żyć, że nie żywi już żadnych aspiracji, aby czynić wokół siebie „najlepszy z możliwych światów. W związku z tym brakiem samowiedomości trudne jest wytworzenie w sobie zdolności do przekształcania rzeczywistości otaczającej, do jej wyzwalań.

Nieco różnią się od powyżej opisanych małe spółdzielnie, gdzie wspólnik bywa jeszcze dopuszczany do udziału w zarządzaniu przedsiębiorstwem, ale odbywa się to kosztem autowyzysku, zaś związki zawodowe okazują się niesprawne, by temu zapobiec. Jednak w zasadzie, według logiki rynkowej, dzieje się tak, iż te drobne spółdzielnie upadają lub bywają wchłonięte przez większe. Zdarza się też, iż właściwe znajomości w świecie polityki pozwalają im przetrwać i działać w cieniu kolosów kapitalizmu. Ale pomimo tego, właśnie małe spółdzielnie są dziś jeszcze nadzieją, że kiedyś wróci się może do faktycznej samorządności w tej dziedzinie. Spółdzielnie „opłacają się” z powodu niskich kosztów i ulg podatkowych, choć nieraz ma miejsce fikcyjny przetarg. Ofiarami tych nadużyć są zarówno klienci, jak sami wspólnicy. Związki zawodowe, w teorii mające bronić ich praw, nie potrafią się odnaleźć w nowej rzeczywistości i przyjęły symboliczną rolę kontrolerów, która bywa czasami kłopotliwa dla wspólników (zdarza się, że zmuszani są do podpisania niekorzystnych dla siebie kontraktów, regulaminów itp.). Z tego powodu pożądane byłoby stworzenie komitetów związkowych wewnątrz spółdzielni społecznych, które uwolniłaby je od instytucjonalnych związków.



Hymn Spółdzielców „Oto staje nas wolna gromada”

słowa: Kazimierz Andrzej Czyżewski, muzyka: Lucjan Rogowski

Oto staje nas wolna gromada
Budowniczych tworzących swój świat,
W których złoty cielec już nie włada,
A nowego w nim życia tkwi ład.

Niech się niesie ten nasz bratni śpiew
Do miast wszystkich, do siół, do gmin,
Niech woła jak zew, że kto ziemi tej syn,
Ten niech staje w nasz szereg jak brat,
Z prochu dźwignąć ku słońcu ten świat.

Nam nie trzeba ni władzy, ni złota,
Bowiem duch nasz sprawuje nam rząd,
Prawem naszym braterska spółnota,
Wszelki wyzysk wyniszczym jak trąd.

Niech się niesie ten nasz bratni śpiew
Do miast wszystkich, do siół i do gmin,
Niech woła jak zew, że kto ziemi tej syn,
Ten niech staje w nasz szereg jak brat,
Z prochu dźwignąć ku słońcu ten świat.

Z dłonią w dłoni, jak żywe ogniwa,
Świat opleciem łańcuchem swych rąk,
Krzywdę miłość zagładzi prawdziwa,
W radość pracy zamieni znój mąk.

Niech się niesie ten nasz bratni śpiew
Do miast wszystkich, do siół, do gmin,
Niech woła jak zew, że kto ziemi tej syn,
Ten niech staje w nasz szereg jak brat,
Z prochu dźwignąć ku słońcu ten świat.

B. I. E. D. A.

Moja przygoda z „BIEDĄ” rozpoczęła się całkiem przypadkowo. Tym przypadkiem był afisz koło osiedlowego sklepu, z którego wynikało, że tworzy się nowa szansa znalezienia zatrudnienia. Tę szansę miała stworzyć „Bezrobotna Inicjatywa Ekonomiczna dla Aktywnych”, bo tak brzmi jej pełna nazwa.

Zachęcona tym plakatem udałam się do siedziby owej „BIEDY”. Skromne biuro w postkomunistycznym biurcu nie wyglądało imponująco. Ale za to zajmowali je sympatyczni ludzie. Po zapoznaniu się z założeniami przyświecającymi „BIEDZIE”, postanowiłam znaleźć w niej swoje miejsce.

Głównym celem „BIEDY” okazała się aktywizacja środowiska ludzi pozostających bez pracy. Struktura ta skupia ludzi, którzy poprzez swoje pomysły, doświadczenie, znajomości czy fundusze mogą czynnie wspierać potrzebujących. Dzięki tworzeniu takiej sieci osób, wzrastają potencjalne możliwości każdego z jej uczestników. Samotnemu człowiekowi trudniej odnaleźć się w obliczu życiowych zawirowań, a mając pomoc i życzliwość przyjaznych twarzyszy, można przemóc własne słabości i lęki i stawić czoła problemom.

Dla mnie takim stanem zapalnym było właśnie bezrobocie. Wprawdzie przesłam w życiu przez niejedną firmę (zaczęłam w wieku 12 lat jako składaczka komputerowa i korektorka książek) i niejedno widziałam, ale ciągle borykałam się z brakiem stałej pracy. Wiadomo, w kraju sytuacja gospodarcza nieciekawa. Z drugiej strony mówią, że jak się chce, to góry przenosić można. Tak naprawdę czynników, które mają wpływ na nasz los, jest wiele.

Jednym z głównych postulatów „BIEDY” jest samoorganizacja. Dla mnie jest to hasło-klucz, które powinno otwierać zamknięte drzwi. Niestety, w naszym kraju, gdzie znaczna większość przyzwyczajona była do pseudoopiekunczego państwa, ludzie nie są zdolni do samodzielnego myślenia i funkcjonowania, wolą tzw. postawę roszczeniową. Na przeciwnym biegunie „czają się” kapitalistyczni wyzyskiwacze, którzy przedmiotowo traktują swych podwładnych. W obliczu takich rozbieżności przeciętnemu rodakowi ciężko znaleźć własną drogę. Z jednej strony marzenia o lepszym życiu, z drugiej - determinacja. Co pozostaje w tej sytuacji? Na cuda raczej liczyć nie można, bo nigdy nie wiadomo, kiedy się wydarzą. Liczyć można na siebie. Do tego wiara we własne siły i pomocna dłoń, a wyniki mogą być czasem zdumiewające.

Mój wybór był prosty. „BIEDA” zaintrygowała mnie. W ten oto sposób zostałam redaktorką jej pisma - „PRACA.PL”. Dzięki swojemu doświadczeniu potrafiłam nie tylko napisać artykuł, ale i dopiąć wszystkiego na ostatni guzik. A nie było łatwo, o czym każdy wydawca gazety wie. Celem naszego nieregularnika miało być propagowanie „BIEDY” i zachęcanie do przyłączenia się do nas. Oprócz tego doszły występy w telewizji (zarówno regionalnej, jak i lokalnej), audycje radiowe, wzmianki w prasie. Zaczęło być głośno.

Tak się akurat dla mnie szczęśliwie złożyło, że firma będąca przyjaciółem „BIEDY”, poszukiwała pracownika biurowego. I już po niedługim czasie właśnie nim zostałam. Tak oto zadziałała formuła pomocy wzajemnej. Dlatego struktury „BIEDY” mają w swych szeregach nie tylko takich, jak ja, ale też takich, jak mój obecny pracodawca.

Mój przykład, jak i cała idea „BIEDY”, mogą być inspiracją dla ludzi i organizacji zainteresowanych tematyką socjalną. Osobiście zachęcam do tworzenia podobnych grup wsparcia. Są one szansą dla wielu, którzy dawno stracili nadzieję. I żebym nie była głosowna, przytoczę przykłady z Wielkopolski. Gazeta „PRACA.PL” była okresowo refundowana przez Powiatowy Urząd Pracy (roboty publiczne). Otworzono stołówkę w gimnazjum. Grupa budowlanców uruchomiła serwis remontowy. Rozwija się biuro rachunkowe. A pomysłów wciąż nie brakuje. Oprócz korzyści wymiernych (zarobek), są dodatkowe - zawiązały się znajomości (w grupie różnych). Dzięki tym oddanym inicjatywom, chronicznie bezrobotni znaleźli pracę, uzyskali wsparcie psychiczne i nie tylko (były nawet paczki żywnościowe pozyskane z darów i uroczysty oplatek zorganizowany specjalnie dla bezrobotnych).

Mogłabym jeszcze pewnie więcej napisać, ale wszystkich zaciekawionych szczegółami dotyczącymi „BIEDY” odsyłam na stronę internetową - www.bieda.prv.pl i zachęcam do aktywności. Śmieję!

Jagoda Brzozowska (FA-Poznań)

KLIMAT NA NEOKOLONIALIZM



Negocjacje na szczytach klimatycznych są częścią globalnej polityki neokolonizacyjnej krajów bogatej Północy. W 1997 rządy podpisały porozumienie, które miało na celu redukcję emisji dwutlenku węgla do atmosfery i ochronę świata przed niszczącymi środowisko i ludzi zmianami klimatu. Po 4 latach i po kolejnych szczytach klimatycznych w Hadze i w Bonn, porozumienie - Protokół z Kioto - pozostaje pustą obietnicą. W zamian za to kraje bogatej Północy, zamiast ograniczać ilość zużywanych paliw nieodnawialnych, zaczynają używać „zezwoleń na emisje”, według najlepszych wzorów zaczerpniętych z historii kolonializmu, do jeszcze większego uzależnienia krajów biedniejszych od rynków światowych, a co za tym idzie, do dalszej eksploatacji krajów Południa.

Jest jasne, że to kraje uprzemysłowionej Północy są zobowiązane do walki ze zmianami klimatu. Takie były postanowienia konferencji w Rio de Janeiro w 1992 i takie były założenia pięć lat później, gdy Protokół z Kioto wyznaczył redukcję emisji tylko dla krajów uprzemysłowionych.

Jednak Północ, pod wodzą USA (choć konferencja w Bonn przynosi nadzieję na zmianę tego układu), wzywa kraje Południa do „znaczącego uczestnictwa” w redukcji emisji. Senat Stanów Zjednoczonych wprost zadeklarował, że nie będzie ratyfikacji Protokołu, dopóki nie zostaną wyznaczone limity emisji dla krajów południowych. Argumentacja przebiega po takiej linii: choć do tej pory odpowiedzialność za światowe ocieplenie klimatu ponoszą kraje uprzemysłowione, to jednak wkrótce może się to zmienić. Emisje z krajów rozwijających się rosną w stosunku 5% rocznie. W ciągu najbliższych dekad kraje Południa, biorąc pod uwagę ich wzrost gospodarczy i populacyjny, zajmą pozycję lidera w produkcji gazów cieplarnianych. Na pierwszy rzut oka rozumowanie jest całkiem poprawne, a władze USA jak zwykle ucieleśniają cnotę sprawiedliwości. Kraje południa powinny podać pomocną dłoń, by wspólnie zwalczyć zagrożenie. Wszyscy będą zadowoleni, szczególnie Zieloni. Nieprawdą? Otóż, nie.

To bogaci są odpowiedzialni

Kraje uprzemysłowione nadal produkują ponad 60 procent światowego dwutlenku węgla, mimo że zamieszkuje je tylko ćwierć światowej populacji. Przeciętny mieszkaniec Afryki wytwarza jedną dziesiątą tego co przekłada się na głowę mieszkańca „krajów rozwiniętych”. Osoba zamieszkująca zaś Stany Zjednoczone uczestniczy w emisji gazów cieplarnianych 22-krotnie większej od mieszkańca Indii.

Wielka część emisji pochodzących z krajów Południa jest de facto powodowana przez kraje Północy. Emisje pochodzące z krajów OPEC (Organisation of Petroleum Exporting Countries - organizacja krajów eksportujących ropę), związane są głównie z produkcją ropy. Jednak to bogate kraje OECD (Organisation for Economic Cooperation and Development - organizacja na rzecz współpracy i rozwoju) są konsumentem niemal dwóch trzecich światowego wydobycia ropy! W innych krajach Południa emisje dwutlenku węgla powodowane są np. deforestacją, prowadzoną na rzecz kompanii handlujących drewnem, bądź mięsem hodowanych, na miejscu lasów, zwierząt.

Te wszystkie liczby, powtarzane wielokrotnie, mogą już być nudne, lecz nie zmienia to faktu, że są prawdziwe. Teraz na dodatek przygotowywany jest mechanizm, który umożliwi krajom bogatym na tej nierówności dodatkowo zarobić pod hasłem walki z efektem cieplarnianym.

Luksus kontra podstawowe potrzeby

Istotna jest także różnica w pochodzeniu zanieczyszczeń. Emisje z bogatych krajów pochodzą głównie z produkcji luksusowych dóbr ery nadkonsumpcji, pracy wielu urzędników domowych, ogrzewania wielkich domów, powierzchni sklepowych i biurowych, napędzania prywatnych samochodów. Produkcja zanieczyszczeń z Południa związana jest często z zaspokajaniem podstawowych potrzeb życiowych - uprawy ryżu, hodowli bydła, wyrebu leśnych poletek.

Debt ekologiczny

Musimy być świadomi, iż wbrew temu co powszechnie twierdzą instytucje międzynarodowe i rządy bogatej Północy, to właśnie te kraje mają ogromny, niespłacony dług. Wynika on z odpowiedzialności krajów Północy za zniszczenia ekologiczne na Południu, a co za tym idzie, za scentralizowanie kapitału i wywóz surowców naturalnych, co uniemożliwia krajom biednym zapobieżenie dalszej degradacji ekologicznej, społecznej, etc. Jeżeli słyszymy obecnie o wypłacaniu odszkodowań ofiarom II wojny światowej, to wyobraźmy sobie sumę pieniędzy, która musiałaby być przekazana krajom Południa po przeliczeniu zniszczeń ekologicznych na „żywy” pieniądź. W tym kontekście, umarzenie przez Bank Światowy i MFW drobnego odsetka finansowego długu Południa jest żalosnym i desperackim krokiem, by zachować twarz w momencie, gdy prawdziwe gówno trafi w wentylator.

Handel emisjami

W zamian za odszkodowanie proponuje się mechanizmy, które umożliwią dalszy drenaż krajów bogatych w surowce, acz jakimś dziwnym trafem maluczkich na „wolnym” rynku.

Handel emisjami pozwoli jednym państwom sprzedawać innym część pozwoleń na emisje. Należy się spodziewać, iż wiele krajów przekaże to prawo poszczególnym firmom i korporacjom, i handel będzie odbywał się raczej między nimi, a nie między państwami.

mi. Więc, na przykład, jeżeli jesteś właścicielem fabryki, możesz zdecydować się na kupno relatywnie tańszych pozwoleń na emisję, niż wydać pieniądze na wydajniejsze, energooszczędne urządzenia. Pomysł zakłada, że rynek sam spowoduje redukcję emisji przeprowadzoną jak najniższym nakładem finansowym. Twierdzi się także, że zyski osiągnięte z handlu pozwoleniami na emisję, będą zachętą do redukcji samych emisji. Mechanizm „Współwzrostu” (Join Implementation) umożliwia subsydiowanie (państwu, bądź korporacji) projektu redukcji emisji w innym kraju. Warunkiem było wcześniejsze określenie docelowego poziomu redukcji emisji podczas konferencji w Kioto. W zamian, jednostka subsydiująca otrzymuje zwiększony „kredyt” na emisję.

Pierwsze, co od razu zostało poddane krytyce, to oczywiście zaniżone deklaracje redukcji. Na przykład Rosja i Ukraina zobowiązały się powrócić do poziomu emisji z 1990 roku, podczas gdy w 1997 ten poziom był o 30% niższy od notowanego w 1990. Ten sam problem dotyczy Polski. Jest to spowodowane załamaniem się przemysłu po upadku komunizmu. Umożliwi to krajom, takim jak USA, odkupienie tanim kosztem nadwyżki kredytu np. od Rosji, zamiast likwidacji problemu nadkonsumpcji i kultury jednorazowych produktów.

Ważniejszym problemem, jest to, iż mechanizmy rynkowe są ślepe i nie rozróżniają rodzaju projektów redukujących emisję. Wynagradzane mogą być więc inwestycje, które także mają szkodliwy wpływ na regiony, gdzie je podjęto. Na przykład wielkie tamy, które powodują nie tylko ogromne zniszczenia ekologiczne, ale wiążą się też z wysie-



dlaniem ludności i niszczeniem lokalnych kultur, czy elektrownie jądrowe, które stanowią kolejne, osobne zagrożenie. Powodują one obniżenie wskaźników emisji gazów cieplarnianych, lecz skutkują degradacją ekosystemu w innym zakresie. Jeszcze bardziej kosztowne są plany powiązania mechanizmów kredytowych z tworzeniem plantacji leśnych.

Upolityczniona fotosynteza

Możliwość absorbowania dwutlenku węgla przez drzewa jest postrzegana przez wiele rządów jako alternatywa dla redukcji zużycia paliw nieodnawialnych. Niby logiczne. Spalanie węgla, ropy, etc, uwalnia do atmosfery dwutlenek węgla, a drzewa go pobierają i wiążą w swych organizmach. Po odjęciu

więcej ilości dwutlenku węgla odłożonego przez lasy od ilości CO₂ wyemitowanego, uzyskiwano by dopiero ostateczną wartość emisji z danego regionu. Powierzchnie leśne miałyby być więc substytutem redukcji emisji gazów cieplarnianych. Lecz jak w przypadku klimatu, rzadko bywa coś tak proste.

Widoczna absorpcja dwutlenku węgla odbywa się przy szybkim przyroście biomasy. Szybko rosnąca monokultura leśna absorbuje więcej CO₂ niż dojrzały las mieszany. Jest on co prawda największym magazynem dwutlenku, lecz jego przyrost jest ustabilizowany, więc z punktu widzenia mechanizmów redukcji emisji - niewydajny. To znaczy, że na przykład lasy tropikalne z ekonomicznego punktu (uzyskanie lukratywnych kredytów na emisję) są mniej wartościowe, a ochrona naturalnej bioróżnorodności przegrywa z zyskiem jaki można wyciągnąć z „odkładania masy drzewnej”. Paradoksalnie, konwencje o Bioróżnorodności i Zmianach Klimatycznych zostały podpisane razem, choć właśnie idea „wymenników” leśnych zawarta w drugiej z nich znacznie ograniczy bioróżnorodność.

Powstaje realne zagrożenie, iż dojrzałe lasy będą regularnie „koszone”, by utrzymać wydajność w odkładaniu się CO₂. Może mieć to miejsce w krajach uboższych, na których terytorium rośnie las tropikalny, gdyż będą one liczyć na jakąś ekstra gotówkę z odsprzedanych kredytów na emisję dwutlenku węgla. I nie jest to jedyna kontrowersyjna kwestia związana z konwencjami klimatycznymi. Powstaje na przykład pytanie, jaki skutek będzie miało przetransferowanie takiej ilości węgla (pierwiastka) z litosfery do biosfery, gdyż jest to proces w zasadzie nieodwracalny. Itd., itp. Problem jest bardzo rozległy i nie do streszczenia w tak krótkim artykule.

Wojny karbonowe

Jeżeli rozpatrzyć te kwestie i stwierdzisz, że zmiany klimatyczne spowodowane są przez nadmierne zużycie przez bogatych paliw kopalnych, wydobywanych często kosztem biednych; że to właśnie biedni jako pierwsi odczuwają efekty zmian klimatycznych, ponieważ tylko bogaci są w stanie, dzięki przemocy pozwolić sobie na mechanizmy dostosowawcze; że proces, który ma nas uchronić przed zmianą klimatu zależy wyłącznie od bogatych, a który będzie pretekstem do kolejnej eksploatacji, przesiedleń i likwidacji biednych; wtedy przestaniesz postrzegać zmiany klimatyczne jako problem atmosfery i gazów cieplarnianych, a zaczniesz go widzieć jako kwestię walki klas...



„Bush sra na Kioto, my sramy na niego”
demonstracja w Berlinie podczas wizyty prezydenta USA w tym mieście.

na podstawie green pepper magazine
opracował Łukasz Dąbrowiecki

Syndrom morderczej żony

Psycholodzy kliniczni pracujący metodą terapii systemowej dopracowali się swego czasu opisu specyficznych zachowań kobiety wychowującej dzieci, który zyskał miano - „syndromu schizofrenogennej matki”. Matka taka - będąc osobą słabą społecznie - miała odreagowywać deficyty władzy w domu poprzez kontrolowanie dzieci z pomocą tzw. podwójnej komunikacji. Tak więc, odwołując się do własnego cierpienia uruchamiała poczucie winy u swoich latorośli i na przykład mawiała tak: Ty sobie dziecko pójdź na tę dyskotekę, matka tu samotnie będzie patrzeć w sufit - ale przecież najważniejsze jest, byś ty była szczęśliwa.

W tej konstelacji rodzinnej w ramach antytezy zaistniał też po czasie jakimś „schizofrenogenny ojciec” - tj. rodzic płci męskiej, który generalnie rzecz biorąc był rodzicem nieobecnym. Dla otuchy matkom, ojcom dodam, że żywot owego syndromu był stosunkowo krótki.

Spiesząc z wypełnieniem luki po nie dość rzetelnych a i zmurzałych koncepcjach - postanowiłam i ja wydobyć się na własną propozycję syndromu.

Tak też proponuję wprowadzić w dyskurs syndrom morderczej żony, który zdecydowanie wymaga dalszych dookreśleń, ale być może Czytelniczki i Czytelnicy skonstruują komentarz, bądź też twórczą antytezę.

W trakcie wywiadów z kobietami osadzonymi w związku z zabójstwem osób bliskich okazało się, że kobiety te zdecydowanie różnią się od mężczyzn odbywających karę za analogiczne przestępstwa. W doświadczeniu wszystkich kobiet, z którymi rozmawiałam (15 osób), ich dzieciństwie, związkach małżeńskich czy wreszcie w podejściu do czynu karalnego i wyroku istnieje wiele punktów stycznych. Wielopokoleniowy przekaz nie wprost, że dziewczynki są mniejszym sukcesem rodzicielskim i zyskują wartość dopiero po wyjściu za mąż, częsta przemoc domowa doświadczana przez obu małżonków w rodzinie generacyjnej, traktowanie nieodpowiedzialności, nieróbstwa i swobody towarzyskiej mężczyzny jako swoistego atrybutu płci męskiej to tylko niektóre z tych punktów stycznych. W historii Jadwigi pojawia się dodatkowo brak więzi z innymi kobietami - w tym wypadku są to siostry znajdujące się w równie dramatycznej sytuacji (maltretowanie, gwałty, drastyczne ograniczanie przestrzeni życiowej), wstyd a wręcz nie możliwość poszukiwania pomocy i wsparcia, nie umiejętność

radzenia sobie z uczuciami negatywnymi, przymus pokuty, obwinianie się i myśli samobójcze. Cechą bardzo znamionną u wszystkich osadzonych kobiet z którymi prowadziłam rozmowy jest ulokowanie całej winy w sobie, brak zdolności formułowania ocen negatywnych w stosunku do osób trzecich.

Zarówno policja jak i adwokat z urzędu czy psycholog - jak wynika z relacji Pani Jadwigi dopuścili się wielu uchybień i nadużyć proceduralnych. Pani Jadwiga mówi o tym na poziomie opisu zdarzeń - oceniając je jednak globalnie - mówi, że uzyskała wszelką możliwą pomoc od funkcjonariuszy i pełnomocników z którymi miała kontakt od momentu krytycznego zdarzenia.

Podobne zachowania właściwe są również i innym badanym przeze mnie kobietom. Być może syndrom roboczo nazwany syndromem zabójczej żony byłby dobrym punktem wyjścia do debaty nad zbrodnią i karą w zaciśniętym domowym. Zwykle zaczyna się ona znacznie wcześniej niż w samym tylko krytycznym momencie, a ukrytych współsprawców na tej scenie dramatu jest co najmniej kilku.

W moim oglądzie - w przypadku większości kobiet osadzonych w związku z zabójstwem osób bliskich istnieją wyraźne znamiona przekroczenia obrony koniecznej nie zaś zbrodni z premedytacją (a taką kwalifikację czynu miały wszystkie moje rozmówczynie) - historia Pani Jadwigi zdaje się być tutaj dobrym przykładem.

Oto relacja Pani Jadwigi, która odbywa obecnie 8-letni wyrok pozbawienia wolności w związku z zabójstwem męża:

Mam lat 28, za mąż wyszłam w wieku 23 lat, w domu rodzinnym byłam dobrze traktowana. Mam dwie siostry, jedna młodszą o dwa lata, druga starsza o rok. Zanim wyszłam za mąż to znałam męża już cztery lata, on był z mojej miejscowości chciałam mieć normalny związek, tak żeby wszystko było wspólne, na stopie partnerskiej. Na początku z mężem dogadywaliśmy się normalnie, ale jego buntowała rodzina, koledzy. Wszystkie trzy siostry ożenione były z chłopakami z jednej ulicy. Wszyscy oni mają takie same charaktery i siostry też są bite. Ale one cicho siedzą, bo gdzieś pójdzie z trójką dzieci. Druga siostra też ma dwójkę.

Ojciec biologiczny

zostawił nas jak byłyśmy malutkie - odszedł do innej. Chciał mieć syna. Mama chowała nas sama do czasu, jak ja miałam 7, 8 lat. Było jej dosyć ciężko, ale babcia pomagała, mama pracowała. Czułam się kochana w domu. Ojca nie znam - tak tylko z widzenia raz go widziałam jak przyszedł na rozwód - powiedział tylko - kochane córeczki macie braciśzka - tak go zapamiętałam i od tego czasu go nie widziałam. Nie jestem z nim związana. On poszedł z domu jak byłyśmy malutkie.

Jak mama była sama to ani babcia, ani reszta rodziny nie miała do niej pretensji - moja rodzina jest nowoczesna. Z siostrami chowałyśmy się wspólnie - opiekowały się nami mama i babcia.

Najważniejsza dla mnie jest rodzina, dzieci. Chciałabym być z dziećmi, ale na razie nie jest to możliwe. Dzieci mają do mnie dobry stosunek. Prócz mamy nie ma osób do których mogłabym się zwrócić po pomoc w razie kłopotów. No i mąż był taką osobą, która dawała mi poczucie bezpieczeństwa i wsparcia. Nigdy nie szukałam pomocy w kłopotach u osób trzecich, ani u księdza, ani w pomocy społecznej. Nie było mi to potrzebne.

Jak byłam małą dziewczynką

nie pamiętam kim chciałam być. Jak kończyłam ósmą klasę to chciałam iść do technikum weterynaryjnego - ale mnie nie puścili - bo powiedzieli, że to nie jest zawód dla dziewczyny. Mama zabroniła. Ja nie wybrałam, chcieli, żebym poszła do krawieckiej to poszłam. Nie mam żadnych planów po wyjściu z więzienia, to za długi okres, myślenie jest trudne.

Mam dwoje dzieci - syna i córkę. Córka ma 7 lat - teraz właśnie poszła pierwszy raz do szkoły, syn ma cztery lata. Na takie małe dzieci trzeba uważać.

Małżeństwo kojarzy mi się z praniem, sprzątaniem. Wcześniej to jeszcze chodziliśmy i na spacer i do kina - różnie to było - dobrze mi się żyło. Tylko miał jakieś takie napady - wtedy agresja we mnie rosła, zamiast ją tłumaczyć. Na początku to go kochałam. Poznałam go w wieku 19 lat. Znałam i od początku miał takie napady. Nawet jeszcze dziecka z nim nie miałam. Chodziłam z nim - i o na przykład ubzdurzał sobie, że ja zdradzam jego z kimś. I tak mnie urządził, że miałam całe sine oczy. Potem przeproszał, mówił, że to już się nie zdarzy. Co parę lat miał takie coś, ale kto by pomyślał, że takie będzie całe życie.

A na przykład jak już mu się nudziło u mnie i chciał się przenieść do kolegów to tylko szukał pretekstu. Zabierał się, ubierał kurtkę i wychodził nie było go miesiąc, dwa.

Jego rodzice zawsze uważali, że ja nie jestem dobrą partią dla męża - że za biedna. Matka alkoholiczka, brat też. Matka z nim piła od 14-go roku życia. Mojego męża to w domu nie szanowali - kochali tylko brata. Często był bity i musiał uciekać z domu. Sypiał wtedy w kopkach siana. To wiem tylko z jego opowieści - ale musiała to być prawda, skoro tak

opowiadał. W domu u niego to się ciągle bili. Raz jak mnie Robert pobili i przyjechała policja i zabrała go na 24, to przyjechała jego matka i mówi - widzisz - mnie mój stary to żeby powybił, włosy, a ja nigdy nie poszłam na policję. A stary przyszedł pijany jak bela i mówi - jak może iść kobieta, żona na policję. A mąż to może bić żonę za darmo? - zapytałam go wtedy.

Parę razy musiałam wzywać policję, nawet nie o siebie, ale o dzieci. Nie wiem, co mu się działo, czasem to takiej białej gorączki dostawał. Ostatnio to się nasiliło bardzo to bicie. Chociaż przyrzekał, że już nie będzie. Ostatnio to często mnie dusił. Dusił mnie tak, że miałam siniaki i nawet na obdukcji byłam.

Jak się pobierałam to oczekiwałam od męża poczucia bezpieczeństwa, szacunku. Chciałam też żeby zarabiał, dbał o dom. No i zarabiał, ale dla niego ważniejsi byli koledzy, nie mieszkanie i dzieci. Rodzice go psuli bardzo - nie powinni go przyjmować - żeby siedział z żoną i dziećmi, a nie zniknął na pół roku, albo cały rok. Nie pomagał mi wtedy finansowo. Powiedział, że jak chcę coś mieć to niech go podaje o alimenty. To go podałam, ale jak wyszedł z sądu to i tak powiedział, że nie będzie płacić i że bym sobie od razu do komornika szła. Na upór szedł i nie wiadomo po co.

Za każdym razem jak wracał to było mu coraz ciśniej. Tam robił co chciał, chodził sobie na dyskoteki, wracał o której chciał, nic go nie obchodziło. Byliśmy w tym samym wieku. Mąż karał mnie za to, że ja go zdradzam, że jak on chodzi do pracy to ja go zdradzam. Za każdym razem jak mnie bił to było za darmo, za nic. Potem to mówił, że nie wie co go napadło. Nie pamiętał, dlaczego mnie bił. Dzieci nie bił tylko mnie.

Na samym początku to było dość dobrze. Jeszcze przed ślubem mieszkaliśmy razem, zasłama w ciąży. To on wtedy poszedł i wszystkim mówił, że to dziecko nie jego. 24 godziny na dobę był ze mną i tak powiedział - ja nie mogę sobie wytłumaczyć dlaczego on tak mówił. Jak chciał pomieszkać u rodziców, to szukał pretekstów. Zabrał się i wychodził.

Teściu przy mnie powiedział, że mnie Robert za mało bije. A do teściowej to się nie umiał inaczej odezwać, tylko mówił - ty k... Ja to sobie nigdy tak nie pozwoliłam i nawet pytałam teściowej dlaczego ona tak sobie pozwala - to

ona mi powiedziała, że
wszystkie ko-
biety, któ-
re



weszły do tej rodziny są traktowane jak k... I myśleli, że ze mnie też zrobią taką właśnie. Teść to nie chciał, żebyśmy u mojej mamy mieszkali - nawet chciał nam mieszkanie wynająć - chyba po to, żeby mnie było łatwiej bić.

Dziwni ludzie.

Mąż mi zawsze mówił, że takiej żony jak ja to nie ma żaden. Ale i tak zawsze znalazł powód, żeby mnie podduśić. Po prostu wracał nabuzowany, nie odzywał się, albo jakieś przytyki uszczypliwe - widać, że coś mu na mnie nagałali.

Szkoda mi tego wszystkiego... dobrze było. To przez mnie. Chciałabym to odwrócić.... To przez niego tak się wszystko stało. Dużo mu tłumaczyłam, to dlaczego tak robisz, dlaczego słuchasz innych. Mówił, że nie wie, że chciałby ze mną być. A za jakiś czas znowu robił to samo.

Jak już nawet byłam w ciąży, to powiedziałam, że nie wezmę ślubu z nim, dopóki się nie zmieni. Myśmy się pobrali, jak córka miała rok. I rzeczywiście się zmienił, ale na gorsze. Bo tak to jeszcze nie był pewny, to mu bardziej zależało na tym małżeństwie. Ja się bałam wiązać, bo widziałam przecież jak moje siostry żyją. Koledzy chcieli, żeby on miał taki góralski charakter, jak oni. Baba tylko do garów, spać z chłopem i tyle. Mnie to nie odpowiadało, ja chciałam normalnie, tak jak normalni ludzie. Żeby nie było kłótni i bicia. Jak ja byłam w ciąży to na początku się cieszył. Potem mnie zostawił w siódmym miesiącu, to naopowiadał, że to nie jego. A w końcu jak się urodziło dziecko, to przyszedł, nakupił ubranek, pieluchy też wtedy kupił. I mówił, że tak jakoś mu się powiedziało. I ja tak za każdym razem wierzyłam, przyjmowałam go i przebaczałam. Zawsze miałam nadzieję, że on się zmieni i lubiłam go nawet. W czasie ciąży raczej mnie nie bił, nie napadał na mnie. Byłam wtedy na utrzymaniu rodziców. Mieszkaliśmy u matki. Przy porodzie męża nie było.

Dzieci są zdrowe; karmiłam Sarę piersią 1,5 roku, Dawida 0,5 roku. Jeżeli mąż był ze mną to pomagał przy wychowaniu dzieci, jeżeli był tam to wcale nie pomagał. Jeśli przychodził to przychodził tylko do mnie. Jak trzeba było się dziećmi zająć, bo ja chciałam posprzątać to się zabierał i wychodził. On lubił dzieci tylko nie chciało mu się dziećmi zajmować.

Jedyne co robił jak był w domu to pił kawę i palił papierosy. Nawet trzy paczki dziennie tak potrafił wypalić. A kawy to litry pił. Jak mu się kazało coś zrobić, to albo specjalnie zepsuł, albo nic nie zrobił. Dzieci nie tęskniły za nim. Ja byłam raczej dobrą matką, jak trzeba było to krzyknęłam. Czasem trzeba było ude-

rzyć, ale starałam się tego nie robić. Dzieci potrzebują ode mnie opieki, tak żeby przytulić. Jak przychodzą teraz na widzenie to zaraz na kolana. Całe życie na kolanach.

Najlepiej umiem szyć. Tego uczyłam się w szkole. Mój dzień wyglądał normalnie - wstawałam rano, umyłam się budziłam dzieci. Potem odwoziłam je do przedszkola. Posprzątałam, kawy się napiłam wstawiło się obiad. Jak jeszcze był sezon to szłam kapelusze. Potem je sprzedawałam. Tak zachowywałam się niezależnie od tego, czy mąż był, czy go nie było.

Nie wiem jak to wtedy było

w tym fatalnym czasie, nic nie pamiętam, ale coś trzeba było powiedzieć policji. Tyle pamiętam, że rękami to robiłam. Wtedy to on ze mną mieszkał. Pamiętam jak siedzieliśmy razem, dlaczego to nie wiem, ale zabawialiśmy się w związywanie.

To się wydarzyło w domu. Wtedy byliśmy pod wpływem alkoholu. Nikogo nie było. Pamiętam, że przyszedł wtedy znajomy ojczyma i coś chciał, ale co to ja już nie pamiętam. On przyniósł wtedy tę wódkę, wypiliśmy ta wódkę. I on poszedł do domu i mówił potem, że jak wychodził to był spokojny. Jakoś tak podziało nie w tę stronę co trzeba. Nic nie rozumiem, bo myśmy się nawet nie kłócili. Nie wiem co się stało, ale ja sobie przypominałam różne rzeczy, zdarzenia - wszystko, co miałam od niego. To były jakieś takie drobne krzywdy, ale krzywdy. Wszystko to się we mnie spotęgowało. I mówię do niego ja ci teraz pokażę co to znaczy być duszonym... i pokazałam. Udusiłam go. Zrobiłam to co mąż robił wcześniej. Potem zadzwoniłam do siostry i mówię - chyba zabiłam Roberta. Jak jesteś pijana no to idź spać - i siostra odłożyła słuchawkę.

W domu jestem sama, jak zadzwonił po policję i wezmą mnie do aresztu, to dzieci zostaną same - siłą rzeczy wezmą je do teściów. Wywiozłam go na drogę - tak jak się jedzie do C, tam na parking i tam go zostawiłam. Tak żeby go szybciej znaleźli.

A może jak by ktoś zadzwonił na policję to by było lepiej.

On w ogóle nie krzyczał.

Ja nie widziałam jego twarzy może się dusił, może gdybym zobaczyła to bym odstępiała.

Jak policja mnie zatrzymywała to prosiłam, żeby do teściów dzieci nie oddawali, ale nie słuchali mnie. Raz córka zadzwoniła do mojej babci, że teściowa jest pijana, matka zadzwoniła po policję - pojechali tam z policją i dzieci odebrali. Ja też parę razy musiałam dzwonić na policję, bo jak mu się coś ubzdurzało to

stwierdził, że mnie dziś udusi. Pójdę siedzieć, ale ja cię muszę udusić - i leży na mnie i mnie dusi. Wtedy musiałam lecieć do sąsiadki, bo z domu dzwonić nie mogłam i boso po śniegu kilka razy tak leciałam. Cztery razy tak było. Były notatki na policji i to mi trochę pomogło, bo w uzasadnieniu to napisali, że on się przyczynił swoim zachowaniem do tego co zaszło. Zwykle go zabierali do aresztu, ale prokurator go puszczał i wracał na drugi dzień. Zawsze wracał skruszony, potulny.

Nigdy nie zdarzyło się

żeby policja nie chciała przyjechać zawsze przyjeżdżali. Ale i tak go puszczała. Bo zawsze przecież jak była interwencja było zeznanie moje, sąsiadów - a jego puszczała to ja nie wiem. Tak było kilka razy pod rząd - w styczniu go puścili, potem w lutym. Wtedy to jeszcze było tak, że policjanci już nie chcieli pisać - bo mówią - my będziemy pisać a potem i tak pani go wypuści. Ale ja mówię, że teraz to ja już go nie puszcze - ale i tak go wypuścili. Nie dali mu sankcji tylko dozór. To było akurat w tym czasie. Nie mogli go zamknąć na miesiąc, albo na dwa - mnie by akurat może nerwy przeszły i nie byłoby tragedii. Mnie to się nasilało latami. Podczas interwencji policji mąż zachowywał się raczej spokojnie - raz to nawet prosił, żeby mu kajdanki założyć. Przysięgał się na boga, że on już dłużej nie będzie. Mnie to zawsze mówił, że mnie zabije - ja to rzeczywiście obawiałam się tych jego gróźb, bo dlaczego mu miałam nie wierzyć, skoro tak często to mówił. Raz to mnie tak uderzył w głowę, że mi krew ciekła. Potem targał szyby jak ja zadzwoniłam po policję - kiedy przyjedzie - od sąsiada to Robert mi wyrwał telefon, uderzył mnie w twarz zrzucił mnie z fotela na podłogę, jeszcze mnie kopał na tej podłodze. Sąsiad mu mówi Robert opamiętaj się, co robisz to jego też skopał - tamten już leżał na podłodze a ten go jeszcze kopał. Całą twarz wtedy miałam siłą. No i za co - za darmo. Złożyłam tą sprawę - to było przed samymi świętami - przed samą wigilią - to złożyłam tą sprawę, ale wycofałam...

A drugim razem to nie wycofywałam, ale i tak go sami wypuścili. No i po co to było robić. Jak dochodziło do awantur, to ojczym też mi pomagał, bronił mnie - ale wtedy to on też ojczyma dusił. On ma 58 lat, ale mąż się niczym nie przejmował - kopnął, dusił. Zachowywał się jak wariat. Czasem to w ogóle nie był pijany - ale zawsze potem mówił, że nic nie pamięta, przeprasza, że nie wie o co to chodziło i tak dalej. To nie zdarzało się aż tak

często - tak raz na 0,5 roku. Może to by było częściej, gdyby częściej ze mną mieszkał.

Teraz to żałuję bardzo

że tak się stało. Pewno jak by nie dzieci, to już dawno byłabym ze sobą skończyła. Myślę też czasem jak to można było rozwiązać - no pewno się rozwieść i już. Próbowала mu załatwić pracę gdzieś indziej - na rynku u kuśnierzy. Wtedy jak tam pracował to nie chodził do kolegów i było dobrze. Ale jak już mu zaczęło brakować, to potrafił się zwolnić z tej pracy, wyprowadzić ode mnie do teściów - z nim coś było nie tak też, bardzo mu kolegów brakowało. W areszcie traktowana byłam normalnie - był taki policjant - może w moim wieku - to on mówił do mnie - pizdo psychicznie chora - albo nam powiesz jak było albo zobaczysz. A ja mówię - jak ja wstanę to też mogę panu przypieprzyć. Dopiero ten drugi mówi weź wyjdź. To on wyszedł i już wszystko było w porządku. Powiedziałaam wszystko, a oni jeszcze coś ode mnie chcieli.

Przed przesłuchaniem

powiedzieli mi tylko tyle, że mogę odmówić zeznań. O adwokacie nie powiedzieli mi nic. Ale może dlatego, że ja mówię, że przyznaję się do winy i nie jest mi żaden adwokat potrzebny.

W końcu jednak dostałam adwokata z urzędu. Chyba dobrze prowadził moją sprawę. ... tak jakby uczył się wszystkiego dopiero na sprawie. To był mężczyzna tak około czterdziestki, ze sprawą zapoznawał się dopiero w trakcie jej prowadzenia. Zupełnie nie przejął się moją sprawą, nie rozmawiał ze mną w ogóle, tylko raz przysłał tutaj do aresztu jakiegoś swojego koleżę. Ten pan powiedział, że chciałby jakąś linię obrony ustalić, ale żeby coś podpowiedzieć to nic. W końcu to nie wiem jaka była moja linia obrony, bo adwokat mi tego nie powiedział. Tyle co wiedziałam to z rozprawy. Że pod wpływem strachu... no nie wiem

W areszcie

jest w sumie dobrze. Ja sobie umiem z nimi radzić. Ja tym wszystkim ludziom tutaj to ufam, ale na dystans. Zawsze staram się o sobie mówić prawdę, żeby nikt nic na mnie nie miał. I to jest najlepsza bron przeciwko nim. Niczym cię nikt nie zaskoczy. Wiedzą o mnie wszystko, to nic na mnie nie nagadują. Mówię raczej prawdę.

Zanim doszło do pierwszej rozprawy to przesiedziałam 8 miesięcy w areszcie. Ale potem to już wszystkie rozprawy były w jednym tygodniu. To było 4,5, 10 listopad i wyrok i koniec. Trzy dni i koniec. Ja przez ten cały czas byłam spokojna tak jak teraz. Ja się już niczym nie denerwuję.

Chciałam po prostu przesunąć ten dzień zamknięcia. Myślałam, że może z siostrą się dogadam. Byłam na drugi dzień u niej. Ale nikt jakoś tak nie pomógł. Siostra powiedziała, że ona ma męża i ona się boi męża. Ona wiecznie się męża bała. Potem siostra poszła przecież na policję. Z teściową. No bo przecież ja do niej w nocy zadzwoniłam i powiedziałam jej, że ja Roberta zabiłam. Ale, że nie uwierzyła to też poszłam na drugi dzień i też mówię jej to samo.

Przez psychologa byłam badana, ale co to za badania. Taka rozmowa krótka - 5 minut i do widzenia.

Opinie

były dla mnie bardzo niesprzyjające - stwierdzili, że byłam w pełni świadoma i wiedziałam co robię. Nawet upojenia alkoholowego atypowego nie było - wszystko w porządku. Ja przecież nigdy nie nadużywałam alkoholu i nie byłam nigdzie leczona. Badania były bez sensu. Gdyby psycholog poświęcił mi więcej czasu, to myślę, że mógłby mi pomóc. Nie wiem jakie były przyczyny mojego zachowania - może zmiany w mózgu, ale wiem, że wtedy nie byłam sobą. Nie wzięłam sobie spokojnie kabla i nie poszłam... jakiś taki dziki szal mnie opętał... Coś takiego nie przydarzyło mi się nigdy wcześniej. To było pierwszy raz. Podczas przesłuchiwaania nie dawano mi żadnych leków.

*Historii wysłuchała i wstępnym komentarzem opatrzyła
Beata Zadumińska*



Fakty i Mity

Piotr Rachwalski

Mit nr. 1:

Polacy będą mogli od dnia wejścia do Unii Europejskiej pracować i podróżować bez kontroli i bez ograniczeń.

Rządy kilku krajów wymusiły wprowadzenie siedmioletniego okresu przejściowego na wydawanie pozwolenia na pracę obywatelom nowych członków Unii. Jest bardzo prawdopodobne, że dla większości (poza wysoko wykwalifikowanymi specjalistami) praca w Unii oznaczać będzie pracę bez żadnych świadczeń socjalnych i bez gwarancji stałego zatrudnienia. Już teraz Polacy pracują w podobnych warunkach. Różnica będzie polegać na tym, iż po wejściu do Unii będą musieli dodatkowo płacić podatki do unijnej kasy. W kwestii swobody podróży, komisarz Verheugen oświadczył, że ponieważ Polska nie spełniła i w najbliższym czasie nie spełni kryteriów traktatu Schengen, kontrola paszportowa na granicy Polski i starych członków Unii Europejskiej zostanie utrzymana.

Ponadto, bazy danych tzw. Systemu Informacyjnego Schengen zostaną rozbudowane i obejmą kontrolą ludzi określonych jako „niepożądani”. Obecnie system służy do identyfikacji ludzi o określonych poglądach politycznych i był stosowany do kontroli granicznej pomiędzy krajami, które teoretycznie należą do układu Schengen. Przepisy pozwalają ograniczać ruch osób, które zostały oskarżone o antyunijną działalność polityczną, nieplacenie podatków oraz odmowę służby wojskowej.

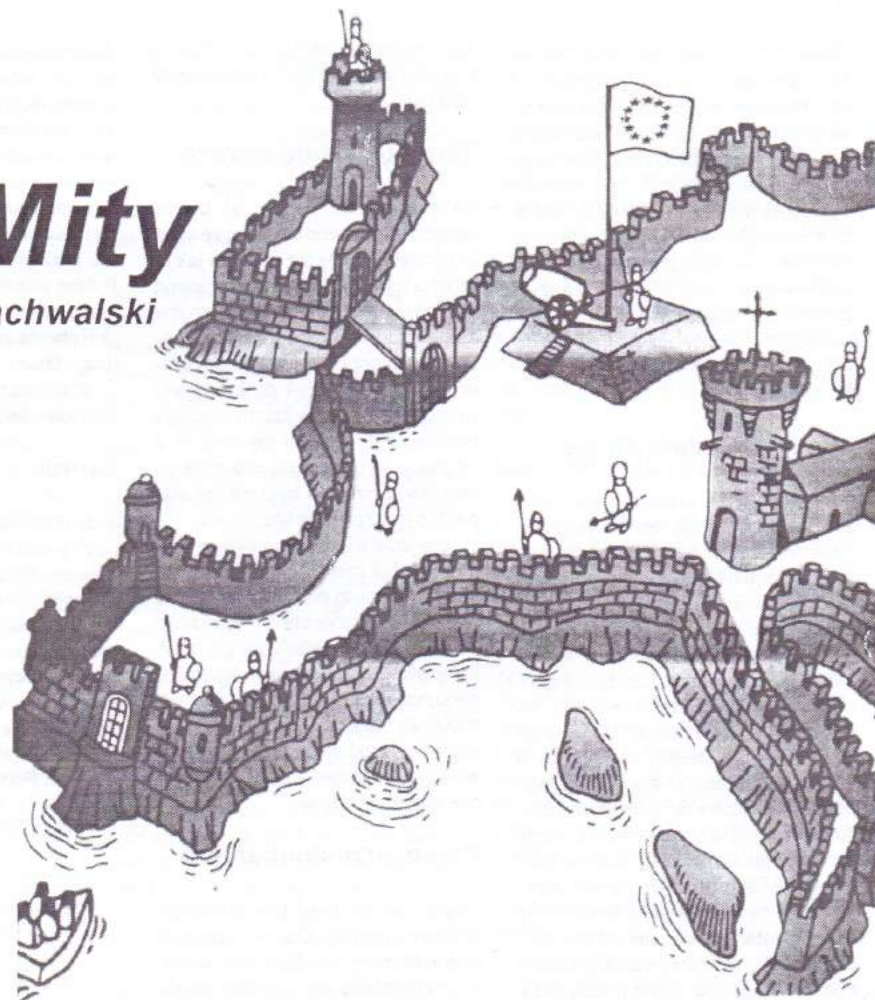
Mit nr. 2:

Gdy Polska stanie się członkiem UE, inwestycje zaczną masowo napływać do kraju, co rozwiąże problemy finansowe państwa.

Sprawa jest nieco bardziej skomplikowana. Porównania Polski do Portugalii i Irlandii nie są dokładne. Portugalia i Irlandia weszły do UE na bardziej korzystnych warunkach niż wynegocjowane przez Polskę i mają całkiem odmienną strukturę gospodarczą.

Unia Europejska zaproponowała, by kraje kandydujące płaciły pełną składkę do unijnej kasy poczynawszy od pierwszego dnia przystąpienia. Dotacje z unijnej kasy przyznawane będą za to dopiero po roku i to nie w pełnej wysokości. Okres stopniowego wprowadzania pełnych dopłat dla Polski trwać będzie aż 10 lat. Nie dość tego, poziom oferowanej pomocy będzie znacznie niższy niż w przypadku innych krajów UE. Oznacza to preferencyjne traktowanie niektórych członków kosztem innych.

To co da nam Unia widać na przykładzie in-



nych krajów: wprowadzenie przemysłowego rolnictwa i tzw. „wydajnej” chemicznej technologii, która jeszcze zwiększy bezrobocie na wsi i spowoduje zniszczenie środowiska. Młode pokolenia urodzone na wsi będą zmuszone emigrować do dużych miast, zwiększając przeludnienie i powodując zaniżenie poziomu płac na rynku.

Im większa część rolnictwa zostanie objęta kontrolą zagranicznych inwestorów, tym mniejsza część przychodów będzie powtórnie dystrybuowana w lokalnej ekonomii. Badania pokazały, że małe i średnie przedsiębiorstwa generują o 300% większe zyski dla lokalnej ekonomii niż gigantyczne „wydajne” firmy z kapitałem zagranicznym.

Stworzenie zewnętrznej granicy UE na Bugu spowoduje zniszczenie lokalnych więzi ekonomicznych pomiędzy Polską a jej wschodnimi sąsiadami.

Mit nr. 3:

Otwarte rynki będą korzystne dla konsumentów.

Już daje się odczuć negatywny wpływ UE na lokalną ekonomię. Firmy sprzedające farmaceutyki podobne do tych produkowanych w UE zostały zmuszone do zaniechania ich produkcji. Bezprecedensowym wyrokiem sądu, duża korporacja farmaceutyczna otrzymała zakaz sprzedaży leków po niższych cenach w biednych krajach, takich jak Portugalia i Grecja. Sąd uznał, iż narusza to prawa

UE dotyczące „harmonizacji” cen, nakazujących sprzedaż po tych samych cenach w całej Unii. Wstąpienie do UE oznacza, że będziemy musieli płacić drożej za potrzebne nam towary, ale nie oznacza, że będziemy zarabiać więcej.

Mit nr. 4:

UE jest dobra dla pracowników

Plany UE dotyczące Polski ograniczają się do zmniejszenia kosztów zatrudnienia dla pracodawców, oraz do tworzenia przepisów ułatwiających transfer kapitału. Liberalizacja kodeksu pracy w połączeniu z prywatyzacją opieki zdrowotnej i systemu emerytalnego oznacza, że pracownicy będą mieli mniej gwarancji socjalnych niż kiedykolwiek. Składki za ubezpieczenia są przerzucane na samych pracowników, zmniejszając i tak nieduże zarobki.

Rząd już od dłuższego czasu wprowadza w życie dyrektywy UE, pomimo że żadne referendum nie miało jeszcze miejsca. Gigantyczne sumy z publicznej kasy są przeznaczane na propagandę unijną, ale rzadko można dowiedzieć się o jakichkolwiek konkretnych faktach, które miałyby przemawiać za przylączyeniem się do Unii. Tym, którzy czytają po angielsku, polecamy strony internetowe: www.statewatch.org i www.euobserver.com



Pierwsze powstanie chłopów-anarchistów w Meksyku 1865-1869

Przeważnie Komune Paryską 1871 roku przedstawia się jako przykład zdobycia świadomości rewolucyjnej i umiejętności samorządzenia, a także jako pierwsze ogniwo długiego łańcucha rewolucji. Jest to prawda, ale tylko jeśli myślimy o Europie. Wcześniej bowiem miało miejsce inne, równie istotne dla rozwoju ruchu rewolucyjnego wydarzenie. Zdarzyło się ono w Meksyku. Pierwsi propagatorzy anarchizmu w Meksyku wybrali miasteczko w prowincji położonej na północ od stolicy, aby tam uświadamiać chłopów i rozpowszechniać idee rewolucyjne, idee postępowych zmian społeczeństwa według modelu Cabeta i Proudhona. W tym celu jeden z inicjatorów ruchu - Rhodakanaty - pojechał w roku 1865 do Chalco. Wychodził bowiem z założenia, że zapoznanie się z terenem i ludźmi jest najlepszym sposobem na urzeczywistnienie idei komun socjalistycznych. By zrealizować te plany, wykorzystał metodę, którą zastosował wcześniej w mieście Meksyk. I tak utworzył centrum formacji chłopskich "Escuela del rayo y del socialismo". Obowiązujący tam program prezentował różne studia idei wolnościowych, zapoznawał z różnymi metodami organizacji a także uczył sztuki oracyjnej. W programie tym znalazła też miejsce praktyka redakcyjna. Kilka dni po powstaniu tego projektu inny rewolucjonista - Zalacosta - ominął w swojej podróży stolicę i przyłączył się do Rhodakanaty'ego w Chalco. Obydwaj, mistrz i uczeń rozpoczęli ciężką dwuletnią pracę, w wyniku której tak wytłumaczyli idee proudhonistów, że chłopcy zaczęli je wprowadzać w tradycyjne życie wspólnoty. Tymczasem Rhodakanaty i Zalacosta prezentowali całkowicie odmienne poglądy na temat wprowadzania idei socjalistycznych na wsi. Rhodakanaty, chrześcijanin proudhonowsko-fourierowski był w głównej mierze pacyfistą. Według niego przemiana społeczna była rezultatem procesu sukcesywnych reform i stopniowego wpływu na wielkich właścicieli ziemskich i chleboborców. Natomiast Zalacosta będąc partyzantem-powstańcem i zadającym gwałt człowiekiem, w przeciwieństwie do Rhodakanaty'ego wyznawał idee Proudhona. Rhodakanaty widząc rozprzestrzeniającą się przemoc wrócił w roku 1867 do stolicy a szkołę w Chalco powierzył Zalacoście.



Jednym z uważniejszych uczniów szkoły w Chalco był Julio Lopez Chavez - wieśniak pochodzący z hacjendy położonej niedaleko Texcoco. Nauczył się on pisać, czytać i dyskutować pod okiem Rhodakanaty'ego. Jeśli Zalacosta zdecydował się na dalszy pobyt w Chalco to właśnie dlatego, iż Julio Lopez Chavez, którego znał dzięki listom rekomendacyjnym Rhodakanaty'ego, zgodził się być anarchistycznym liderem chłopów.

Stopniowo Lopez rozpoczął nie tylko pisać i wydawać odezwy, deklarując w nich, że "hacendos nie mają prawa uprawiać ziemi, charakterem podobnych do miast" ale także naruszył bardzo aktywny proces tworzenia się organizacji chłopskich przez wprowadzenie własnego programu agrarnego, który tak przedstawiał: "Jestem socjalistą dlatego, że jestem wrogiem wszystkich rządów; jestem komunistą dlatego, że moi bracia chcą pracować na ziemi należącej do komuny" - pisał Lopez Chavez. I przyjąwszy założenia akcji bezpośredniej wyruszył wraz z grupką partyzantów by zająć hacjendy Chalco i Texcoco. Był to początek głównej akcji powstańczej (1868).

Coraz więcej osób przyłączało się do ruchu. Szczególnie silnie rozwijał się on w Morelos, San Martin Texmelucan i Tlalpan. W marcu 1869 r. Prefekt Texcoco starał się o energiczną interwencję rządu bo "powinny zostać wyciągnięte poważne wnioski z działalności bandy rozbójników, towarzyszących Julio Lopezowi". Dodawał także, że kilku mieszkańców Coatepec i Acuatla przyłączyło się do buntowników. Ze swojej strony dziennik "El Siglo XIX" napisał, że "Niejaki Lopez, głowa nielicznej bandy rozbójników objechał wiele miast okręgu Chalco, gdzie proklamował wojnę przeciwko bogatym i nowy podział terenów hacjend, tym razem pomiędzy żyjących tam ludzi" (26.02.1868).

Odpowiedzią rządu na akcje partyzantów było wysłanie przez prezydenta Meksyku Juareza sił militarnych dla zdławienia insurekcji. Jednak próby represji skomplikowały się z powodu pomocy, jaką przynieśli powstańcom chłopcy znajdujący się w szeregach armii rządowej, a także z powodu wsparcia otrzymanego od wojskowych partyzantów i od wroga Juareza - generała Negrete.

Dowódcą armii zobowiązanej do zwalczania Lopeza Chaveza został generał Cuellar. Rozkazał on grabież regionów Chalco i Texcoco. Te działania spowodowały wielką śmiertelność w regionach objętych represjami, ale też i protest mieszkańców Coatepec, Chicolcapan i Acuatla. Wprowadzono więc prawo wojenne, przystąpiono do masowych aresztowań. Prezydent Juarez, ciągle informowany o wydarzeniach, pochwalił metody stosowane przez Cuellara. Tymczasem powstanie nadal trwało. 2 czerwca 1868 roku gazeta "El Siglo XIX" donosiła: "Partyzantka Julio Lopez... spłądowała hacjendę Buena Visita i porwała wszystkie konie".

Chociaż nie opracowano szczegółowej taktyki i strategii militarnej ruchu rewolucyjnego z Chalco, można wywnioskować z informacji prasowych, że partyzantka chłopska działała dzięki znakomitej mobilizacji i dobrej znajomości terenu. I chociaż "El Monitor Republicano" napisał: "Miasteczka Ameca, Chalco i La Asuncion były zbuntowane, ale jednak ten Koryfeusz komunizmu (Julio Lopez Chavez) został całkowicie zniszczony, nie mając żadnego innego poparcia niż sześciu czy ośmiu dezertów, którzy uciekli w góry" (3 i 28.06.1868), to jednak udało się Lopezowi dostać do Puebli. Tam, na początku roku 1869 wraz z Zalacością zaplanował wybuch powstania generalnego, z centrum w Plateau.

20 czerwca 1869 roku Lopez wydał swój "Manifesto a todos los oprimidos y pobres de Mexico y del universo" (Manifest do wszystkich uciskanych w Meksyku i na świecie), jako teoretyczną podstawę dla rewolucji socjalistycznej. Manifest ten został przyjęty przez chłopów z sympatią. Był on ważny nie tylko z punktu widzenia świadków wydarzeń, ale i z naszego. Po raz pierwszy w historii Meksyku zdarzyło się, że w wyniku ogłoszenia manifestu rząd liberalny czuł się porównany z buntownikami, z ludźmi, którzy nie tylko manifestowali swoją krytykę ideologiczną państwa meksykańskiego, ale którzy proponowali alternatywy.

Manifest Lopeza Chaveza rozpoczynał się od stwierdzenia, że istnieje odwieczna grabież, przez którą cierpieli i nadal cierpią chłopci. W tym punkcie Manifest wychodził poza oskarżenia. Być może pierwszy raz w Meksyku próbowano przeprowadzić analizę historyczno-socjalną chłopów w hacjendach i było to zrobione z taką precyzją, że nawet dzisiaj jest to doceniane. Lopez pisał: "Nasi rodzice byli kupieni za cenę jednego reala. Jednak nie było możliwym przeżyć za jednego reala, bo w sklepach znajdujących się na terenie hacjend kupowano artykuły po bardzo zawyżonych cenach (te same artykuły, które wytwarzamy naszymi rękoma). W miarę jak mijały miesiące, lata tworzył się na koszt naszych rodziców dług. Kiedy urodziliśmy się, byliśmy obciążeni długami naszych rodziców (którzy żyli na nasz koszt), a więc z powodu tego wszystkiego urodziliśmy się niewolnikami, zobligowanymi do kontynuowania pracy w tym samym miejscu, w tym samym systemie, ażeby powiększać osławiony dług".¹ Terminy użyte w Manifestie ukazywały system, który zawsze obowiązywał - system robotników rolnych związanych z hacjendą przez długi - w epoce kiedy retoryka liberalna postulowała prawa jednostki i wprowadzała wolność pracy i ruchu. Ten postulat poruszał serca, nawet przedstawiciele miejscowego reżimu.

Lopez w swym Manifestie podjął też temat klerikalizmu przeciwstawiając mu wiarę i religię. Żądał on powrotu do zasad pierwotnego chrześcijaństwa i obarczał Kościół - jako instytucję - odpowiedzialnością za sytuację chłopów: "Kto współpracował z rządem byśmy nadal byli cicho, byśmy nadal żyli w poniżeniu, w ignorancji, w niewoli? Kościół i tylko Kościół, który przez większość swoich misjonarzy-hipokrytów wmawiał kłamstwo o porozumieniu duchowym w miejscu, którego nie ma na Ziemi. Klerycy oszukują nas, profanując doktrynę Chrystusa. Owszem, można przyzwoić na panowanie religii ale nigdy Kościoła, a jeszcze mniej kleryków. Jeśli klerycy są źli, to wszyscy ludzie, którym przewodzą są także źli". Sprzeciw wobec rządu i brak wiary w możliwość zaprowadzenia sprawiedliwości społecznej w państwie, nie jest w Manifestie sprawą zasadniczą ani też wynikiem praktyki ideologii anarchistycznej. Zdobywanie pozycji opiera się na chłopskiej wizji świata, wg ich sposobu życia. E. Wolf na końcu swej książki "Las luchas campesinas del Siglo XX" wytłumaczył bardzo dokładnie: "Utopia chłopska jest wolną osadą, nie "nachodzoną" przez poborców podatkowych, bez rekrutacji pracowników, bez wielkich posiadaczy ziemskich, bez funkcjonariuszy. Dla chłopów było to czymś negatywnym, złem, które musiało być możliwie najszybciej zamienione na ich własny porządek socjalny o charakterze domowym. Ten porządek wg nich mógł istnieć bez państwa, w konsekwencji zbuntowani chłopci byli naturalnymi anarchistami".

Postawą zajętą wobec projektu liberałów, Lopez Chavez wyraził rozczarowanie chłopów. Z jednej strony opowiadał się za prawem do reformy kościelnej proponowanej przez rząd, kwalifiku-

jąc je jako "wielkie prawo" - jeśli chodzi o rozkład siły ekonomicznej Kościoła. Z drugiej zaś strony atakował poważnie rząd liberalny Juareza i miał wątpliwości co do rządowych projektów całkowitego zniszczenia władzy kościelnej i oligarchicznej. "Juarez, chociaż by się opowiadał jako republikanin i wróg Kościoła, jest konserwatystą i despota: bo wszystkie rządy są despotyczne. Dlatego też deklarujemy się jako przeciwnicy wszelakich rządów: chcemy pokoju i porządku. Myśleliśmy, że triumf Republiki będzie prawdziwym triumfem ludu, skoro wszyscy właściciele hacjend schronili się u Basków² z Cesarstwa³, ale ci sami ludzie znaleźli schronienie u swoich dawnych wrogów - Basków-republikanów. Zgubiliśmy nasze ziemie, a Juarez nas zdradził".

Manifest nie ograniczał się tylko do negacji systemu i do udowodnienia prawdziwości krzywd ludu - jak to się często zdarza w ruchach chłopskich. Julio Lopez miał pewien program, "utopię" i jako pierwszy w Meksyku przedstawił projekt społeczeństwa alternatywnego. Mówił: "Chcemy ziemi, by móc tam spokojnie siał i zbierać plon, znosząc eksploatację i dając wolność wszystkim, którzy sięją tam, gdzie im to odpowiada, bez obowiązku płacenia jakiegokolwiek opłaty, dając im wolność organizowania. Chcemy tworzyć duże lub małe towarzystwa rolnicze⁴, które dbałyby o to, aby bronić się wspólnie bez potrzeby zwracania się do ludzi posługujących się prawem karnym. Chcemy znieść wszelki rodzaj tyranii między takimi samymi ludźmi, żyjącymi w społecznościach braterstwa i wspólnoty, ustanawiając nową Republikę Harmonii".

Końcowe paragrafy Manifestu były podnieci, natchnioną ruchami millenarystycznymi. Poszukiwaniem porządku i ocalenia Lopez kończył, zwracając się ku odkupiającemu wizerunkowi Chrystusa, swój Manifest. Jego chrześcijaństwo - jak i pierwszych ludzi wierzących - był światłem wewnętrznym, które pobudza człowieka do przekształcenia świata, nawet za cenę swojego życia.

"Będziemy prześladowani, być może podziurawieni kulami. Jest to mało ważne, kiedy nasze serca biją z nadzieją. Gardzi się nami jako liberałami, znieważa się nas jako socjalistów, skazuje się nas jako ludzi. Nieodzwonnym jest aby ratować obecne chwile, aby wznieść nasz wysiłek wokół najświętszego sztandaru rewolucji socjalistycznej, która mówi o wyższości zniesienia rządu i wyzysku. Podnieśmy nasze twarze pogodnie szukając naszego ocalenia, które znajduje się w nas samych".

Manifest Chaveza kończy się słowami: "Wolimy ziemię, wolimy pracę, wolimy wolność. Potrzebujemy ratunku dla nas samych przed wszystkimi cierpieniami, potrzebujemy ochrony porządku. Kończąc: to, co jest nam potrzebne, to zawarcie przez ludzi paktu społecznego, respektowanego przez wszystkich".

Tuż po opublikowaniu Manifestu, kiedy zaczął on być rozpowszechniany wśród chłopów i robotników rolnych z hacjend, siły rządowe zdołały uwięzić lidera z Chalco. Ale powstanie nadal trwało. Niedługo po uwięzieniu Chavez, chłopci sympatyzujący z Manifestem, spontanicznie zorganizowali się i zaatakowali - z powodzeniem - oddziały dowodzone przez Cuellara i uwolnili Lopez Chavez. W górach chłopci przygotowywali się do wybuchu generalnego powstania przeciwko rządowi. Opowiadając się za Manifestem przyjmowali nowych ochotników, niewielkie ilości pieniędzy. Później skierowali się w stronę San Martin Texmelucan, usytuowanego pomiędzy Chalco a Pueblą. Tam rozbili



oddziały rządowe i kontynuowali marsz w kierunku Apizaco, w okręgu Tlaxcala. Podczas owego marszu konfiskowali pieniądze ze skarbów hacjend i palili archiwa gminne.

Następny krok w strategii Chaveza polegał na zdobyciu najszerzego poparcia i zdominowania większej części kraju, co pozwoliło by mu na większą mobilizację. Sposób prowadzenia działań wojennych (wojna zaczepna) pozwolił parokrotnie rozproszyć oddziały rządowe mimo, że wtedy wszystkie oddziały powstańców liczyły ok. 1500 mężczyzn.

W tym samym czasie inny lider ruchu Anselmo Gomez udał się z setką ludzi w kierunku okręgu Hidalgo w celu utworzenia tam jeszcze jednej bazy dla obrony. Po tym skierował się w stronę okręgu Veracruz, gdzie zdobył miasto Chicontepec. Po tym jego oddziały liczyły więcej niż 150 walczących. Część z nich stanowili członkowie brygad samoobrony, których zadaniem było osłanianie nowych zdobyczy.

Natomiast w okolicach Chalco i Texcoco Julio Lopez wprowadził swój program agrarny. Zajął posesje hacjend i przystąpił do ponownego podziału ziemi pomiędzy robotników. Reforma agrarna wprowadzona przez akcję bezpośrednią przysporzyła Lopezowi wielu nowych sympatyków, a objęte programem hacjendy pozwoliły zachować mu znaczną ilość pieniędzy dawnych właścicieli. Ale ani ten gest, ani umiejętności powstańców tj. zdolność oszukiwania oddziałów rządowych, nie pomogły rozwiązać trudności związanych z utrzymaniem armii i dostawami amunicji.

Wpływ zbrojnego ruchu chłopskiego nie kończył się tylko na tych, którzy brali czynny udział w walkach. Kilku lokalnych notabli, niewielu sklepikarzy i chłopów, widząc siłę ruchu chłopskiego, zaproponowali rządowi realizację konkretnych reform, opartych na założeniach Lopeza. "Ruch Julio Lopeza - mówili wypaczając pewne założenia lidera anarchistycznego, znalazł sympatyków w miastach okręgu dlatego, że nie proklamował on nieposłuszeństwa wobec rządu najwyższego, ale prezentował się jako żywy protest przeciwko despotycznym hacjendados, bogaczom, którzy rujną biednych". W ramach dalszej pacyfikacji zaproponowali "by właściciele hacjend w każdym z okręgów pokazali tytuły własności ziem. Można bowiem po zweryfikowaniu granic hacjend, wygospodarować z nich jakąś część, która stałaby się nową własnością komun wiejskich". Propozycja ta nie odbiła się żadnym echem w rządzie Benito Juareza, który wybrał dalsze prowadzenie walki przeciw insurekcji, wykorzystując do tego pojedynczych najemników. Nota bene wśród tych ludzi znajdował się człowiek, który kilka lat później zostanie dyktatorem - Porfirio Diaz⁵. Kości zostały rzucone. Wbrew sukcesom militarnym pierwszych operacji, niedobór w broni i brak amunicji zmusił bardzo słaby oddział powstańczy do ataku frontального na armię rządową. Już wtedy powstańcy mogli się poddać. Ale dopiero gdy Cuellar dopadł w końcu Julio Lopeza i zmusił go do frontального ataku, insurekcja się zakończyła. Było to kilkanaście kilometrów na północ od Pachuca, podczas gdy powstańcy przygotowywali się do zajęcia Actopan - miasteczka to było wystarczająco duże by zaopatrzyć się w amunicję - zostali zaatakowani przez oddziały federalne, które w jednej bitwie (zresztą nierównej) zlikwidowali zbrojny ruch chłopów. 1 lipca 1869 r. Na mocy prawa personalnego Benito Juareza, Julio Lopez Chavez - powstaniec anarchistyczny został rozstrzelany na podwórku "Escuela del rayo y del socialismo". Armia rządowa odzyskała na jakiś czas kontrolę nad regionem opanowanym przez powstańców i przywróciła hacjendy ich poprzednim właścicielom.

Mimo bardzo skąpej ilości materiałów (większość spłonęła w szkole w Chalco) można powiedzieć, że anarchistyczny ruch chłopów Lopeza Chaveza poruszył problem, który pojawił się podczas następnych powstań chłopskich, aż do Rewolucji Zapatystów. Problem ten jakby spowodował "ideologizację" ruchu agrarnego, do programu którego włączono koncept walki klas. Można z nim łączyć początek rewindykacji odziedziczonego po przodkach rządu autonomicznego. Jedno jest natomiast pewne, że pierwszy raz w Meksyku bojownicy (często chrześcijańscy) łączyli swoje aspiracje z elementami ideologii anarchistycznej. Te elementy pozwoliły wprowadzić projekt społeczeństwa alternatywnego do istniejącego już w Meksyku - spo-

łeczeństwa hacjendados. Wprowadził projekt ten był powierzchowny i bardzo uproszczony, ale sygnalizował krok na przód w rozwoju świadomości chłopów meksykańskich.

Anna Napiontek

Przypisy:

1. System, o którym pisze Lopez obowiązywał w Meksyku już od XVII wieku. Wtedy to główną formą gospodarowania i wykorzystywania ziemi stała się wielka własność ziemska, latyfundium, czyli w warunkach nowohispańskich hacjenda. Była to forma nie tylko wykorzystania gruntów ornych i pastwisk, lecz również uzależnienia indiańskiej siły roboczej i ściągania nadwyżki. Stała ofensywa hacjendy stworzyła w Nowej Hiszpanii samowystarczalne jednostki gospodarcze, stanowiące prawdziwe państwa w państwie (T. Łepkowski). Hacjendados (właściciele hacjend) na terenie swojej własności organizowali gospodarkę rolno-hodowlano-handlową, często według własnych kaprysów i żądzy szybkiego wzbogacenia się. Przeważnie odbywało się to kosztem ludzi pracujących w hacjendach tzw. hacjendos. W wyniku tego wytworzył się system zależności pomiędzy właścicielami a pracownikami przypominający niewolę. Chłopi nie mogli opuszczać ziemi, musieli za to większość swych plonów oddawać właścicielowi hacjendy, by potem kupować je, w znajdującym się na terenie hacjend sklepikach.

2. Nazwa "Baskowie" jest tutaj bardzo ogólnym określeniem, najprawdopodobniej gwarowym, odnoszącym się do ludzi pochodzenia hiszpańskiego mieszkających w Meksyku.

3. Chodzi tu o okres tzw. II Cesarstwa (1864-1867), kiedy to, w wyniku intryg Napoleona III, na tronie meksykańskim osadzono z tytułem cesarza Maksymiliana Ferdynanda - arcyksięcia z domu Habsburgów. Cały czas za panowania Maksymiliana trwała w Meksyku wojna pomiędzy meksykańskimi republikanami a wojskami francuskimi popierającymi cesarstwo. Wojna ta zakończyła się zwycięstwem republikanów w roku 1867. Wtedy ponownie objął rząd prezydent Benito Juarez, które trwały w latach 1858-1872.

4. Widoczny wpływ idei Proudhona na teorie Julio Lopeza Chaveza.

5. W swej późniejszej karierze Porfirio Diaz pełnił funkcję prezydenta Meksyku (1877-1880). Zaś w latach 1884-1911 był dyktatorem.





Dziesięć mitów dotyczących pracy

Karolina Małkiewicz

Jak to możliwe, że wzrost niesprawiedliwości i braku bezpieczeństwa w świecie pracy powoduje u samych pracowników spadek wytrzymałości społecznej i ogólne rozpowszechnienie konformizmu i uległości? Być może głównej przyczyny tego zjawiska należy upatrywać w zbiorze mitów, które system każe nam akceptować w sposób bezwarunkowy i poprzez które osiąga bierne przyzwolenie na swoje działania.

Mity, które z czasem stają się świętymi dogmatami we wszystkich religiach, są czymś co akceptuje się bez potrzeby udowadniania. Należy wierzyć w nie bez dyskusji, przez co ten, który ich nie akceptuje, obwołany zostaje heretykiem i albo sam skaże się na margines albo też zostaną powołane mechanizmy, które go na ten margines zepchną. Także neoliberalny system kapitalistyczny posiada swoje mity zamieniające się w dogmaty. Ich siła leży w akceptacji ze strony pracowników najemnych. Tak jak wcześniej, kiedy większość ludzi wierzyła w płaskość Ziemi, konieczność istnienia systemu feudalnego, nieuchronność i sens istnienia niewolnictwa Czarnych, dobroczynność państwa komunistycznego, teraz przytakuje się wszystkim mitom dotyczącym pracy pod zwierzchnictwem pracodawców i menedżerów. W miarę jak odkrywamy ich połowiczną prawdę czy kłamstwo, ukazuje się nam pięta achillesowa systemu kapitalistycznego. Prześledźmy więc kilka z takich mitów - dogmatów.

Pierwszy: PRZEDSIĘBIORCY STWARZAJĄ ZATRUDNIENIE

Przedsiębiorcy powołują stanowiska pracy, gdy tego potrzebują. Likwidują je bez sentymentów, gdy przestają współpracować z ich interesami. Głównym celem pracodawcy jest odniesienie korzyści. Jed-

nym z czynników wspomagających wypracowanie korzyści jest zmniejszenie kosztów. Jedną z form redukcji tych kosztów jest redukcja stałego zatrudnienia i tworzenie tymczasowych, niepełnowartościowych stanowisk pracy. Oczywiście jest, iż bez korzyści nie ma miejsc pracy, niemniej złożenie w ręce biznesmenów problemu ich stwarzania, bez żadnej realnej kontroli, jak to ma miejsce obecnie, przypomina nakazanie lisom pilnowanie kurnika.

Drugi: LEPIEJ MIEĆ NAJGORSZĄ PRACĘ, NIŻ BYĆ BEZROBOTNYM

Zaakceptować ten pogląd, to jak przyklasnąć niewolnictwu, ponieważ wśród niewolników nie było bezrobocia. Trzeba uznać za moralnie niedopuszczalne próby rozwiązania kwestii bezrobocia poprzez narastającą niestabilność zatrudnienia. Pójście tym tropem nie prowadzi do tworzenia miejsc pracy, które pozwolą ludziom na godne przeżycie, lecz do mnożenia korzyści dla pracodawców przez obniżanie wynagrodzenia zatrudnionych.

Trzeci: BEZROBOCIE JEST PROBLEMEM OSOBISTYM

Bezrobocie to rak nieuchronnie towarzyszący kapitalizmowi pod każdą szerokością geograficzną. Bezrobocie utrzymywane na kontrolowanym poziomie to pożywka dla rozwoju kapitału. Musimy spojrzeć na bezrobocie nie tylko jako problem osobisty Iksińskiej lub Iksińskiego, ale również jako na problem z gruntu społeczny.

Poszukiwanie rozwiązań poprzez celowanie w przyczyny takie jak: lenistwo pracowników, ich zbyt wygórowane ambicje, małe zainteresowanie efektywnym szukaniem pracy, jest co najmniej jednostronne. Te same zarzuty można przecież postawić pracodawcom. Sedno sprawy dziś nie leży w tym jakoby ludzie nie chcieli się przygotować do pracy. W większości przypadków faktycznie nie ma pracy, lub też praca jaką się nam oferuje jest do zaakceptowania tylko wtedy, gdy grozi nam śmierć głodowa.

Czwarty: SOLIDARNOŚĆ TO MIT PRZESZŁOŚCI – ROZWIĄZANIEM JEST WSPÓŁ-ZAWODNICTWO

Współzawodnictwo nie jest złe, ale istotne co z niego wynika. Najlepsi, ci co wkładają największy wysiłek w pracę mają prawo oczekiwać, że zostaną przez pozostałych docenieni. Na pewno mają słuszość, kiedy ignorują opinie ludzi, których wkład w pracę jest minimalny. Na pewno nie powinni się podporządkowywać dyrektywom tłumu wałkon. Ale gorzej, jeśli akceptujemy jako dogmat okrutną walkę na wyniszczenie, która ma na celu nie przezwyciężenie własnych słabości, tylko pokonanie drugiego jako ekonomicznego nieprzyjaciela. To wynaturzone współzawodnictwo powoduje, że możemy nigdy nie zobaczyć w drugim pracowniku człowieka o podobnych co my potrzebach, marzeniach i uczuciach. Żadnych szans, że koleżanka/kolega z pracy będzie dla nas partnerem, który mógłby bronić moich interesów, tylko przeciwnie - wrogiem.

Rachityczne strajki, niemrawe demonstracje uliczne. Każdy zajmuje się swoimi sprawami, próbuje my dostosować

się do zasad rozjuszonego indywidualizmu, odbierając innych jako konkurentów do swoich praw. Walka ta staje się tym bardziej zaciekle w konfrontacji z najbiedniejszymi, najbardziej bezbronniymi, odbierając ich jako nieproszonych próżniaków i złodziei. Zdaje się nam, że są przyczyną, a nie rezultatem braku pracy.

Ludzie propagujący zasady kapitalizmu wykpiwają solidarność klasową pracowników najemnych. Twierdzą, że to mit z innej epoki. Ich perfidia polega jednak na tym, że równocześnie chcą nas przekonać do innej solidarności, która ma być czymś naturalnym. Chodzi o solidarność pracownika z pracodawcą, szczególnie w chwilach trudnych dla tego drugiego. Szefowie chcą zaoszczędzić na ogólnym nadzorze pracowników. Dlatego starają się stworzyć mechanizm motywowania pracownika. Intencją pracodawców jest by pracownicy odczuwali solidarność z przedsiębiorstwem, które ich wykorzystuje. Celem jest nabycie przez pracowników cech samego przedsiębiorstwa, co z kolei ma przejawiać się zaangażowaniem i lojalnością w stosunku do zakładu pracy.

Solidarność i pomoc wzajemna to ostatni ratunek, żeby nasze życie nie zamieniło się w piekło. Jeśli zaniknie zupełnie lojalność wobec innych pracowników, stosunki pracy zostaną w pełni zindywidualizowane, to staniemy się zupełnie bezbronni wobec kaprysów i żądań pracodawców.

Piąty: TYMCZASOWE ZATRUDNIENIE JEST DOBRE DLA GOSPODARKI

Bez wątpienia. Czym większa liczba prac dorywczych, tym mniejsze koszty odczuje pracodawca, zredukuje się wydatki na rzecz bezrobotnych, nie powodując przy tym powstania w krótkim czasie szerokiej strefy marginesu społecznego. Firma zwiększy swoje dochody w sytuacji gdy wielu pracowników będzie zajmowało tę samą posadę, dojdzie do zatarcia granicy między zatrudnionymi na stałe i całą resztą, pracującymi i bezrobotnymi, obniżając w ten sposób poziom bezrobocia.

Wszystko to spowoduje, że dojdzie do zwiększenia inwestycji i w konsekwencji, produkcji. Ale istnieje jeszcze druga strona medalu. Jest nią pracownik. Całe bezpieczeństwo, jakie

praca krótkoterminowa, o niepełnym wymiarze i niepełnym wynagrodzeniu oznacza dla pracodawcy, oznacza utratę poczucia bezpieczeństwa przez pracownika. Brak pewności siebie biorącej się z pojęcia pracy stałej i długoterminowej znajdzie oddźwięk w fatalnym morale pracujących, ich wydajności oraz nerwowych i nacechowanych nieufnością stosunkach z innymi pracownikami.

Pozostaje pytanie: czy opłaca się społeczeństwu, aby mała grupa żyła z dnia na dzień coraz lepiej, natomiast znakomita większość żyła w warunkach coraz większej niepewności?

Szósty: BRAK ALTERNATYWY

To być może najbardziej szkodliwy z mitów. Przekonuje się nas, że ten stan rzeczy jest konieczny, że nie ma innej możliwości, że jest to najlepsza droga do pełnego zatrudnienia. Przez to czujemy się każdego dnia bardziej bezbronni w rękach



K. SOWIŃSKI

pracodawców, przeżykając różnego rodzaju niesprawiedliwości na które się napotyka. Rodzi to sceptycyzm w stosunku do własnych praw jako pracowników jak i też całkowite odrzucenie wszelkich roszczeń prawnych czy związkowych. Tymczasem pracodawca urasta w siłę, czuje się panem i władcą w stosunku do podwładnego. Ten z kolei chcąc pozyskać jego przychylność, akceptuje to co mu dają. Przekonuje sam siebie, że nie ma żadnych praw w relacji z pracodawcą, a jeśli jednak je formalnie ma, to lepiej nie robić z nich użytku bo i tak się przegra.

Albo na nowo rozpatrzmy tak indywidualnie, jak i grupowo ten męt, albo sami będziemy potęgować podstawową przyczynę naszych nieszczęść. Pamiętajmy, że istniało już kilka systemów społecznych (np. realny socjalizm), dla których miało nie być alternatywy, a dzisiaj nie ma po nich nawet śladu.

Siódmy: ROZWIĄZANIEM WIĘKSZA ELASTYCZNOŚĆ RYNKU PRACY

Mówi się nam, że „związki zawodowe bronią egoizmu pracowników etatowych czym zniechęcają inwestorów i utrudniają tworzenie nowych miejsc pracy.” Dlatego trzeba rzekomo propagować umowy na czas określony. Można jednak zapytać: jak to możliwe, że prosi się pracownika aby zaakceptował jako bezdyskusyjny dogmat, stosowność uelastycznienia rynku pracy w chwili gdy prowadzi to do utraty kontroli nad przychodami, nadziejami na przyszłość podczas gdy dla pracodawcy ten sam dogmat oznacza większą wygodę i większe zyski? Co to za rozwiązanie, które dzisiaj oznacza harówkę za grosze, a w dalekiej przyszłości głodową emeryturę. W takiej sytuacji korzystniej będzie nie dożyć wieku emerytalnego.

Ósmy: BEZROBOCIE TO PROBLEM, KTÓRY PRZERASTA NASZE WYOBRAŻENIA O ŚWIECIE

Jeśli bezrobocie jest tak skomplikowanym zagadnieniem, to jesteśmy zbyt ograniczeni, żeby wypowiadać się na ten temat. W takim świetle tylko ci, którzy operują specjalistyczną wiedzą (ekonomiści) lub operują wielkimi sumami pieniędzy (pracodawcy, menedżerowie) mogą wygłaszać wiarygodne opinie dotyczące bezrobocia. Można wręcz wierzyć, że w przedsiębiorstwie nie ma innych praw niż wola szefa. Należy zabiegać o jego przychylność, ponieważ jego mądrość jest jedyną instancją od której zależą dochody i stabilność miejsca pracy. Pragnienie wolności jest więc wrogiem pracownika. Skoro jednak większość ludzi jest tak głupia i ograniczona, że potrzebuje szefa, to może w ogóle nie powinno się od tych matolów wymagać świadczenia jakiegokolwiek pracy? Skoro są tak nieporadni, lepiej niech siedzą w domu,

bo inaczej wszystko popsują. Tylko ekonomiści i biznesmeni są mądrzy, więc niech tylko oni pracują!

Dziewiąty: TEN KTO NIE PRACUJE, NIE ROBI TEGO, PONIEWAŻ NIE CHCE

Jest to prawdopodobnie jeden z najbardziej absurdalnych mitów. Brak pracy jest powodem wielu cierpień emocjonalnych, rodzinnych i społecznych wśród młodych, którzy ukończyli szkoły zawodowe lub studia i nie wiedzą do czego je wykorzystać, jak też u dorosłych powyżej 40 roku życia, którzy zostali zwolnieni i nikt ich nie chce zatrudnić.

To właśnie brak pracy jest główną przyczyną istnienia tego całego półświatka, obejmującego coraz większą część społeczeństwa polskiego, które żyje w biedzie, w niegodnych warunkach, czerpiąc dochody z opieki socjalnej, renty dziadków, zbierania złomu, przemytu spirytusu przez granicę, handlu narkotykami, kradzieży, wielu zmuszonych jest do żebractwa, stołowania się w jadłodajniach dla ubogich, spania pod gołym niebem lub w kanałach ciepowniczych. Jeśli zgodzimy się z treścią mitu numer 9, będziemy musieli przyjąć, że wszyscy wyżej wymienieni dokonali wolnego wyboru i zdecydowali się na ekstrawagancki styl życia nędzarzy, bo tak im się podobało.

Dziesiąty: TRZEBA BRONIĆ SIĘ PRZED WSZYSTKIMI, KTÓRY MOGĄ NAM ODEBRAĆ PRACĘ

Ten męt posiada kilka wykładni: „Przybysze zza wschodniej granicy przyjeżdżają by odebrać nam miejsca pracy. Są tu nielegalnie, niewiele im potrzeba do szczęścia, wzbudzają niepokój społeczny. Cyganie z Rumunii stanowią konkurencję dla rodzimych, polskich żebraków. W dodatku roznoszą choroby.” Co prawda dokładnie to samo mówiono o Polakach pracujących na Zachodzie, ale o tym już wszyscy zapomnieli. Niewiele mają się od powyższych różnić degeneraci zamieszkujący popeerowskie wsie i rzeźmieszki z brudnych dzielnic, takich jak warszawska Praga. Polacy zamieszkujący lepszą (w ich mniemaniu) część Polski gardzą nimi. Wedle ich opinii, to wszystko odpadki społeczne, które należy trzymać pod kontrolą, najlepiej w ich własnych gettach. Powinni być wdzięczni, że rząd nie kazał ich wysterylizować, powinni dziękować policji, że nie pozwoliła, by się wszyscy nawzajem pozabijali. Powinni całować w rękę urzędników, że przysyłają im wolontariuszy, pracowników socjalnych, organizacje pozarządowe, które rozdzielają skąpe dobra i przy pomocy akcji dobroczynnych oddalają w czasie nadciągającą katastrofę społeczną.

Te dogmaty powodują, że zamiast walczyć o efektywne rozwiązanie problemów próbujemy je rozwiązać zwracając się jedni przeciw drugim. Pomnażamy w ten sposób ogólną ilość przemocy, której i tak jest dość. Zamiast wspólnie walczyć z systemem, który produkuje nędzę, widzimy przyczynę naszych nieszczęść w ludziach, którzy nie przystają do naszych norm estetycznych lub są słabsi od nas. Skończmy już z tymi bzdurami! Naszą ostatnią szansą jest odrzucenie wyżej wymienionych mitów i wskazanie alternatywy przynoszącej korzyści całemu społeczeństwu, a nie tylko 10 procentom najbardziej zamożnych Polaków.



PRACA I BEZROBOCIE W CZASACH ZGLOBALIZOWANEJ GOSPODARKI

Gdy dają jedzenie biednym, nazywają mnie świętym. Gdy pytam, dlaczego biedni nie mają jedzenia, nazywają mnie komunistą

Arcybiskup Helder Camara



Mówi się, że obecnie najdonioślejszym problemem, z jakim społeczeństwa mają do czynienia, to kwestie związane z powiększającą się rzeszą osób pozostających bez zajęcia, a przez to pozbawionych jakichkolwiek dochodów, oraz - po drugie - z tendencjami do redukcji kosztów siły roboczej poprzez zmniejszenie wynagrodzenia lub poprzez wprowadzenie pracy w niepełnym wymiarze godzin bez odpowiednich zabezpieczeń socjalnych. Problem pracy i bezrobocia nie byłby tak istotny, gdyby nie to, iż w sposób zasadniczy łączy się on z problemem egzystencjalnym wielu ludzi. Przesadą jest twierdzić, że praca jest sensem życia. Kiedy jednak jej nie starcza dla wszystkich, kiedy praca jest eksploatowana i wyzyskiwana, kiedy trud pracy nie jest właściwie wynagrodzony - wówczas praca staje się dla nas tak ważnym zagadnieniem, że wszelkie inne motywy istnienia, które człowiek powinien przed sobą widzieć, zostają odsunięte na plan dalszy.

Redukcja zatrudnienia i płac a globalne procesy gospodarcze

Problem ten przybrał szczególnie na znaczeniu w ostatnich latach. Na świecie zapanała gospodarka globalna. Globalny ład ekonomiczny oznacza dominację wielkich koncernów i korporacji. Gospodarką zawiadnęła logika dążenia do pomnażania zysków akcjonariuszy, a praca jest deprecjonowana na wiele sposobów. Żyjemy w czasach kiedy, jak zauważa Noam Chomsky, zysk ceniony jest bardziej niż pomyślność ludzi („profit over people”). Piszę on w swojej książce, że - jak dowodził „Business Week”, jedno z najbardziej znaczących pism ekonomicznych na świecie - w połowie lat dziewięćdziesiątych międzynarodowe korporacje odnotowały „spektakularne” zyski dzięki ograniczeniom w zatrudnieniu oraz „korzystając w coraz większym stopniu z pracy osób w niepełnym wymiarze, pozbawionych przywilejów pracowniczych i niepewnych jutra”.¹ Międzynarodowa Organizacja Pracy ONZ szacuje, że redukując koszty robocizny o połowę, najwięksi producenci samochodów mogliby potroić swoje zyski. „Monthly Labour Review” w 1993 roku podało, że General Motors oczekuje ponad 5 mld USD oszczędności dzięki zwolnieniu 1/4 swoich pracowników oraz modernizowaniu procesu produkcji i zarządzania.²

Gospodarka globalna łączy się z trzema zasadniczymi procesami, a każdy z nich w swoisty sposób przyczynia się do powiększenia bezrobocia i pomniejszenia kosztów pracy.

Po pierwsze kolejna rewolucja technologiczna i idąca za nią postępująca automatyzacja i komputeryzacja w przemyśle, rolnictwie i usługach prowadzi do licznych zwolnień. Problem tzw. „technologicznego bezrobocia” analizuje bardzo dokładnie Jeremy Rifkin w swojej książce „Koniec pracy”. Piszę on, że: „Codziennie w Ameryce Północnej, Europie i Japonii rosną szeregi bezrobotnych i zatrudnionych z konieczności w niepełnym wymiarze. Nawet kraje rozwijające

się muszą zmagać się ze wzrostem bezrobocia technologicznego, gdyż ponadnarodowe spółki budują na całym świecie najnowocześniejsze zakłady produkcyjne pozbawiając zatrudnienia miliony robotników, którzy nie są w stanie konkurować z niskimi kosztami, wysoką jakością i szybkością dostaw, jakie charakteryzują produkcję zautomatyzowaną”.³ Miałem okazję widzieć duże fabryki w Niemczech i Polsce, skomputeryzowane i zautomatyzowane do tego stopnia, że produkcję drugiej czy trzeciej zmiany obsługiwało dosłownie kilku czy kilkunastu robotników. Na wielkich przestrzeniach pracowały jedynie automaty i pojedyncze osoby, które, aby doglądać wszystkiego, jeździły po halach rowerem.

Innym procesem związanym z globalizacją gospodarki jest swobodny przepływ kapitału, towarów i usług. Obecnie istnieje możliwość przenoszenia zakładów z jednego miejsca, w inne, oddalone nawet o tysiące kilometrów, w poszukiwaniu tańszej siły roboczej. Ostatecznie prowadzi to do tego, że zakłady pracy (tak jak cały kapitał) nie są na stałe związane z jakąś określoną lokalną wspólnotą, zatem przedsiębiorcy nie muszą się przejmować konsekwencjami wynikającymi z likwidacji miejsc pracy i obniżeniem kosztów siły roboczej. Prowadzi to do sytuacji, że niektóre firmy, do dziś jednoznacznie kojarzone z konkretnym krajem, jak na przykład szwajcarski Nestlé, 95% swoich produktów wytwarzają za granicą.⁴ Jak podaje „Business Week”: „Firmy niemieckie, takie jak Siemens czy BMW, nadal inwestują w różnych miejscach, m.in. w Polsce, Malezji i Północnej Karolinie w USA. Bayer, gwałtownie rozbudował swój potencjał wytwórczy w Chinach i Azji południowo-wschodniej, w roku 1995 zmniejszył zatrudnienie w Niemczech o ponad 4 tysiące osób. Zdaniem dyrektora naczelnego Manfreda Schneidera, Siemens nie jest w stanie stworzyć w Niemczech żadnych nowych miejsc pracy”⁵

Koncentracja kapitału polegająca na restrukturyzacji firm i dokonywaniu fuzji celem stworzenia wielkich globalnych struktur kor-

poracyjnych, staje się także bezpośrednią przyczyną zwalniania tysięcy pracowników. Rifkin przytacza wiele przykładów, gdzie przedsiębiorstwa dokonały przekształceń, dostosowując się do wymogów technologicznych i zasad funkcjonowania rynku globalnego. Niemiecki Siemens w ciągu trzech lat zwolnił 16 tysięcy pracowników; Japońska spółka telekomunikacyjna NTT w 1993 roku ogłosiła plany zwolnienia 10 tys. pracowników, co spowoduje ostateczne zredukowanie personelu o 30 tysięcy osób. Szwajcarsko-szwedzka spółka Asea Brown Boveri (ABB) dokonała w ostatnim czasie zwolnień 50 tysięcy pracowników.⁶ Po tym jak połączyły się dwa szwajcarskie koncerny farmaceutyczne, Sandoz i Ciba-Geigy, dokonano w tym kraju zwolnień 3,5 tysiąca pracowników.⁷ Również w Polsce po wykupieniu przez angielski farmaceutyczny koncern Glaxo-Wellcome poznańskiej Polfy, a potem po dokonaniu szeregu międzynarodowych fuzji, po których firma przyjęła nazwę GlaxoSmithKline, dokonano w zakładach w Polsce zwolnień kilkuset osób. Telekomunikacja Polska po fuzji z France Telecom ogłosiła w tym roku chęć redukcji 12 tysięcy miejsc pracy. itd., itp.

Sytuacja w Polsce

Jest jasne, że ponadnarodowe korporacje przybyły do Polski, a za nim dokonał się transfer nowoczesnej technologii i zarządzania, nie po to, aby żyło nam się lepiej, aby milionom osobom dać zatrudnienie i wyższe uposażenie, ale żeby skorzystać z relatywnie taniej siły roboczej oraz powiększyć swoje rynki zbytu, a w konsekwencji zyski. W początkowym okresie inwestujące firmy zagraniczne oferowały zarobki wyższe od przeciętnej w gospodarce, chcąc w ten sposób zapewnić sobie odpowiednio wykwalifikowane kadry. Wiązało się to także z tym, iż przejmowane były nierzadko zakłady dobrze prosperujące, gdzie płace przed przejściem były i tak dość wysokie; a po drugim, załoga i związki zawodowe negocjowały korzystne warunki płacowe i socjalne na czas kilkuletniego okresu przejściowego. W okresie tym zagraniczny

pracodawca często nie mógł dokonywać zwolnień grupowych. Na dzień dzisiejszy sytuacja uległa zmianie: „Globalizacja przedsiębiorstw (fuzje, przejęcia, wprowadzenie nowych technologii) spowodowała zwolnienie setek pracowników - tłumaczył jeden z ekspertów „Gazecie Wyborczej”. - Firmy konsumenckie, jak Coca-Cola czy PepsiCo, mają już zorganizowaną produkcję, sieć sprzedaży i podzielony rynek. Przeszły fazę inwestowania, przystąpiły do etapu zarabiania i oszczędności. **Racjonalizują płace, likwidują przerosty zatrudnienia**, wycofują się z nieudanych projektów”.⁸

Coraz trudniejsza sytuacja na rynku (zwolnienie tempa wzrostu gospodarczego, wzrost konkurencji, zmniejszenie popytu) spowodowała gorsze wyniki ekonomiczne wielu przedsiębiorstw, w tym także oddziałów międzynarodowych korporacji. W związku z tym pojawiło się żądanie takiej zmiany prawa, aby można było poprawić zyskowność prowadzonych w Polsce biznesów, najlepiej kosztem siły roboczej. Stąd też, pod naciskiem właścicieli przedsiębiorstw, rząd zdecydował się na nowelizację kodeksu pracy, a w dalszej perspektywie kompletną jego zmianę. Profesor Tadeusz Zieliński, kierujący powstałą przy ministrze pracy komisją reformy prawa pracy, zapewnia zgodnie z przytoczoną tu logiką, że filozofią przyszłego kodeksu pracy będzie - jak to ujęła „Gazeta Wyborcza” - **zwiększenie elastyczności pracy i obniżenie kosztów pracy, w myśl zasady „pracodawcom ma się opłacać”**.⁹ Zieliński powtórzył też, że nowelizacja prawa pracy jest spowodowana koniecznością podjęcia walki z pogłębiającym się bezrobociem. W dokumentach rządowych często walkę z bezrobociem wiąże się z uelastycznieniem rynku pracy. Jednak, jak dowodzi profesor Paweł Glikman, ani uelastycznienie prawa pracy, ani zapowiadany wzrost gospodarczy nie przysporzą nowych miejsc pracy. W lutym 2002 r. bez pracy było blisko 3,3 mln Polaków, a stopa bezrobocia przekroczyła 18,1%, ale jak dowodzą badania liczbę tę należałoby powiększyć o 1/3, tyle bowiem więcej osób deklaruje, że pozostaje bez pracy nie będąc zarejestrowanym jako bezrobotni.¹⁰ Problem zatem dotyczy blisko 4,5 mln Polaków. Glikman przewiduje, że sytuacja będzie się pogarszać i w końcu 2006 roku stopa bezrobocia przekroczy 19 proc., „zbliżając się do uważanego za krytyczny poziomu 20 proc.”.¹¹ „Dramatycznym skutkiem bezrobocia jest ubożenie polskich rodzin - czytamy w jednym z COBS-owskich badań dotyczących bezrobocia. - Większość bezrobotnych deklaruje, że brak im pieniędzy, popadają w biedę, są zmuszeni pozostawać na czyimś utrzymaniu. Powszechne poczucie bezskuteczności starań o pracę, utraty zawodowych szans oraz obojętności urzędów powołanych do rozwiązania problemów wynikających z bezrobocia powoduje, że ponad połowa bezrobotnych odczuwa bezradność, a ponad dwie piąte deklaruje, że czują się niepotrzebni.”¹²

Pomimo tych faktów często powtarza się, że

dzięki transformacji ustrojowej w ostatnich latach doszło do realnego wzrostu wynagrodzenia (w latach 1994-1999 o blisko 20%). Jest to prawda, ale - jak widzimy - z tego wzrostu nie skorzystali wszyscy; przeciwnie - tylko nieliczni. Jak podaje jedno z polskich czasopism ekonomicznych płace polskich menedżerów są obecnie 10-15 razy większe od średniej pensji w kraju. „Nigdzie w Europie - komentuje czasopismo - rozpiętość płac nie jest tak duża jak w Polsce...”. Wraz z prywatyzacją kolejnych sektorów gospodarki rosną zarobki szefów i wyższych urzędników szczebla zarządzania oraz personelu średniego stopnia, a maleje wynagrodzenie pracowników biurowych i robotników. Tych ostatnich w sposób drastyczny. Ostatecznie - wg badań COBS - jedynie 14% Polaków przynajmniej, że w ostatnich latach spotkali ich awans finansowy.¹³

Uelastycznienie rynku pracy - co to takiego?

Zapytajmy: czym jest propozycja uelastycznienia rynku pracy? Zygmunt Bauman stwierdza, że wielu ludzi biznesu wyraża przekonanie, iż współczesny rynek pracy „*jest zbyt sztywny i powinien stać się bardziej elastyczny. To znaczy: bardziej giętki i plastyczny, łatwo dający się formować i reformować, walcować, dzielić i przekształcać, słowem - nie stawiać oporu. Zatem praca jest elastyczna wtedy, gdy staje się w ekonomii rodzajem zmiennej, której inwestorzy mogą nie uwzględniać w swoich kalkulacjach, mając pewność, że to ich akcje, i tylko one, będą określały jej przebieg*”.¹⁴ W istocie rzeczy - kontynuuje Bauman - chodzi nie o to, żeby pracownicy wzięli sprawy w „swoje ręce” i stali się „aktywnym podmiotem na rynku pracy”. Chodzi jedynie o elastyczność po stronie popytu na pracę, a nie jej podaży. Celem jest to, aby praca mogła się pojawiać i znikać równie szybko. Żeby każdy mógł jej zostać pozbawiony, kiedy reguły ulegną bez ostrzeżenia zmianie, a zatrudnieni i poszukujący pracy w istocie rzeczy niewiele mogli zrobić, aby tę huśtawkę zatrzymać. „Zatem «dostawcy

pracy», żeby sprostać standardom «elastyczności» ustalonym przez tych, którzy tworzą zasady gry i je zmieniają, czyli aby zasłużyć na miano elastycznych w oczach inwestorów, muszą znaleźć się w sytuacji jak najbardziej sztywnej i nieelastycznej. (...) Swoboda wyboru, przyjęcia czegoś lub odrzucenia, czy choćby możliwość wprowadzenia własnych reguł gry, muszą zostać zaduszone w zarodku. (...) **Globalny wymiar wyborów dokonywanych przez inwestorów, w zestawieniu ze ściśle lokalnymi ograniczeniami wyborów, które są udziałem «dostawcy pracy», powoduje asymetrię, która leży u podstaw dominacji tych pierwszych nad tymi drugimi**”.¹⁵

Bauman w ten sposób określa ramy konfliktu pomiędzy pracą a zglobalizowanym kapitałem. Towarzyszy temu dążenie do zminimalizowania kosztów siły roboczej, poprzez unieważnienie dotychczasowych zdobyczy socjalnych i wprowadzenie nowych regulacji w zakresie prawa pracy, a także zwiększenie konkurencyjności na rynku pracy. Tym sposobem chce się zmusić „dostawców pracy” do rywalizacji o każde - nawet najniższe - uposażenie i posłużyć się strachem przed utratą pracy celem wymuszenia bezwzględnego posłuchu. Zatem pod hasłem „uelastycznienia” rynku pracy należy rozumieć **chęć wprowadzania nowych form ubezwłasnowolnienia i wycisku wszystkich „dostawców pracy”**.

Zamiast zwolnień - 30-godzinny tydzień pracy

Jeremy Rifkin, który wzrost bezrobocia w skali całego świata łączy głównie z rozwojem nowych technologii, słusznie zauważa, że dotychczas spektakularne wzrosty wydajności spowodowane automatyzacją procesów produkcji, prowadziły do skrócenia dnia roboczego: „Spektakularny wzrost wydajności w pierwszym etapie rewolucji przemysłowej XIX w. spowodował redukcję czasu pracy z 80 do 60 godzin tygodniowo. Podobnie w XX w. przejściu gospodarki z pary na ropę i elektryczność towarzyszył stały wzrost wydajno-



ści prowadzący do dalszego skrócenia tygodnia roboczego z 60 do 40 godzin. Obecnie, gdy przekraczamy granicę trzeciego etapu rewolucji przemysłowej i zbieramy owoce wzrostu produktywności uzyskanego dzięki nowym technologiom informatycznym i telekomunikacyjnym, coraz więcej osób sugeruje konieczność dalszej redukcji czasu pracy do 30, a nawet 20 godzin tygodniowo, aby dopasować wielkość zatrudnienia do nowej zdolności wytwórczej kapitału.¹⁶

Wassily Leontief (1906-1999) rosyjski ekonomista, który pracował i tworzył na Zachodzie i USA, laureat nagrody Nobla (1973), otwarcie przyznawał, że popiera skrócenie dnia pracy roboczego jako sposobu podzielenia się pracą z innymi i programu przeciwdziałania bezrobociu.

Jedną z pierwszych prób skrócenia pracy do 30 godzin tygodniowo miały miejsce w **Stanach Zjednoczonych**. W dniu 31 grudnia 1932 roku senator Hugo L. Black z Alabamy przedstawił senatowi USA projekt ustawy o 30-godzinny tygodniu roboczym, jako jedynej praktycznej możliwości rozwiązania bezrobocia, jakie narastało w latach 30. Jak podaje Rifkin, ku ogólnemu zaskoczeniu Senatu tę ustawę przyjął i zobowiązał wszystkie firmy zajmujące się handlem międzynarodowym i zagranicznym do jej wprowadzenia. Projekt uchwały przeszedł do izby reprezentantów, gdzie wszystkie komisje pozytywnie zarekomendowały jej przyjęcie. Kiedy preforsowanie ustawy wydawało się przesądzone, prezydent Roosevelt, popierany przez lobby biznesowe, postawił wniosek o uchylenie projektu ustawy. Koncepcja nowej regulacji prawnej dotyczącej czasu pracy upadła, a po latach Roosevelt miał wyrazić swój żal, że nie poparł ustawy o skróceniu czasu pracy.¹⁷ We Francji w ostatnich latach podjęto próbę wprowadzenia czterodniowego tygodnia pracy (od 1996 roku). Według zwolenników tego rozwiązania podjęcie decyzji o skróceniu czasu pracy prowadzi nie tylko do pomnożenia miejsc pracy, ale także wzrost produktywności. W Niemczech od wielu lat związki zawodowe walczą o skrócenie dnia (tygodnia) pracy, ale udało się to uzyskać - tak jak też w innych krajach Europy Zachodniej - zasadniczo tylko w przypadku układów zbiorowych w wybranych przedsiębiorstwach, m.in.: Hewlett-Packard (zakłady w Grenoble) i Digital Equipment. Najbardziej znanym przykładem eksperymentu dotyczącego skrócenia dnia pracy są zakłady Volkswagena. Pracownicy tej firmy wyrazili zgodę, żeby wraz ze skróceniem do 30 godzin tygodniowego czasu pracy pomniejszyć im o 20% wynagrodzeń w imię solidarności z całym rynkiem pracy i bezrobotnymi. W Polsce związki zawodowe w 2001 roku preforsowały „wszystkie wolne soboty”, oraz stopniową redukcję czasu pracy (obecnie 41 godzinny tydzień pracy).

Oczywiście większość przedsiębiorców jest zdecydowanie przeciwna ustawowemu skracaniu czasu pracy. „Business Week” nazwał zakłady Volkswagena „ostatnim komunistycznym przedsiębiorstwem w Europie”.¹⁸



Niechęć ta jest zrozumiała, bowiem wiadomo, że skrócenie czasu pracy, a tym samym poniesienie jej ceny, uderza przede wszystkim w zyski akcjonariuszy firm. Lecz jeżeli globalne struktury biznesu nie zamartwiają się problemami lokalnego rynku pracy, to dlaczego pracownicy najemni, bezrobotni mają się zastanawiać nad ich profitami.

Piotr Żuk w swojej książce dotyczącej ruchu alternatywnego w Polsce przytacza jedną z opinii mówiącą o tym, że ruchowi nie udało się w latach 90. żadnemu poruszanemu przez niego problemowi, nadać rangi problemu ogólnospołecznego.¹⁹ Myślę, że walka o skrócenie dnia pracy może stać się w najbliższych latach osią sporu pomiędzy pracownikami i osobami poszukującymi zatrudnienia funkcjonującymi na lokalnych rynkach pracy, a globalnym kapitałem. Myślę również, że przy odpowiednim wysiłku i determinacji, ruch nasz może uczynić z debaty nad skróceniem czasu pracy, debatę ogólnopolską.

1. Noam Chomsky, „Zysk ponad ludzi. Neoliberalizm a ład globalny”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2000, s. 22
2. Jeremy Rifkin, „Koniec pracy. Schyłek siły roboczej na świecie i początek ery postrykowej”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2001, s. 171
3. Jeremy Rifkin, „Koniec pracy. Schyłek siły roboczej na świecie i początek ery postrykowej”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2001, s. 19
4. „Business Week/Polska”, grudzień 1996

5. „Business Week/Polska”, kwiecień 1996
6. Jeremy Rifkin, „Koniec pracy. Schyłek siły roboczej na świecie i początek ery postrykowej”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2001, s. 18-19 i 27
7. „Business Week/Polska”, grudzień 1996
8. Anna Fostakowska, „Zła wiadomość: zostałeś zracjonalizowany”, Gazeta Wyborcza - Magazyn, 11 października 2001
9. „Gazeta Wyborcza”, 30 marca-1 kwietnia 2002
10. Wg badań COBS z 6-9 kwietnia 2001 roku; komunikat COBS 59/2001
11. Paweł Glikman, „Szybszy wzrost nie zapewnia zmniejszenia bezrobocia”, „Rzeczpospolita” z 23 marca 2002
12. Wg badań COBS z 6-9 kwietnia 2001 roku; komunikat COBS 59/2001
13. „Profit”, nr 5/2001
14. Zygmunt Bauman, „Globalizacja. I co z tego dla ludzi wynika”, PIW, Warszawa 2000, s. 122.
15. tamże, s. 123-124
16. Jeremy Rifkin, „Koniec pracy. Schyłek siły roboczej na świecie i początek ery postrykowej”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2001, s. 280
17. tamże, s. 47-48
18. „Business Week/Polska”, 6/1996
19. Piotr Żuk, „Społeczeństwo w działaniu. Ekolodzy, feministki, skłotersi”, Wydawnictwo Naukowe „Scholar”, Warszawa 2001, s. 230.

Wykład wygłoszony w Poznaniu podczas ogólnopolskiego spotkania Inicjatywy Pracowniczej w dniu 6.04.2002 roku.



anarchizm i romantyzm

Anarchista w swej wielopoziomowej krytyce społeczeństwa, Percy Bysshe Shelley wysuwał koncepcje przemian społecznych, które posuwać się miały w trzech kierunkach: ewolucja i stopniowy postęp, millenarystyczna apokalipsa, bunt jednostki.

Anarchistyczne poglądy Shelleya powinny być uznane za jeden z głównych komponentów inspiracji wielkiego angielskiego poety romantycznego. Daleko nam jednak do tego i to, jak myślę, z trzech powodów. Krytycy Shelleya, jak i również jego ziomkowie, nie wiedzą czym jest anarchizm i nie umieją go rozpoznać tam gdzie wciela się w życie. Kiedy krytycy potwierdzają wpływ jaki miał William Godwin na poetę, robią to, aby podkreślić, że w późniejszym czasie został on zastąpiony przez wpływ Platona. Większości z nich nie udaje się nawet usytuować Godwina w tradycji anarchistycznej. W efekcie, Godwin postrzegany jest jako myśliciel o marginalnym znaczeniu, ekscentryczny, który nie zasługuje na uwagę badaczy.

Z drugiej strony, i to inny powód tego stanu rzeczy, jasnym jest, że krytycy nie próbują nawet sprawdzić, czy istnieje anarchizm u Shelleya.

Upraszczając, można powiedzieć, że czytelnicy Shelleya dzielą się na dwie grupy: rewolucjonistów i estetów. Ci ostatni nie są kompletnie zainteresowani pomysłami politycznymi poety.

Trzeci powód to, według mnie, plan reform politycznych Shelleya, który poza tym kontekstem wiązany jest z tradycją liberalizmu Benthamcusa. Można przypisywać to tylko ignorancji albo śle-

pocie podczas lektury najbardziej znaczących tekstów autora.

Jest oczywiste, że anarchizm, tak w życiu jak i w twórczości Shelleya, nie ukazuje się jako system koherentny, nie bardziej w każdym razie niż u Godwina. Faktem jest, że w początkach wieku XIX, nie można mówić o świadomym i zorganizowanym ruchu anarchistycznym w Europie, tak jak to będzie miało miejsce w drugiej połowie wieku. Póki co istnieją dwie główne orientacje, które charakteryzują anarchizm przedklasyczny i z których jedna jest filozoficzna a druga millenarystyczna.

Pierwszą znaleźć możemy u Diogenesa i cyników, a także u taoistów, w różnych heretyckich teologiach i u niektórych filozofów oświeceniowych, między innymi u Godwina. Anarchizm millenarystyczny wyrażał się przede wszystkim w masowych ruchach heretyckich wiernych, którzy pragnęli egalitarnego raju na ziemi, z demokracją bezpośrednią i zniesieniem wszelkiej hierarchii społecznej i duchowej.

Wielu millenarystów było bezsprzecznie anarchistami. Jeśli nie można mówić o systemie jako takim, to jednak trzeba przyznać głęboką spójność tematów, idei i anarchistycznych ideałów w twórczości Shelleya, szczególnie w tym co

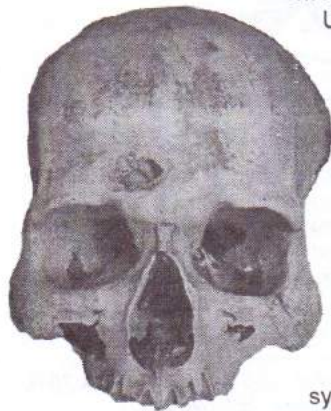
dotyczy jego krytyki społeczeństwa i projektów, pomysłów i praktyk rozważanych na płaszczyźnie psychologicznej, politycznej i społeczno-ekonomicznej.

Na płaszczyźnie pedagogicznej Shelley uważa, że natura ludzka nie jest skrzywiona i nie potrzebuje ani autorytetów ani odgórnym ograniczeń. Konstrukcje autorytatywne takie jak monarchie, arystokracje, teizmy antropomorficzne, hierarchie religijne, zwierzchnictwo mężczyzn, etc. są dla Shelleya pozbawionymi sensu wytworami człowieka. Jeśli człowiek je stworzył to może je i zniszczyć i Shelley, antycypując sławną analizę Feuerbacha, utrzymuje, że człowiek może odebrać władzę przysługującą mu a oddaną jego przodkowi. Narzędziami potrzebnymi do tego są: świadomość własnej wartości, poznanie racjonalne i wyzwolona wyobraźnia. Poczucie własnej wartości rozumiane jest jako wyzbycie się poczucia niższości, które by mogło prowadzić do podporządkowania się opresorowi lub poszukiwania władzy jako bezpieczeństwa w obliczu utraconej wartości.

Wymowa jego utworów niszczy przesady, które ukształtowały mit o podporządkowaniu. Shelley odrzuca bożki antropomorficzne i utrzymuje, że rozum ludzki jest w stanie dostarczyć efektywnych rozwiązań społecznych. Jego racjonalizm nie waloryzuje, jak racjonalizm Benthama, rozumu postrzeganego instrumentalnie i nakierowanego na dominację natury i systematyczny wzrost rozwoju kapitalizmu, przeciwnie, działa w dialektycznym związku z uwolnioną wyobraźnią, która umożliwia powstanie społeczności ludzkiej opartej na miłości i równości jak również na stałym związku z naturą.

Przyjemności zmysłowe

Centralną ideą *Prometeusza Rozpętanego* jest to, że ludzie, tak jak zostali stworzeni przez Júpitera, mogą go teraz zdezonizować i założyć społeczność równych opartą na miłości. W *Białej Górze* Shelley stawia czoła problemom śmierci, przemocy, amoralności ale odrzuca uciekanie się do Boga, nawołując do wyobraźni aby nadała sens absurdalnemu światu. W *Śladach* przeciwstawia tyrana Mahmuda zżeranego przez chęć utrzymania władzy, prorocie Ahasu-



erusowi, którego wiedza pochodząca z wizji jest źródłem radości. Tekst, niefortunnie zatytułowany przez wydawców jako *Esej o chrześcijaństwie*, ukazuje nam poprzez usta Diogenesa cynika typowo anarchistyczną wypowiedź z której wyciągam następujące, bardzo znaczące cytaty.

„W mocy każdego indywiduum jest przewyciężyć nierówność, która boli całą ludzkość. Niech nabędzie świadomości własnej wartości i pozycji jaką zajmuje pośród stworzeń rozumnych...W ten sposób gdy nabyte zostaną w całej swej uniwersalności uczucia zaufania i miłości, różnice stanu posiadania i władzy zanikną. Aby uzyskać wolność, równość i prawdziwą mądrość, człowiek musi przerwać łańcuchy przyzwyczajenia i przesądów; rozważyć działania i przedmioty takimi jakimi są w rzeczywistości. W ten sposób odkryje mądrość miłości uniwersalnej”

W innym fragmencie Shelley stwierdza, że gdyby nakazy Jezusa Chrystusa były rzeczywiście wcielane w życie to „nie istniałaby żadna instytucja polityczna ani religijna i każdy człowiek byłby zarządcą i kapłanem samego siebie”.

Schelleyska krytyka psychologiczna autorytaryzmu obejmuje także analizę efektów zemsty i nienawiści, również pomiędzy ofiarami ucisku.

Prometeusz nie wyciąga wniosków w zakresie moralności, przestaje jedynie nienawidzić Jupitera, nie przestając przy tym przeciwstawiać się jego władzy. Betriz Cenci, ze swej strony, buntuje się przeciwko gwałtownej przemocy, którą ojciec, jedna z najbardziej odrażających postaci w całej literaturze, stosował w stosunku do niej. Jednak

sam ten prawowity bunt, ma w sobie coś z zepsucia i nadużycia w miarę jak Beatriz knuje spisek zemsty, wierzy w bożka o cechach antropomorficznych i usprawiedliwia cały swój plan. Także samo poszukiwanie bogactwa i władzy przyczynia się do zepsucia. Jest tym co Shelley nazywa „mamona”.

Adonais rozwija intensywnie kontrast pomiędzy materializmem doczesnym i idealizmem duchowym, pierwszy, opisywany jako coś ograniczonego, destrukcyjnego, ulotnego; drugi ukazywany jako źródło wszelkich wartości tego świata.

Diogenes stwierdza to, co Thoreau także by pochwalił: „to przez egzaltację, rządząc władzą, stałaś się, o ludzkości, niewolnicą”.

Triumf życia przeciwstawia z jednej strony pożądanie dóbr materialnych, władzy i egoistycznej przyjemności, twórczemu poszukiwaniu Erosa z drugiej. Niemniej jednak, nie powinno się widzieć w Shelleyu ascetycznego idealisty. Przeciwnie: występuje za przyjemnościami zmysłowymi i utrzymuje, jak William Blake, że ich represjonowanie przekształciłoby w coś odwrotnego energię, która z natury jest dobra i zdrowa.

Represjonowanie Erosa wywołuje wojnę, jak mówią *Prometeusz Rozpętany* i inne teksty Shelleya. Fakt mocno podkreślany przez Northropa Frye'a: „Dla Shelleya, Eros zniszczy świat jeśli pozostanie przez długi czas spętany i stworzy go na nowo jeśli będzie wolny...”. Wyzwolenie Erosa nie jest prostą rewolucją seksualną chociaż rzeczywiście jest prawdziwą rewolucją seksualną. W IV akcie *Prometeusza* i w niektórych wierszach, takich jak

Chmura, Shelley robi z gry erotycznej samą esencję świadomości millenarystycznej i w tym jest bardzo bliski myśleniu Herberta Marcuse'a czy Normana O. Browna, którzy postulują przewyciężenie wszelkich represji jako warunek pełnego rozwoju możliwości człowieka.

Shelley jest bliżej Paina i Godwina w swojej krytyce instytucji: te, z powodu swego ograniczającego charakteru niszczą „autentyczne składniki społeczeństwa ludzkiego”. Odróżnia wyraźnie Państwo od społeczeństwa, które to powinno wypełnić struktury mieszkańcami. Wydaje się, że rozważa model rządu składającego się wyłącznie z przysięgłych, zważywszy na to, jak pokazywał Godwin w swoim esej na temat „sprawiedliwości politycznej”, że każde prawo jest nie więcej jak tylko opinią, i że opinie muszą być realizowane w sposób możliwie jasny.

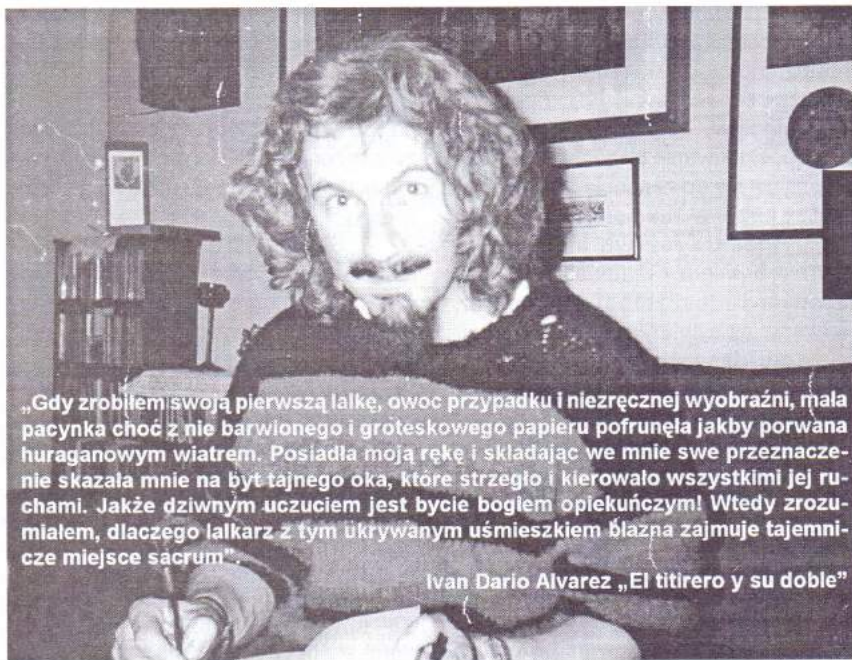
„Kiedy zrozumiemy - pisze Shelley - że prawo nie jest niczym innym jak tylko ustaloną przez ludzi opinią, że jest nie więcej jak osobista percepcja poszczególnych przypadków, będzie można spodziewać się, że w końcu skończy się ten rząd krwawych i głupich błędów, które brudzą prawodawstwa cywilne i karne narodów”. Celem Shelleya jest konsolidacja sił społecznych przeciwko władzy instytucjonalnej.

Począwszy od zdecentralizowanych struktur politycznych, wzmacniając środki socjalne, dostarczyłoby się bodźca rozwojowi kultury. „Gdyby Anglia była podzielona na 40 republik - wyobraża sobie Shelley - każda tak duża jak duże były Ateny zarówno jeśli chodzi o zaludnienie jak i obszar terytorialny, nie byłoby żadnego powodu aby utrzymywać te instytucje, które, nie będąc lepszymi od ateńskich, nie zdołałyby wydać filozofów i poetów zdolnych do współzawodnictwa (z pominięciem Shakespeare'a) z twórcami, którzy nie zostali nigdy przewyższeni”.

Przeciwstawiając w *Obronie poezji* autentyczne społeczeństwo uciskowi społecznemu, ukazuje ateński dramat jako ideał, ponieważ używa zróżnicowanych środków, dzięki którym publiczność może nauczyć się „poznania i szacunku do samego siebie”. Ideał kultury według Shelleya znajduje właściwy sobie wymiar we wspólnocie organicznej i o niewielkich rozmiarach, podobnej przekonaniom anarchistów takich jak Rudolf Rocker i Paul Goodman, wrażliwych na dychotomię istniejącą między nacjonalizmem i kulturą.



Percy Bysshe Shelley urodzony w 1792 roku poeta angielski, wydany z uniwersytetu Oxford za napisanie pamfletu „Konieczność ateizmu”. W 1812 r. odwiedził anarchistę Williama Godwina, którego tekst „Polityczna sprawiedliwość” miał wpływ na jego własne poglądy polityczne. Został przedstawiony Mary, córce Godwina i feministki Mary Wollstonecraft. Zakochali się w sobie i uciekli do Włoch w dwa lata później, gdzie Shelley wraz z Byronem zaczęli wydawać radykalne pismo „The Liberal”. Mary, późniejsza autorka powieści grozy „Frankenstein” (1818r.) została żoną Shelley'a. Ważniejsze dzieła: „Queen Mab” (1813) atakuje więzy religii; „Revolt of Islam” (1818) atakuje tyranie polityczną; tragedia „Rodzina Cencich” (1819) - tyranie rodzinną; poemat „Prometeusz rozpętany” (1820) tworzy wizję odrodzenia ludzkości; poemat „Alastor” zawiera nutę biograficzną. Tworzył również ody i elegie. Utonął u wybrzeży Włoch w 1822 roku. Kiedy morze wyrzuciło jego zwłoki na plażę, Mary Shelley i Byron wzniesli stos pogrzebowy. Mary wyjęła z jego ciała serce i umieściła je w puszcze. Byron oblał jego zwłoki winem, oliwą, posypał solą, a następnie podpalił. Urnę z jego z prochami pochowano w Rzymie.



„Gdy zrobiłem swoją pierwszą lalkę, owoc przypadku i niezręcznej wyobraźni, mała pacynka choć z nie barwionego i groteskowego papieru pofrunęła jakby porwana huraganowym wiatrem. Posiadła moją rękę i składając we mnie swe przeznaczenie skazała mnie na byt tajnego oka, które strzegło i kierowało wszystkimi jej ruchami. Jakże dziwnym uczuciem jest bycie bogiem opiekunческим! Wtedy zrozumiałem, dlaczego lalkarz z tym ukrywanym uśmiechem błazna zajmuje tajemnicze miejsce sacrum”.

Ivan Dario Alvarez „El titirero y su doble”

Kukły z Bogoty

Libelula Dorada (Złota ważka) jest teatralną grupą lalkarską z Bogoty (Kolumbia), która w minionym roku obchodziła 25 wiośen od rozpoczęcia swej działalności. Za jej parawanem kierując i gestykułując od zawsze znajdował się Ivan Dario Alvarez, jeden z braci, będących sercem i mózgiem przedsięwzięcia. I choć Libelula nie jest kolektywem anarchistycznym, obecność w niej Ivana nacechowała ich twórczość, a szczególnie niezmordowane poszukiwania i eksperymenty na rzecz wolności i przy pomocy jej samej.

Wrodzony bunt Ivana przeciwko niesprawiedliwościom i autorytaryzmom objawił się już w dzieciństwie. Swoją przygodę z ideami wolnościowymi rozpoczął w Galicji w północno-zachodniej Hiszpanii, gdzie spędził dwa lata, poprzez „Cyrk chłopaków” i społeczność Benposty. Doświadczenia te pozwoliły mu na własnej skórze poznać kolektywne życie społeczności, a także przyczyniły się do odrzucenia przez niego dogmatów religijnych, hierarchii i braku spójności między słowami i czynami.

W deszczową marcową noc spotykamy się w domu Ivana w Bogocie, aby przy aromacie czerwonego wina porozmawiać o jego 25 latach anarchizmu i teatru.

Od kiedy datuje się twoje zetknięcie ze sztuką? Było uzupełnieniem dorastania politycznego?

Jeszcze sprzed wyjazdu z Hiszpanii. Są rzeczy, do których się dochodzi nie zdając sobie z tego sprawy. W szkole, w której się uczyłem, tutaj w Parku Narodowym, była grupa teatralna zwana „Acto Latino”. Zajmowali się teatrem i kierowali całym parkiem. Ewoluuowali od marksizmu i trockizmu ku anarchizmowi. Gdy studiowałem na Peda-

gogice Artystycznej, kolejnej szkole po lalkarskiej – kontynuowałem swoją edukację poprzez sztukę. Co ciekawe, podczas naszego pobytu w szkole, chcieli nam ją zamknąć. Był jeden taki profesor malarstwa, Antonio Camacho Rugeles i zorganizowaliśmy z nim tydzień kulturalny na rzecz zachowania szkoły. Wyznał nam, że jest anarchistą i mocno się zwiąaliśmy.

Libelula Dorada była twoją grupą przez całe życie?

Byłem jednym z założycieli wraz z bratem, i obaj w pewien sposób zajmowaliśmy się sztukami scenicznymi i dzieliliśmy przywiązanie do anarchizmu. Dostrzeżesz to w repertuarze Libeluli. W 1979 roku napisałem „Słodki urok wyspy Anarchia” (El dulce encanto de la isla acracia), który był jakby subtelnym hołdem dla idei. Cieszył się wtedy wielkim powodzeniem i teraz wróciliśmy do jego prezentacji. Pewnego razu wystawialiśmy na Uniwersytecie Narodowym dla 2000 osób i dostaliśmy spektakularną owację. Od tamtej pory dokonaliśmy ciekawej pracy, na swój sposób poetyzując anarchię.

Czy jesteście obecnie najstarszą grupą lalkarską w Kolumbii?

Są też inne. Libelula pojawiła się w momencie, w którym pojawiły się także inne grupy. Nasz przykład stał się ważnym odniesieniem, tym co sprawiło, że te grupy przetrwały. Jest taka interesująca grupa w Medellin, zwana La Fanfarria. Oboje zajmujemy ważne miejsce w historii lalek ostatnich 30 lat w Kolumbii.

Ile osób składa się na Libelulę i jaka jest jej szczególna dynamika?

Początkowo zamierzaliśmy prowadzić to w sposób bardzo wspólnotowy, jednak – niestety – ludzie, którzy brali w tym udział, nie mieli tego samego poczucia obowiązku. Dzieliliśmy się i łączyliśmy wszystko, i zdawaliśmy sobie sprawę, że wielu oczywiście

chciało mieć udział w zyskach, ale nie w obowiązkach i odpowiedzialności. Tak więc ciężar pracy spoczywał na nas i rozpoczęliśmy powoli stawiać się firmą, która podpisywała umowy i zatrudniała ludzi. W tym sensie zagubiony został sens wolnościowej grupy. Z dorobku Ivana zostało opublikowanych 5 sztuk. Tak np. w „Ludycznych duchach” (Los espíritus ludicos) dwóch braci wędruje po świecie wyobraźni. W „Słodkim uroku wyspy Anarchia” trójka wygnańców – wśród nich pirat Malatesta – przemierza morze, aby uratować skarb wolności. W tej chwili Libelula Dorada stawia sobie za cel przekształcenie się w szkołę lalkarstwa, tak aby umocnić swoją przestrzeń jako ateneum przenikania się niekomercyjnych wypowiedzi artystycznych.

Czy lalki nie są w środowisku teatralnym brzydszą formą sztuki?

Tak, na pewien sposób to też było ciekawe, jeśli chodzi o Libelulę. Nawet w środowisku teatralnym, ludzie z wielkich zespołów uważali, że na festiwalach nie powinny brać udziału lalki, bo to nie było teatrem. trochę dzięki grupom takim jak nasza ten obraz zaczął się zmieniać, już nie jesteśmy młodszym bratem, lub czymś gorszym, głupszym bracijskim teatrem. Zaczęliśmy podważać to i przedstawiać sztuki, które nie były wyłącznie dla dzieci, ale dla dorosłych – pokazując, że lalki są językiem tak samo, albo i bardziej ciekawym językiem niż sam teatr. Lalka to dla nas przenośnia i aktor czasami nie ma takiej możliwości stania się symbolem. Czasami lalka może stać się czymś bardzo dramatycznym i plastycznym, może osiągnąć poziomy bardzo interesujące poprzez stworzenie bardzo abstrakcyjnego języka.

Patrząc na wasze przedstawienia wydaje się, że włączacie rzeczy, które nie były częścią teatru lalek, na przykład, gdy sami pojawiacie się jako postacie.

My nie widzimy tej granicy pomiędzy teatrem aktorskim i lalkarskim. W pewien sposób uważamy, że to może wzbogacić teatr aktorski. Od początku to, co chcieliśmy robić, miało być teatrem.

Byliśmy stałymi obserwatorami i byliśmy pod wpływem tego ruchu, który istniał w latach 70-tych: silnie kontestujących grup teatralnych, które bardzo przyciągały naszą uwagę. Gdy pojawiła się szkoła lalek, chcieliśmy uczyć się tego jako uzupełnienia naszego wykształcenia, ale skończyło się tak,

że bardziej zakochaliśmy się w teatrze lalek niż aktorskim.

Wasze postacie pojawiają się na scenie w różnych rozmiarach. To coś, co jest charakterystyczne dla stylu Libeluli. Czy są jeszcze jakieś charakterystyczne elementy w waszej pracy?

Jedną z takich rzeczy jest koncepcja przestrzeni. W chwili, gdy zaczynaliśmy, lalkarz zamknięty był w swoim teatrzyku, który go zakrywał i nie był przez to częścią sceny. To była jedna z rzeczy, jaką zmieniliśmy poprzez takie dzieła, jak „Słodki urok wyspy Anarchia”. Przemieniliśmy parawan w okręt, teatrzyk w przestrzeń sceniczną, która tworzyła integralną część dzieła, będąc sama w sobie postacią. Bawiliśmy się tym także w „To koźle jest czystą bajką”, nadając parawanowi sporą mobilność.

Kolejną rzeczą jest język. Wcześniej traktowano dziecko, jakby było niedorozwinięte umysłowo i odnoszono się do niego w sposób silnie paternalistyczny, poprzez zdominowanie. Lalki miały za zadanie kształtować moralnie maluczkich, ale poprzez bardzo manicheistyczne szablony. W Libeluli zaczęliśmy kwestionować tę koncepcję opowieści, może nie było naszym zamiarem być całkowitymi niszczycielami wartości w kategoriach dobra i zła, zaczęliśmy dostrzegać, że jest wiele ich interpretacji. I to dziecko jest podmiotem, który poprzez postacie ma wyciągnąć swe wnioski. W „Ludycznych duchach” silnie zainspirowani przez Lewisa Carrolla (autor „Alicji w krainie czarów” -

przytłumacza), który - jak uważam - był anarchista języka poprzez swe zerwanie z czasem i przestrzenią, zaczęliśmy kwestionować linearność, łamać logikę.

Wszystko, co wystawiacie, jest waszym własnym dziełem?

To też mogłoby być jakąś szczególną cechą, to że jesteśmy twórcami własnego repertuaru. Robiliśmy także adaptacje bajek przekazywanych w tradycji ustnej.

Masz jakieś dzieło, z którego jesteś szczególnie dumny?

Dzieło, które osiągnęło największy sukces, to „Ludyczne duchy”, a było to bardzo ważne, bowiem zaprosili nas do udziału w międzynarodowym festiwalu teatru w Manizales i zostaliśmy uznani za jednych z lepszych. Nikt w dziejach lalkarstwa nie uzyskał takiego uznania. Także z tym dziełem byliśmy na Festiwalu Cervantesowskim w Mieście Meksyk, na Międzynarodowym Festiwalu Narodów w Santiago de Chile, ostatnio zaprosili nas do Caracas.

Ivan Dario odbija się w swych postaciach, czy lalki przypominają jego?

Jest kilka postaci, które to zdradzają. Czasami czuję, że w „Ludycznych duchach” nieświadomie, jest historia, umieściłem bardzo osobistą historię. To stosunki pomiędzy dwoma braćmi, Tito i Tato, która jest dobrym odbiciem stosunków pomiędzy moim bratem i mną. Postacie, które w moich dziełach mają pewną dozę zła, podobają mi się, bowiem są odwrotnością mnie. To mój sposób na przedstawianie mojej ciemnej strony.

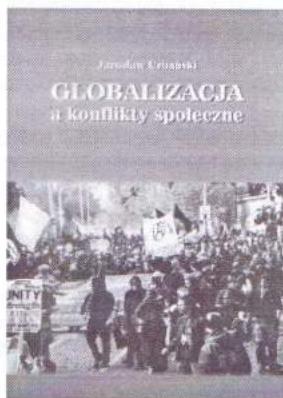
Czy trudno jest utrzymać nonkonformistyczną postawę w tak spolaryzowanej przestrzeni konfrontacji, jak w Kolumbii?

Trafiła nam się trudna walka. Z jednej strony przeciw burżuazyjnej koncepcji kultury, która jest bardzo elitarna i antyludowa, i która wyraża się poprzez swe instytucje, które trzymają biurokratyczną kontrolę nad budżetem kulturalnym.

Z drugiej strony przeciw organizacjom, które z pozycji lewicowych stały się dominujące w dyskursie kulturalnym i które znalazły swój głos wśród partii politycznych np. partii komunistycznej. Mieliśmy przez to kłopoty, bowiem oni wytworzyli relację z państwem o wiele bardziej polityczną i pomimo przedstawiania siebie jako krytyków i skargowania się na politykę kulturalną, są jej największymi beneficjentami. Do tej chwili wojna nie zaszkodziła naszej swobodzie wypowiedzi, mieliśmy możliwość powiedzenia tego, co chcieliśmy. Jednak w pewnym momencie dane nam było być ofiarami jej sytuacji. Jakies 10 lat temu napadnięto nas, gdy poszukiwano broni FARC (Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii), i w polowaniu na czarownice zaatakowano kilka grup teatralnych. Z tego, jak rozwijają się sprawy w Kolumbii, mam przecucie i obawy, że w pewnej chwili - a faszyzm rozwija się - będą chcieli skończyć dobierając się do ludzi, którzy - powiedzmy - stoją na lewicy na pozycjach dysydenckich.

Rafael Uzcategui

tłumaczenie: Piotr Smyrak



Jarosław Urbański, socjolog, uczestnik ruchu Wolność i Pokój, współzałożyciel Federacji Anarchistycznej analizuje przebieg dziesiątków lokalnych protestów społecznych, jakie miały miejsce w ostatnich latach w związku z globalizacją gospodarki. W walce o swoje prawa i interesy mieszkańcy gmin zyskują świadomość, że właśnie stanęli bezradni wobec wielkiego kapitału i anonimowej władzy, której regionalne struktury są tylko posłusznym narzędziem w przekształcaniu lokalnych wspólnot w konsumpcyjno-rozrywkowy raj na Ziemi.

Zamówienia:

Federacja Anarchistyczna sekcja Poznań
skr. poczt. 5, 60-966 Poznań 31
tel. 0-607-99-20-69

Dochód ze sprzedaży książki w całości przeznaczony jest na cele społeczne



Lord Terror #8

anarcho-animals zine
powrót po latach!

A-4, 40str. (4zł+6zł pocztą)
płatne przy odbiorze

Zmówienia:

ezln@ezln.prv.pl

lub listownie:

Centrum Inicjatywy Lokalnej
p.o.box 203
90-950 Łódź

ARGENTYNA



LEKCJA DLA ANARCHISTÓW

Począwszy od ubiegłej zimy Argentyńczycy atakują władzę, ośmieszają rządzących, rzucają wyzwanie kapitałowi, inicjują działalność zgromadzeń ogólnych na skalę niespotykaną od czasów wojny domowej w Hiszpanii roku 1936. Wszystko to toczy się właściwie bez jakiegokolwiek przywództwa. Argentyńczycy wybrali walkę przeciwko terrorowi władzy i kapitału. W Buenos Aires mieszkańcy samoorganizują się w swoich dzielnicach i próbują wziąć los we własne ręce.

Jakkolwiek się to dalej potoczy, ruch ten rozbił już stare ideologiczne formy proponując w ich miejsce dwa nowe rozwiązania o dużym znaczeniu dla naszej międzynarodowej walki: demokrację bezpośrednią i odrzucenie instytucji państwowych.

Ten nowy w skali światowej przejaw rewolucji powinien ucieścić ruch anarchistyczny. Jednak, tak jak na przykład we Francji, ruch anarchistyczny jest zbyt często uwikłany w praktyki zdeterminowane przez pewnego typu poglądy ideologiczne: udział w antiglobalistycznym spektaklu, formy zaangażowania w działania robotnicze pod pretekstem skuteczności związków zawodowych, chwilowe sojusze w jednym miejscu z regionalistami, w innym z komunistami. Tymczasem jeżeli rzeczywiście chcemy proponować i brać udział w budowaniu innego społeczeństwa, wolnego i sprawiedliwego, to nadszedł czas, aby wrócić do naszych źródeł. Chodzi o praktykę nadającą spójność naszym ideom dotyczącym budowy struktur poziomych, autonomicznych o niespektakularnym charakterze. Z tego punktu widzenia wydarzenia w Argentynie są pewnego typu lekcją udzieloną anarchistom.

ZADZIWIAJĄCA POSTAWA NIEKTÓRYCH WOLNOŚCIOWCÓW

20 grudnia 2001 roku Argentyńczycy stawili czoło władzy. Utworzył się związek pomiędzy klasą najuboższych i klasą średnią. Jest to pozytywny efekt pewnych chorych ma-

newrów politycznych.

Początkowo klasy średnie chciały po prostu odzyskać swoje depozyty bankowe i kpiły z nędzy innych. Tymczasem najbiedniejsi, przymuszeni głodem, przez wiele tygodni obsługiwali się sami w supermarketach. Rząd argentyński, aby chronić interesy międzynarodowego kapitalizmu, straszyl puczem i przygotowywał się do obrony przeciw „anarchii”. Liczył na konsolidację klas średnich wokół władzy i sądził, że będzie się ona kierować logiką: „być może będziemy zrujnowani, ale nie będziemy żyć w niepewności i poczuciu braku bezpieczeństwa”. Miał być to ważny punkt strategii obliczonej na to, że klasa średnia wesprze władzę i państwo. Jednak strategia ta przyniosła odwrotne skutki - spowodowała konsolidację i pojednanie wszystkich niezadowolonych. Powód tego jest jasny: większość Argentyńczyków zrozumiała jak funkcjonuje system i zdecydowała się z nim, i że wszystkim co on reprezentuje, zerwać. Właśnie dlatego, począwszy od 20 grudnia, walka ta charakteryzowała się odrzuceniem partii politycznych i związków zawodowych. Argentyński OSL oświadczył: „Ciekawe, że jednym z wyróżników manifestacji (20 grudnia) jest całkowite odrzucenie opcji politycznych. Ta postawa, promowana przez media, działa na korzyść dezorganizacji i fragmentaryzacji ruchu, a co za tym idzie stwarza warunki sprzyjające prawicy...”. Ta opinia była rozpowszechniana bez słowa komentarza przez m.in. OSL Szwajcarii i przez różną prasę anarchistyczną jak np. „Alternative Liberaire” we Francji czy „Tierra y libertad” w Hiszpanii. Postawa tego rodzaju prowadzi do żalosnej obrony parlamentarizmu.

Tak definiując koncepcję kontrrewolucji, stwierdzamy w istocie że bez instrumentów politycznych ruch społeczny nie może zaistnieć! Ale co się wydarzyło 20 grudnia? Ludzie na ulicach, władza obalona, partie polityczne odrzucone. Policja zabija 31 osób. Na ulicy rządzi chaos. Ale czy trzeba go się bać? W istocie rzeczy zada-

niem całego ruchu rewolucyjnego jest konieczność tworzenia alternatywnych rozwiązań w centrum przeciwieństw wywołanych rewoltą. Jest to rola każdego walczącego anarchisty - zakasać rękawy i zrobić wszystko aby zjednoczyć klasy, które brały udział w walce przeciwko władzy, państwu i kapitalizmowi oraz wyjaśnić nasz projekt wolnościowego społeczeństwa.

Czy w tej sprawie partie i związki zawodowe mogą odegrać jakąś rolę? Jaki sens ma postawienie problemu posługując się pojęciami „lewiej” czy „prawej” strony, co miałyby też określać to co rewolucyjne i kontrrewolucyjne? W tej sprawie potrzebowalibyśmy jakiś wyjaśnień! Jednak my w przeciwieństwie do tego typu stawiania sprawy, jesteśmy wdzięczni Argentyńczykom za zrobienie tego pierwszego kroku na rewolucyjnej drodze.

Zatem są w Argentynie walczący przedstawiciele ruchu wolnościowego, którzy prezentują styl myślenia lewicowych radykałów i chcą sabotować istniejące próby samoorganizacji społecznej.

Argentyńska Regionalna Federacja Robotników (FORA - Federacion Obrera Regional Argentina) oraz inne grupy, przeanalizowały w sposób konstruktywny ich argumenty dotyczące prowadzenia walki. W styczniu 2002 roku wydane zostało oświadczenie FORApt. „Otwarta Organizacja”. Wyjaśnia ono główne aspekty analizy sytuacji. Wyraźnie podkreśla się tam, że odrzucenie przez społeczeństwo związków zawodowych, polityków lewicy i skrajnej lewicy - przeciwników drobnej wytwórczości, jest budującą oznaką. Następnie oświadczenie nalega jednak na określenie anarchistycznych pomysłów i metod działania. Przypomina jednocześnie, że jeżeli władza i jej instytucje przedstawiają sytuację w Argentynie jako „anarchię”, to nie znaczy to iż jest to już anarchia! Mamy tylko do czynienia z rozkładem władzy. W rezultacie chaos w jaki są uwikłani mieszkańcy Argentyny zawdzięczają oni państwu i kapitalizmowi, a nie ideałom anarchistycznym.

Argentyńscy anarcho-syndykalisci przekonują, że jeżeli te zdarzenia są faktycznie istotne, to ludność Argentyny będzie miała dość sił i środków, aby zorganizować społeczeństwo w oparciu o idee socjalne i wolnościowe. Właśnie dlatego nalegają, aby urzeczywistnić ich projekt. „My i inni działacze FORA tworzymy organizację robotniczą mającą za cel budowę społeczności komunistyczno-anarchistycznej. I to wcale nie oznacza, że przez cały dzień rozbijamy witryny sklepowe. Kto tak twierdzi kłamie po to, aby zapewnić dla siebie samego dobrobyt i pozycję polityczną”.

W przeciwieństwie to tego pojęcia, anarchia oznacza nowe społeczeństwo opierające się o system struktur poziomych, gdzie każdy może współdecydować na wolnym zgromadzeniu o orientacji ekonomicznej i sprawach codziennych, bez jakis „błogosławieństw” dla jednych koncepcji i szkodą dla innych. Społeczeństwo takie jest możliwe wyłącznie w przypadku, kiedy zagwarantowana zostanie równość społeczna i ekonomiczna dla wszystkich, którzy je tworzą. Cały czas staramy się tu zaproponować - jako alternatywę - organizację zgromadzeń kontrolujących zarówno produkcję jak też konsumpcję; zgromadzeń delegatów który można w każdej chwili odwołać, delegatów lokalnych, regionalnych i wreszcie międzynarodowych.

Te propozycje są nie tylko spójne z naszymi ideami, ale mają też odnośnik w rzeczywistości. A oto dowód na to. Podczas gdy podjęte przez FORA środki ograniczają się do propagowania określonej koncepcji, mieszkańcy Argentyny tworzą działania, które współgrają z propozycjami FORA. Począwszy od lutego 2002 roku mamy wiele dowodów na zadawalający poziom samoorganizacji argentyńskiej ludności. Na przykład w artykule „Monde” z 20 lutego możemy przeczytać: „W Buenos Aires mieszkańcy organizują się w związki dzielnicowe...



Wszyscy precz! - ten slogan skierowany jest zarówno do polityków, sędziów, bankowców jak i do argentyńskich związków zawodowych... Co niedzielę delegację dzielnic kontynuują posiedzenia «stanów generalnych», gdzie mówcy wymieniają się ciągle informacjami o pracy w każdej dzielnicy i proponując coraz to nowe plany działań... Wszystkie decyzje podejmowane są w głosowaniu... żaden mówca nie może występować w imieniu partii politycznej... delegaci jak i stanowiska pracy podlegają stałej rotacji...” Inne doniesienia mówią o niewygodnej sytuacji polityków, którzy, aby wyjść na ulicę, muszą się maskować.

Ludność Argentyny prowadzi wspólną walkę, ale musimy trochę przytemperować nasz optymizm. Z wielu powodów. Podstawowy to fakt, że są osoby które są dość silne, aby zamiast zwyczajnie stanąć w obronie wykorzystywanych, starają się jak hieny, uzurpować sobie prawo do ciągłego mączenia w wypracowanych strukturach, którymi rządzi mnóstwo przeciwności i gdzie

powstaje wiele trudności, które trzeba rozwiązać w życiu codziennym. Trudno jest bowiem realizować ideę demokracji bezpośredniej. Szczególnie kiedy warunki społeczne temu nie sprzyjają, bo np. nie dokonano uspołecznienia środków produkcji. Różnego typu bandyci, burżuazy, politycy i związkowcy nie zastanawiają się nad niczym. Czekają kiedy sprawy przybiorą inny obrót i walka osłabnie. Liczą, że stanie się to wówczas gdy ci którzy muszą pracować, aby żyć, zmęczą się i wrócą do zarabiania na chleb powszedni. Wtedy będą oni mogli wykonać odpowiednie ruchy, aby odzyskać władzę i odbudować kapitalizm. Ale to wszystko potrwa tylko do pewnego dnia, w którym - biorąc przykład z wydarzeń Argentyńskich - mieszkańcy całego świata odnajdą środki, aby znieść niewolnictwo ekonomiczne.

Yvon

tłum. Kaśka Roszak

(Przedruk za: „Combat Syndicaliste”, nr kwiecień/maj 2002)



Wolnościowa Inicjatywa Krawiecka WIK Vadera

Oferujemy szeroki zakres usług krawieckich i produktów tekstylnych wykonywanych również na indywidualne zamówienia takie jak: koszulki z wolnościowymi nadrukami, naszywki, bokserki, spodniczki, torby, chusty, fartuchy, spodnie, pościele, anarchistyczne flagi. Wykonujemy także transparenty wycinane ploterem. Po cięgle rozszerzany katalog przelilij kopertil+ znaczek na adres:

Sławomir Kmiotek,
ul. Matejki 36m4
60-768 Poznań

BEZ PANÓW - BEZ PODDANYCH



Turecki „Wujek”

Przed sądem wojskowym w Amasya na podstawie prawa o stanie wojennym stanęło 15 kwietnia 1982 roku 689 oskarżonych, w tym 510 górników, 105 chłopów, 43 drobnych przedsiębiorców, 18 nauczycieli, 9 studentów, 3 inżynierów i 1 adwokat. Zarzut? „W celu zmiany lub obalenia przemocą konstytucji Republiki Tureckiej oskarżeni dokonali w kopalni Yeni Celtek nielegalnej okupacji po zamknięciu przedsiębiorstwa, skonfiskowali środki produkcji i uspołecznili produkcję w ramach nielegalnej organizacji i poprzez nielegalne akcje ruchu oporu...”. Dla 73 oskarżonych prokuratura zażądała kary śmierci.

Kopalnia węgla brunatnego w Yeni Celtek, zatrudniająca ok. tysiąca pracowników była najważniejszym przedsiębiorstwem w regionie Amasya. Większość akcji kopalni należała do państwa. Do 1975 roku w kopalni działał związek zawodowy, który nie tylko kolaborował z dyrekcją, ale był całkowicie kontrolowany przez faszystowską Partię Akcji Narodowej - tylko wyznaczeni przez tę partię pracownicy mogli być wybierani do władz zakładowej organizacji związkowej. Stała ona na straży ładu w kopalni. Większość górników nie miała nawet 35 lat, gdyż ze względu na straszliwe warunki wcześniej tracili oni zdolność do pracy, ponadto z reguły zwalniano ich przed osiągnięciem wieku emerytalnego.

Z inicjatywy inżyniera Celtina Uygura powstał wreszcie w kopalni niezależny związek zawodowy. Na początku 1975 roku, przy okazji rokowań nad zmianą siatki płac, okazało się, że dyrekcja nie uznaje nowego związku. Dopiero po 23 dniowym strajku dyrekcja uznała związek i podpisała z nim układ zbiorowy. Wówczas większość górników opuściła dawny związek.

Niezależni związkowcy z Yeni Celtek zaczęli teraz namawiać okolicznych chłopów do organizowania się w spółdzielnie oraz zaczęli tworzyć struktury związkowe w innych zakładach - rafinerii, młynie i mniejszych kopalniach. Zaczęły się również aktywizować bojówki skrajnie prawicowych „Szarych Wilków”. Dokonały zamachu na Uygura, który ledwo uszedł z życiem.

W 1978 roku, gdy nadchodzi czas odnowy porozumień placowych, dyrekcja kopalni w Yeni Celtek odmawia rokowań ze związkiem. Ten odpowiada strajkiem, który - poparty przez okolicznych chłopów i rzemieślników oraz robotników innych zakładów - trwa dwa

miesiące. Dyrekcja kapituluje na całej linii - zgadza się zadośćuczynić postulatom strajkowym. Płace zostają podwyższone, normy bezpieczeństwa i higieny wprowadzone, przepis stanowiący, że po 30 latach pracy w kopalni można uzyskać prawo do emerytury - obalony. Ponadto górnicy uzyskują prawo do trzech ton węgla rocznie na użytek własny, a związek do dysponowania 10 tonami węgla dziennie, co mu pozwala dostarczyć opał sprzymierzonym organizacjom społecznym oraz dzielić go wśród najuboższych rodzin. 1 Maja zostaje uznany w Yeni Celtek za święto pracy - w przeciwieństwie do innych regionów Turcji. Organizacja związkowa w kopalni staje się przykładem dla całego tureckiego ruchu związkowego.

Gdy wiosną 1980 roku ma po raz trzeci dojść do podpisania układu zbiorowego, dyrekcja kopalni zrywa nagle rokowania i odmawia ich wznowienia mimo interwencji komisji rozjemczej. Zgodnie z ówczesnym tureckim ustawodawstwem, w takiej sytuacji robotnicy mają prawo do strajku. Związek korzysta z tego prawa. Dyrekcja tym razem już się nie cofa. Ogłasza, że pokłady węgla brunatnego w Yeni Celtek są wyczerpane, a kopalnia deficytowa i nakazuje jej zamknięcie. Zamknięcie kopalni oznaczałoby katastrofę gospodarczą dla regionu, nie tylko dlatego, że jest ona głównym źródłem zatrudnienia dla ludności okolic, ale również dlatego, że od wydobywanego w niej węgla zależy istnienie wielu innych przedsiębiorstw regionu. Przewlekły strajk może z kolei wyrządzić kopalni niepowetowane szkody - uniemożliwić jej eksploatację w przyszłości wskutek nagromadzenia się wody i gazów oraz zawalenia stropów, jeśli nie będą one przez dłuższy czas odnawiane.

Związek zarządza więc okupację kopalni przez górników i przejście od strajku biernego do strajku czynnego - wznowienie wydobywania węgla pod kontrolą załogi i przystąpienie do niezależnej dystrybucji opału. Mimo nacisków rządu, sąd pracy uznaje strajk za legalny. W tym czasie wojsko dokonuje inwazji Fatsy i grozi rozciągnięciem operacji na Yeni Celtek, gdzie strajk trwa pod hasłem: „Samorządnie wydobywamy węgiel”. Kopalnia jest ochroniana przez oddziały stałej straży wartowniczej, do której zaciągają się górnicy, chłopci, nauczyciele, robotnicy z innych zakładów. Zapobiega to atakom i prowokacjom ze strony policji i „Szarych Wilków”.

Strajk czynny trwa miesiąc - od początku maja do początku czerwca 1980 roku. Wszyscy górnicy, w tym cały personel techniczny, pracują normalnie. Nie okupują jedynie biur. Cała praca biurowa zostaje zredukowana do prowadzenia dwóch zeszytów: w jednym zapisywane są wypłaty wynagrodzenia, a w drugim dzienne wydobywanie węgla. Węgiel jest sprzedawany po niższych niż przedtem cenach - nie po 3 tys. Lecz po 2 tys. Funtów za tonę. Nabywcami są okoliczni chłopci, potem również sąsiednie miasta, a w końcu i miasta odleglejsze, jak również niezależne organizacje związkowe i społecz-

ne. Rodziny ubogie otrzymują węgiel za darmo. Z kolei państwowych kopalnia w warunkach strajku czynnego korzystać nie może, więc chłopcy wywożą węgiel ciągnikami, a transport na dalsze odległości zapewniają ciężarówki należące do kopalni, do spółdzielni transportowych działających w regionie i spółdzielni rolniczych. Chłopi i drobni przedsiębiorcy zapewniają kopalni dostawy żywności. W Ankarze, Izmirze, Stambule i innych wielkich miastach organizacje społeczne przeprowadzają zbiórki na fundusz solidarności z górnikami z Yeni Celtek. Podobne zbiórki odbywają się również za granicą - w Niemczech, Anglii i Francji.

Strajk czynny zostaje jednak przerwany, gdyż po miesiącu policja zatrzymuje ciężarówki z węglem i konfiskuje produkcję. Trwa jednak nadal strajk okupacyjny bierny. Po odliczeniu wydatków na płace i działanie kopalni okazuje się, że w okresie strajku czynnego zyski wzrosły o 50%, a więc że pod kontrolą załogi kopalnię można zarządzać bardziej rentownie.

12 września gen Evren dokonuje wojskowego zamachu stanu. Tego samego dnia od wczesnych godzin porannych kopalnia zostaje otoczona przez wojsko. Przez 50 dni trwają aresztowania w kopalni, po wsiach, w szkołach, zakładach pracy. Aresztuje się nawet kobiety, dzieci i starców. Zatrzymani mieszkańcy Yeni Celtek są przetrzymywani od 60 do 180 dni na terenie rzeźni w mieście Suluova, gdzie zostają poddani okrutnym torturom. Najczęściej stosuje się tortury elektryczne, potworne bicie, wieszanie na hakach wbijanych między kość a mięsień nogi czy ramienia, pozorowane egzekucje przez rozstrzelanie lub powieszenie. Wojskowi ze szczególnym okrucieństwem znęcają się nad inż. Uygurem, któremu połamano podczas tortur palce i żebra i odbito nerkę. Uygur staje trzykrotnie przed sądem - w procesie Yeni Celtek i w procesie postępowej centrali związkowej DISK, w których grozi mu kara śmierci oraz w procesie działaczy skrajnie lewicowej organizacji Dev Yol, w którym zostaje skazany na 20 lat więzienia. Uczestnicy strajku czynnego i osoby wspomagające strajk po wyjściu z piekła rzeźni w Suluova zostają osadzeni w więzieniach wojskowych, gdzie tortury stosuje się nadal, aby uzyskać nowe zeznania oraz ukarać więźniów, gdy protestują przeciwko warunkom, w jakich przebywają.

Mieszkańcy Fatsy i Yeni Celtek płacą dyktaturze wojskowej wysoką cenę za to, że osmielili się ustanowić samorząd terytorialny i pracowniczy.

W Turcji i w Polsce dyktatury wojskowe wykonywały tę samą brudną robotę, niezależnie od tego, czy usiłowały przywrócić ład kapitalistyczny, czy panowanie totalitarnej biurokracji. Walczyły bowiem z tym samym wrogiem - z ludźmi pracy, którzy chcieli wziąć swój los w swoje ręce i dążyli do samorządności w miejscu pracy czy zamieszkania, do samoorganizacji i niezależnej działalności.

na podstawie broszury wydanej w Bazylei w 1983 r. przez Grupę Roboczą ds. Uchodźców Tureckich

Cipriano Mera czyli



dystynkcje dla anarchisty

opracował Rafał Górski

Urodził się 4 listopada 1897 roku w Madrycie.

Ci co go znali mówili o nim jako o człowieku wytrwałym, skromnym i powściągliwym w słowach. Podobno bardziej niż inni znani anarchiści cenił sobie uroki życia rodzinnego. Mówi się także, że podczas wojny domowej w Hiszpanii komentował swoje plany na przyszłość słowami: „kiedy skończy się wojna, generał Cipriano Mera chwyci za kielnię”. Podczas pobytu na wygnaniu we Francji zwykł mówić, że tak naprawdę jest pacyfistą i z wielką odrazą stosował przemoc. Od chwili kiedy w 1920 roku stał się anarcho-syndykalistą, swoje życie musiał dzielić między więzienie (często oskarżany o podkładanie bomb), rusztowanie murarskie, a ukochaną towarzyszkę całego życia Teresę i dwójkę dzieci.

W grudniu 1933 roku Mera wraz z Isaakiem Puente i Buonaventurą Durrutim zorganizował anarchistyczne powstanie w Aragonii. Spalono księgi wieczyste, księgi parafialne i inne świadectwa własności. Obwieszczenia zakazywały użytkowania pieniędzy. Jeden z uczestników zdarzeń Miguel Foz opisywał je zwięźle: „Przez pięć dni żyliśmy w wolnościowym komunizmie, opierając się jedynie na prawie wyzwajowym”. Powstanie zostało stłumione przy użyciu wojsk rządowych, w tym oddziałów pancernych, a jego przywódcy aresztowani.

Tuż przed wybuchem wojny, w czerwcu '36 Cipriano zorganizował strajk pracowników budowlanych, elektryków i windziarzy obejmujący ponad 100.000 osób, głównie członków CNT. Trzeciego lipca rząd Casaresa Quirogi wezwał ich do powrotu do pracy w imię ratowania Republiki, ale strajku nie przerwano. Na dziedzińcu Colegio Maravillas de Cuatro Caminos odbył się wiec robotniczy na którym przemawiali anarchiści: Mera, Teodoro Mora, Antonio Vergara. Mera był jedynym, który ostrzegł przed nieuchronną akcją represyjną i spodziewał się wielkiej konfrontacji między siłami prawicy i lewicy. Kilka dni później został aresztowa-

ny. Strajk trwał nadal, aż do pamiętnego dnia 19 lipca. To wtedy puczyści generała Franco próbowali opanować Madryt, lecz ponieśli klęskę. Rząd zdecydował się wydać broń członkom anarcho-syndykalistycznych i socjalistycznych związków zawodowych. Drzwi do celi Mery w miejskim więzieniu otworzył jego stary kolega Teodoro Mora i od razu wręczył mu karabin. Ledwo opuściwszy mury więzienia, Cipriano przystąpił do organizowania milicji robotniczej, zaczynając od swoich towarzyszy z CNT. W Madrycie ciągle jeszcze panował początkowy chaos i każdy energiczny dowódca milicji mógł się wykazać inicjatywą. Eduardo del Val z CNT, będący również sekretarzem madryckiego Komitetu Obrony Związkowej (CDC), zaproponował, by Mera spróbował odbić miasto Cuenca, gdzie stacjonował silny oddział Guardia Civil. Mera zebrał 100 anarchistów-murarzy i na kilku ciężarówkach wyruszyli do Cuenca. Z marszu zdobyli miasto, ale niezaspokojeni tym sukcesem urządzili rajd po okolicznych wioskach i miasteczkach likwidując oddziały gen. Franco. Urządzali tam wiece i mówili, że chociaż walczą z pucystami, ich prawdziwym celem jest rewolucja społeczna, a nie wyłącznie obrona Republiki - „Teraz wszystko jest wspólne: ziemia, narzędzia, ból i śmierć!”. Chłopi mówili o nich Huragan Krwi, Mściciele Ludu i co raz liczniej przyłączali się do oddziału.

W początkach sierpnia Mera bije się w paśmie gór Gredas na czele silnego już anarchistycznego zgrupowania „Columna de Rosal”. Po zdobyciu przez frankistów Talavera de la Reina w początkach września głównodowodzący armią Republiki decydują się na odbicie tej placówki przez wspomnianą formację „Columna de Rosal”. Atakiem dowodzi Mera. Anarchiści ponoszą jednak duże straty. Zaczyna brakować ludzi, a rząd tylko obiecuje pomoc. Co gorsza kolumna Mery i Lopeza Tiendy zostaje zagrożona okrążeniem. Dowódcy naradzają się i zwycięża koncepcja Mery, aby jednym desperackim atakiem przebić okrążenie w kierunku Ceberras. Podczas szarży na linie wroga jego ludzie strzelają z pędzących ciężarówek, aż do momentu dotarcia do Ceberras jeszcze nie zajętego przez wroga. Po tym wyczynie dowództwo pozwala im odpoczywać w Madrycie.

Najlepsze oddziały wroga zbliżają się do stolicy. Myśli się o ufortyfikowaniu miasta, co następcza dodatkowych proble-

mów. Mera, murarz z zawodu, dyskutuje żywo z Listerem, który na każdym kroku podkreśla, że ukończył radziecką akademię wojskową i wie lepiej jak przygotować obronę miasta. Rząd republikański przenosi się tymczasem do położonej nad morzem Walencji, a Ministerstwo Wojny wzywa wszystkie oddziały do obrony Madrytu. Ważny odcinek linii obrony zostaje powierzony, przybyłej z Katalonii, anarchistycznej Kolumnie Durrutiego. Ponosi ona straszną klęskę, tracąc 2/3 składu osobowego. W niewyjaśnionych okolicznościach ginie sam legendarny Durruti. Teraz dowództwo nad oddziałami anarchistycznymi zostaje powierzone Merze. Przydzielony mu zostaje most San Fernando. Bitwy są bardzo zacięte i krwawe, ale jego oddziały nie cofają się. W nocy 15 stycznia 1937 roku Mera prosi gen. Rojo o przyznanie mu natychmiast dystynkcji wojskowych, jakichkolwiek. Mówi: „Nie chcę być tylko dowodzącym Mera, chcę znać swoje kompetencje, chcę być sierżantem Mera, lub kimkolwiek innym”. Mera wkracza na drogę, której nie przebył przed nim żaden inny anarchista. Rząd decyduje się przyznać mu stopień majora. Generał Rojo z zaskoczeniem odkrywa perfekcyjną organizację i dyscyplinę oddziałów Mery - „Taka ewolucja Cipriano Mery, którą możemy obserwować również w innych oddziałach anarchistów jest początkiem wyraźnie znaczącym w procesie zmian i niesamowitej akceptacji dla zmieniających się warunków od początków rewolucji, która przerodziła się w wojnę. Takie zachowanie u takiego realisty i osoby tak szczerzej jak Mera nie mogło być spowodowane ambicjami osobistymi, zawsze tak odległymi dla tej osoby”.

Cipriano Mera stwierdza wówczas, że milicja robotnicza, nawet anarchistyczna, będzie tylko wtedy w pełni operatywna, jeżeli nabierze pewnej stałej struktury i przede wszystkim dyscypliny wojska regularnego. Te siły są bardzo cenione przez głównodowodzącego gen. Miaja, który żartobliwie nazywa ich „murarzami”, promuje ich i docenia podczas formowania armii ludowej. Mera, który nie miał żadnego doświadczenia wojskowego przed wojną, bez studiów jakie miał Taglena, Lister, czy Modesto, bez bycia zawodowym oficerem jak Galan, czy Casado dostaje teraz dowództwo nad sformowaną z anarchistów 14. dywizją. Biorą udział w bitwie pod Guadalajarą w dniach 15-18 marca 1937. Natarcie 14. dywizji przesadza o porażce i odwrócie wło-

skich faszystów.

Nadchodzi jednak maj 1937 i komuniści postanawiają rozprawić się z antystalinowskimi marksistami z P.O.U.M. i anarchistami z CNT. Próbuje zamachu na życie Mery - bezskutecznie. Mera spotyka się potajemnie z Modestą, szefem 5. Korpusu Armii Centrum, który prosi go, by o zamachu nie dowiedzieli się gen. gen. Miaja i Prieta. Nie znamy szczegółów tej sprawy, ale jedno jest pewne, Mera wyszedł na swoje i dlatego nie ponawiano prób zamachu na jego życie.

Jakiś czas potem dostaje awans na podpułkownika. W lipcu 1937 roku jego 14. dywizja bierze udział w zaciętych walkach pod Brunete.

W październiku 1937 awansuje na szefa złożonego prawie wyłącznie z anarchistów 4. Korpusu Armii Centrum. Była to najwyższa z przyznanych dotychczas anarchistom nominacji wojskowych.

Wywołuje to zaniepokojenie i protesty komunistycznych komisarzy. Mimo wszystko jego skuteczność na froncie zostaje doceniona i w kwietniu 1938 zostaje mianowany pułkownikiem, a kilka miesięcy później dostaje awans na generała. Komuniści dokładają starań by jego osoba odeszła w cień.

Być może wiedzą o treści rozmowy między Merą a premierem Negrinem odbytą tuż przed zamachem ze strony komunistów w 1937 roku. Mera przypominał wtedy Negrinowi jak uprzednio wysłał mu informacje o zdradzie wśród wojskowych podległych partii komunistycznej. Negrin woli jednak rozmawiać o możliwych rozwiązaniach mających ratować coraz gorszą sytuację na froncie. Rozważa się stworzenie linii frontu wzdłuż Segua lub rozpoczęcie rozmów z wrogiem bez negocjatorów zagranicznych. Mera nie widzi innej możliwości niż uderzenie wszystkimi siłami w celu przełamania wszystkich frontów, aby następnie rozpocząć walkę partyzancką na tyłach wojsk Franco. Negrin nic na to nie odpowiada.

W grudniu 1938 plk. Casado rozpoczyna przygotowania do obalenia rządu Negrina przez utworzenie Junt Obrony (Junta de Defensa), do której zaprasza umiarkowanych socjalistów i rozpoczyna rozmowy z anarchistami. W 1939 roku po upadku Barcelony, anarchiści decydują się przystąpić do spisku. Celem ma być odsunięcie od władzy komunistów, uniknięcie dalszych ofiar i zawarcie honorowego pokoju. Eduardo del Val zostaje przedstawicielem CNT w Juncie.

Piątego marca 1939 Mera spotyka się z plk. Casadą w kwaterze głównej dowództwa Armii Centrum, w piwnicach Ministerstwa Finansów. Przemawia stamtąd przez radio do wszystkich Hiszpanów informując o wypowiedzeniu posłuszeństwa Negrinowi, mówi o „pokoju honorowym opartym na postulatach sprawiedliwości i braterstwa”. Zakończy mówiąc: „Jeżeli, na nieśćcieście dla wszystkich próba zawarcia pokoju zakończy się pustką niezrozumienia mówię wam również szczerze, że jesteśmy żołnierzami i takimi będziemy do końca, aż do wypełnienia roli jaką spełniamy, broniąc niepodległości Hiszpanii”. Po tym przemówieniu Negrin i jego ministrowie rozpoczynają telefoniczne negocjacje z członkami junty. Dzień później rząd Negrina podaje się do dymisji i ewakuuje się samolotami za granicę. Partia komunistyczna uznaje juntę, ale komunistyczni oficerowie decydują się odbić Madryt z rąk junty.

Od strony Prado i Alcala trzy komunistyczne korpusy, rozpoczynają swój marsz na Madryt, niedługo potem dołącza do nich pułkownik Barcelo, a następnie komendant Ortega z 5. brygadą karabinierów oraz obrońcy pozycji „Jaca” z linii frontu. Po wejściu do miasta zostają wzmocnieni przez oddziały wierne rządowi, które oblegają już ministerstwa, pocztę główną i Bank Hiszpański, zajęte przez uczestników spisku. Mera przebywa w tym czasie w budynku Ministerstwa Spraw Morskich zgodnie z decyzją Junty. Dziewiątego marca komuniści przy-

puszczają szturm na Ministerstwo Wojny wewnątrz którego przebywa Casado. Z trudem zostają odparci. Wtedy dopiero Mera decyduje się wydać rozkaz przybycia do Madrytu swego 4. Korpusu. Do rozstrzygającej bitwy między anarchistami z 13., 14. i 15. dywizji, a jednym z komunistycznych korpusów dochodzi przy moście Jarama. Komuniści zostają zdziśiatkowani i cofają się do centrum miasta. Niezwykle krwawe walki toczą się teraz na wszystkich głównych ulicach. Anarchiści biorą do niewoli dowódców dwóch komunistycznych korpusów i na miejscu ich rozstrzelują, m.in. plk. Barcelo. Na wieść o tym resztki wojsk wiernych rządowi składają broń 4. Korpusowi. Kilku-dniowa bitwa na ulicach Madrytu pochłonęła życie ponad 2 tysięcy żołnierzy. 13 marca 1939 roku jest już po wszystkim, kończy się wojna w wojnie. Casado ignoruje Merę i sam prowadzi negocjacje z Franco, które i tak nie przynoszą oczekiwanego rezultatu. Cipriano Mera będąc świadomym, że dalsza walka nie ma sensu, nie konsultując się z nikim, wydaje rozkaz swoim ludziom opuszczenia stanowisk obronnych i rozproszenia się. Wojska frankistowskie bez walki wkraczają do Madrytu. Mera zostaje wzięty do niewoli i osadzony w więzieniu. Udaje mu się jednak zbiec i wraz z czterema innymi anarchistami przedostaje się do Walencji, skąd samolotem ucieka do Oranu i Casablanki, gdzie Francuzi aresztują Merę.

W lutym 1942 roku decyzją rządu Vichy podlega ekstradycji do Hiszpanii, gdzie staje przed sądem. W 1943 zostaje skazany na śmierć, ale w związku z międzynarodowymi protestami Franco wstrzymuje wykonanie kary. W grudniu 1944 sąd zmienia wyrok na 30. lat więzienia. Po amnestii 1946 roku Mera zostaje zwolniony i wyjeżdża do Francji, by w 1947 osiąść w Paryżu. Reorganizuje CNT na wygnaniu, nawiązuje kontakty z anarchistycznym podziemiem



w Hiszpanii i stara się by agenci frankistowscy nie przenikali do CNT. Odmawia przyjęcia jakiegokolwiek materialnej pomocy od emigracyjnych organizacji antyfrankistowskich. Stwierdza, że sam chce zarobić na własne utrzymanie i wraca do kielni. Pracuje na budowach do emerytury, do połowy lat 60-tych. Umiera 24 października 1975 roku. Rok później ukazują się drukiem jego pamiętniki. Z kolei dziennikarz Joan Llach wydaje w Barcelonie w 1977 książkę „Cipriano Mera - anarchista wojny domowej”. Działalność Mery zostaje opisana również w książce „Generałowie Ludu”.



Abramowszczyzna
27-28 września 2002
spotkanie środowisk wolnościowych na Rozbracie
www.rozbrat.org



Towarzystwo Interwencji Kryzysowej oraz
krakowska filia
Centrum Praw Kobiet

poszukuje osób zainteresowanych współpracą z powyższymi. Obok działań typowo pomocowych organizujemy imprezy, spotkania, dyskusje, happeningi dotyczące problematyki praw człowieka, grup dyskryminowanych itp. Jesteśmy gotowi negocjować w zasadzie każdy pomysł na nową aktywność.

Kontakt:

Beata Zadumińska tel. #12-4311994
e-mail: zaduminska@indyw.org, most.pl



Ostatnia wolność

Uważam w ogóle, że ludzie za- nadto boją się w naszych cza- sach śmierci, a za mało kiep- skiego życia

Bertold Brecht

W końcu marca bieżącego roku obywatel- ka Wielkiej Brytanii Diana Pretty, cierpiąca na postępujący zanik mięśni zeznawała przed Trybunałem Europejskim w Strassbur- gu domagając się prawa do skrócenia swo- ich cierpień. Wcześniej przed sądem bry- tyjskim przegrała.

Nie zamierzam zagłębiać się w kwestie prawnicze. Wystarczy odnotować, że jest kilka państw na świecie, w których eutana- zja jest legalna lub tolerowana przez wła- dze (Holandia, Belgia, Szwajcaria, Kolum- bia i stan Oregon w USA). Z pewnością łat- wo jest wydawać opinie i zastanawiać się nad odpowiednimi rozwiązaniami, gdy pro- blem nas bezpośrednio nie dotyczy. Gorzej jest natomiast, gdy znajdziemy się w obli- czu ekstremalnej sytuacji, jak na przykład nie kończące się tortury. Zbyt łatwo wydają opinię ci, którzy żywią zaufanie do instytucji państwowych i utrzymują, że należy decy- dować za wszystkich ludzi, także w tak oso- bistej kwestii, co jest słuszne, a co nie.

Zanim ktoś uzna, że legalizacja eutanazji jest ekstremalnie okrutnym rozwiązaniem problemu, winien choć przez chwilę zasta- nowić się nad akceptowanymi dzisiaj zasa- dami postępowania z nieuleczalnie chory- mi. W przypadku, gdy stan chorego okazu- je się nieodwracalnie ostateczny, stosuje się w szpitalach tę najbardziej godną dla pacjen- ta metodę, którą jest podawanie morfiny, znanej chyba od wieków (mimo, że w ostat- ních dziesięcioleciach nauka poczyniła nie- bywałe postępy). Oczywiście, został ulep- szony sposób preparowania morfiny, moż- na też podawać inne środki przeciwbólowe. W rzeczywistości morfina nie służy tylko jako środek uśmierzający ból fizyczny, Działa

również na sferę psychiczną, wprowadzając pacjenta w stan przyjemnego zamrocze- nia i odprężenia. Jeśli więc uznamy, że cia- ło i psychika oraz odpowiadające im cier- pieniu - fizyczne i psychiczne - są nieroze- rwalnie związane w jedną całość określaną jako istota ludzka, okaże się, iż morfina w pewnym sensie pomaga także leczyć. Sło- wo leczyć nie zawsze musi być użyte w zna- czeniu - doprowadzić do wyzdrowienia (spo- kojnie, nie myślę tutaj o aplikowaniu pacjen- tom pavulon!). Morfina leczy „duszę”, po- nieważ razem z bólem fizycznym niweluje udrękę nim spowodowaną oraz odrywa od rzeczywistości w sposób wystarczający na chwilowe uwolnienie się od cierpienia i strachu jaki mu towarzyszy (możemy podziwiać Freuda, że potrafił odmówić przyjęcia mor- finy, aby nie tracić jasności umysłu nawet w czasie przedśmiertnych męczarni, ale nie możemy wymagać podobnego heroizmu od wszystkich ludzi). Idąc dalej tym tropem, można uznać, iż morfina dystansuje chore- go od jego nieszczęsnej sytuacji, stając się swoistym przedpokojem śmierci, przynaj- mniej na kilka godzin w ciągu doby. Ponadto należałoby wspomnieć, iż w takich przy- padkach, wraz z upływem czasu zwiększa się dawki tego środka. Efektem ubocznym jest wtedy możliwość zablokowania ośrodków nerwowych odpowiedzialnych za oddy- chanie, a zatem doprowadzenie do zgonu. Pacjent, któremu podawane są sukcesyw- nie rosnące dawki morfiny, przestaje wresz- cie cierpieć, czy chodzi o śmierć naturalną, czy też o jej przyspieszenie na skutek przy- mowania leków. Również w przypadku przy- mowania pewnych leków antynowotworo- wych niezwykle toksycznych, ale uznawa- nych za jedyne środki leczenia w danym momencie, efekt może być ten sam. Nie- rzadko odbywa się to za aprobatą chorego i jego rodziny, w pełni świadomych konse- kwencji takiej terapii.

Należałoby zapytać, gdzie leży wobec tego problem z legalizacją eutanazji? Przynaj- mniej z praktycznego punktu widzenia rzu-

ca się w oczy fakt, iż problemy i wszelkie zawłości rozpoczynają się w momencie, gdy instytucje zabierają się do uregulowania prawnego sprawy. Nie może być inaczej. Społeczeństwo kapitalistyczne jest zbyt in- fantylne, dostrzega tylko to co młode, zgrab- ne, zdolne do regeneracji, przyjemne i nie wymagające zbyt wiele refleksji własnej. Brakuje mu zdolności do stawienia czoła poważniejszym wyzwaniom, na przykład nieuniknionej śmierci. W ten sposób pozo- stawia się to zadanie różnego rodzaju reli- giom, które z definicji holdują irracjonalne- mu myśleniu o życiu i śmierci. Rezultat jest taki, że najgłośniejsza staje się postawa przyjęta w błyskawicznym tempie przez ko- ściół katolicki. Razi ona ubóstwem ideolo- gicznym przemieszonym z okrucieństwem. Współcześnie hierarchowie katolicycy nie mają najmniejszych wątpliwości, co powi- nien myśleć na ten temat człowiek miłujący Boga. Nie zawsze tak było. Nie kto inny, jak uznany za świętego w 1935 roku Thomas More w swej „Utopii” (1516) uważał samo- bójstwo za najlepszą obronę przed zniedo- leżnieniem. Wtórował mu Antonio de Gu- evara, biskup Kadyksu, w dziele „El relox de principes” (Zegar książąt) z 1529 roku proponując, by dla uniknięcia zgrzybłości zadawał sobie śmierć każdy, kto ukończy lat pięćdziesiąt. Inna sprawa, że większość kapłanów wszelkich religii była i jest prze- ciwna temu, by ludzie sami decydowali o czasie trwania własnych męczarni ziem- skich. Ci sami księża z wielkim zapalem bło- gosławiają natomiast zabijanie innych ludzi, których uznali za wrogów państwa, Boga czy społeczeństwa. Wychodzi na to, że ateści są zdecydowanie bardziej przyjaźni życiu ludzkiemu. Nie wiemy jednak co może nas uchronić przed nieporadnymi i zbyt skrajny- mi postawami w odniesieniu do tej kwestii. Odwołanie się do autorytetu nauki może być zawodne, nie istnieje żadna szkoła, uniwer- sytet ani instytucja, która uważałaby za istot- ne przygotować do zajęcia odpowiedniego stanowiska w tej sprawie. Drobne niepokoj- e możemy próbować zagłuszyć żelaznymi zasadami logiki, wedle których: „Śmierć, naj- straszniejsze z nieszczęść, wcale nas nie dotyczy, by gdy my istniejemy, śmierć jest nieobecna, a gdy tylko śmierć się pojawi, wtedy nas już nie ma. Wobec tego śmierć nie ma żadnego związku ani z żywymi, ani z umarłymi, tamtych nie dotyczy, a ci już nie istnieją.” Wracając do tych, którzy wciąż są żywi, należy podkreślić, że odmawianie ko- mukołwiek prawa własności swego ciała jest równoznaczne z odebraniem tej osobie zna- mion istoty rozumnej. Wiadomo zaś, że wła- sność oznacza wyłączną władzę dyspono- wania swym majątkiem. To, że akurat ktoś utracił fizyczną sprawność, nie jest żadnym argumentem za ubezwłasnowolnieniem jego osoby. Obezwładniona chorobą osoba ma prawo oczekiwać, że pozwolimy jej na sa- modzielną decyzję - czy chce kontynuować bezużyteczne cierpienie, czy też woli umrzeć z godnością.

Karolina Mańkiewicz

Doły zjednoczone!

Obchody 46 rocznicy Poznańskiego Czerwca

O godz. 14.15 przed bramą główną zakładów im. Hipolita Cegielskiego w Poznaniu rozpoczęła się wyciem syreny zakładowej uroczystość upamiętniająca 46 rocznicę Wystąpień Poznańskich



Czerwca '56 zorganizowana przez Solidarność i Związki Kombatanckie i przy udziale gości z Urzędu Miasta i Urzędu Wojewódzkiego. W uroczysty ton obchodów wdarł się autentyczny i aktualny głos żywych „Pracy, Placy i Chleba!”

widniejący na transparentach setek przybyłych związkowców i pracowników H.C.P., zakładów współpracujących z „Ceglarzem”, jak i zakładów z regionu i z terenu całej Polski. Po raz pierwszy obchody zostały połączone z marszem protestu zainicjowanym przez lokalne porozumienie i wspólną działalność Związku zawodowych: Solidarności'80, Inicjatywy Pracowniczej, Federacji Anarchistycznej i Konfederacji Pracy, które w tych trudnych chwilach postanowiły przejść nad różnicami i zjednoczyć się we wspólnej walce i akcjach solidarnościowych docierając i współpracując z dołami związkowymi.

Siła tego porozumienia, jak i autentyczna związkowa postawa uczestników Solidarności'80 w zakładzie H.Cegielskiego zmusiła organizatorów - „Solidarność” - do potraktowania obchodów jako Solidarnościowego Protestu Pracowniczego. Na tym tle błado wypadły

zarówno miny jak i wiązanki składanych kwiatów przez miejskich i wojewódzkich notabli, którzy po złożeniu wiązanek salwowali się szybkim odwołaniem. Trochę też w tym wszystkim pogubił się przewodniczący „Solidarności”, który po wygłoszeniu przemówienia „niechcą” wyłączył nagłośnienie wywołanym przez zgromadzonych

przedstawicieli Solidarności'80 i Inicjatywy Pracowniczej. Mimo tych drobnych usterek związkowcy przy aplauzie zgromadzonych przedstawicieli załóg i mieszkańców wygłosili odezwy Solidarnościowe z własnego sprzętu nagłaśniającego. Następnie nad robotniczymi ulicami poznańskiej Wildy, z garded 1000-1500 osobowego przemarszu, pod związkowymi emblematami, białoczerwonymi i czarno-czerwonymi flagami rozniósł się skandowane „Pracy, i chleba!”, „Zamknąć Rząd nie zakłady”, „Za-

trudnienia nie zwolnienia”, „Rząd do roboty za 600 złotych”, „Wolność, Równość, Pomoc Wzajemna”, „Samorządna Rzeczpospolita”, „Zwolnić zarządy, niech żyją samorządy”, „Nysa, Ożarów, Szczecin, Poznań”.

Łapy precz od kodeksu pracy”, „To nie zabawa, to związkowa sprawa”, „Międzyzwiązkowa solidarność!”, „Zakłady pracy w ręce pracowników”, „Jeden za wszystkich, Wszyscy za Jednego”. Po godzinie pochód cały czas skandując przybył pod pomnik Poznańskiego Czerwca, całą drogę towarzyszyły mu pozdrowienia i okłaski przechodniów i mieszkańców Wildy, którzy podchwytywali hasła. Mimo początkowej niechęci i bojaźni podczas marszu spontanicznie przyłączyli się do aktywnego uczestnictwa związkowcy z Solidarności, ZZ „Metalowiec” z OPZZ, ZZ Inżynierów i Techników.

Był to pierwszy od wielu lat tak duży protest związkowy i pierwszy w którym uczestniczyli ramię w ramię ludzie dotychczas podzieleni ogólnymi wytycznymi central i układami partyjnymi, walką o stółki wpływy. Po raz pierwszy doły się zjednoczyły i poczuły, że powinny i mogą być razem. Pod pomnikiem Czerwca ponownie złożono kwiaty, a przewodniczący „Solidarności” łamiącym się głosem ze wzruszenia podziękował wszystkim uczestnikom, również anarchistom i wezwał do dalszej wspólnej walki słowami Emiliano Zapaty „Lepiej umrzeć stojąc, niż całe życie spędzić na kolanach” odpowiedział mu gromkie „Międzyzwiązkowa Solidarność!”.

Po tym uczestnicy Inicjatywy Pracowniczej i Solidarności'80 na zaproszenie Związku Kombatanckich Czerwca'56 udali się pod tablice z nazwiskami 70 zabitych podczas starć i egzekucji Czerwca'56 na ulicy Kochanowskiego, gdzie do dziś dnia znajduje się główna siedziba KWP i Urzędu Ochrony Państwa gdzie w pamiętnych dniach czerwcowych doszło do najkrwawszych starć.

Jednak na miejscu zostaliśmy otoczeni przez policję i podjęto próbę legitymowania, na co zareagowali związkowcy '80 jak i przechodnie, którzy bronili anarchistów przed policjantami i bractwem części kombatanckich. Jak się okazało z tego robotniczego zrywu i społecznego buntu

władze partyjki i przedstawiciele wojewódzcy rządu w oparciu o policyjne struktury i media wymyśliли sobie, że pamięć poległych i ich sprawę kolejny raz można wykorzystać do mydlenia oczu, wyciskania pieniędzy na tworzenie nowych pomników i muzeów.

Poraz pierwszy toczy się głośno debata o kondycji i przyszłości

H.C.P. Wszyscy w Poznaniu wiedzą, że to dopiero pierwsze akordy przed sytuacją, która ma wybuchnąć lada dzień przy proponowanych zwolnieniach ok 300 osób w zakładach im. H.Cegielskiego Inicjatywa Pracownicza/Federacja Anarchistyczna sekcja Poznań.

na podstawie relacji Sławka (Szoszona), więcej info na: www.rozbrat.org



anarchiści na deskach



W kwietniu br. szczeciński teatr KANA otworzył przed anarchistami swoje podwoje. Wcześniej wystawiane były już tam prace Kaina Maya. Wiosną szczecińscy anarchiści postanowili przybliżyć idee bezpaństwowego i bezklasowego społeczeństwa organizując jedną z imprez w cyklu „Życie w Alternatywie”. Na mieście pojawiły się więc alarmujące ulotki i plakaty: „Anarchiści w KANIE!”. Budynek teatru został przystrzyżony w czarno-czerwone barwy, a jego wnętrze wypełniły hasła transparentów, ikony świętych anarchistycznych autorstwa Kaina Maya i wystawa z powojennej historii ruchu anarchistycznego w Polsce. Znalazły się więc materiały z „Marszu na Belweder”, kampanii Tama Tamini „Religia WON ze szkół”, krakowskiego kontr-bal, akcji bojkotu wyborów, protestów przeciwko eksmisjom i ekonomicznej globalizacji. Były też informacje o ostatnio powstałej Inicjatywie Pracowniczej. Na spotkanie, które otworzył Jany Waluszko wykładem „Swoją Droga - rzecz o RSA”, przybyło grubo ponad 120 osób (tyle przygotowano miejsc siedzących). Po nim Maciej Hojak opowiedział o społecznościach wolnościowych. Potem przybliżono przybyłym problem eksmisji oraz działalność Porozumienia Społecznego w Obronie Lokatorów - grupy wsparcia, oferującej pomoc osobom zagrożonym eksmisją. Werbalnie i kulinarnie zaprezentował się także kolektyw „Jedzenie zamiast Bomb”. Zakończeniem cyklu wykładów i prezentacji był film dokumentalny o Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego „Nie bój, nie bój”. Po nim rozgorzała dyskusja o historii, stosunku anarchistów do lewicy, globalizacji, internetu i wielu innych rzeczy. Całość zakończył występ jednoosobowego bendu Grześka Kmity - Brudne Dzieci Sida - po raz kolejny, zabawa przednia, no i premiera kolejnego hitu!

Organizatorzy przyznają, że zainteresowanie imprezą przerosło ich oczekiwania i pozytywnie zaskoczyło. Okazuje się, że takie zdarzenia są w stanie przyciągnąć obecnie więcej osób niż niejedna demonstracja - więc polecamy.

Targi

18-19 maja na poznańskim skłocie Rozbrat odbyły się **Pierwsze Targi Prasy i Literatury Anarchistycznej**. Przybyło około 20 wystawców z Polski, Czech, Rosji, Litwy, Białorusi, Niemiec. Wspólnemu spotkaniu wydawców i czytelników towarzyszyły wykłady nt. globalizacji ekonomicznej, historii anarchistycznego ruchu wydawniczego w Polsce od lat osiemdziesiątych XX w. do dziś, a także projekcje filmów (m.in. *Tak wygląda demokracja* o demonstracjach w Seattle w 1999 roku). Odbył się także wernisaż kolaży jednego z rozbratowych *tifurów*. Swoje pięć minut mieli także rewolucyjni poeci i pieśniarze. Zabrakło jednak autorów największego anarchistycznego magazynu *Mać Pariadka* i kilku innych zaproszonych gości - szkoda, bo mogliby służyć swym doświadczeniem podczas dyskusji na temat możliwości i kierunku rozwoju wolnościowego ruchu wydawniczego. Z głosów obecnych wynikało, iż powstanie niezależnej spółdzielczej drukarni przyniosłoby ruchowi alternatywnemu nieocenione korzyści. Kto tego się podejmie - pozostaje kwestią otwartą. Organizatorzy zapowiadają, że targi mają stać się imprezą cykliczną.



W Krakowie od pewnego czasu toczy się walka o Sikornik - zielony teren miasta, niegdyś należący do Zespołu Jurajskich Parków Krajobrazowych, położony nieopodal Kopca Kościuszki. Łapczywość niektórych prominentów krakowskich doprowadziła w 1993 r. do przekwalifikowania terenów rekreacyjnych na budowlane. Protestowali niemal wszyscy: mieszkańcy, zieloni, parki krajobrazowe i główny geolog Krakowa. Kolejne wyroki NSA: z 1994 - uznający uchwałę Rady Miasta zmieniającą przeznaczenie terenu na budowlany i z 2002 - określający, od którego momentu budowa jest nielegalna - nie przyniosły żadnego efektu.

Niedawno mieszkańcy zwrócili się z prośbą do sekcji krakowskiej Federacji Anarchistycznej o pomoc. 12 czerwca uczestnicy i sympatycy FA przeprowadzili pikietę pod Magistratem, po kilkunastu minutach przeniesli się na salę posiedzeń RM, gdzie rozrzucili ulotki i własnym sprzętem nagłaśniającym poinformowali radnych o powodzie wizyty. Zostali wyprowadzeni z sali przez policję i straż miejską. Następnego dnia odbyła się blokada nielegalnej budowy, w której uczestniczyło ok. 50. osób. „Stróża prawa” brutalnie zaczęli rozbijać blokadę, zatrzymując 24 osoby. Jedna z kobiet ciągnięta po ziemi została poturbowana (złożyła ona wniosek o popełnienie przestępstwa przez policję). Wśród zatrzymanych znalazł się jeden z okolicznych mieszkańców, a także jeden dziennikarz. Anarchiści nie dali za wygraną i przeprowadzili w krótkim czasie kolejną blokadę i zapowiadają dalsze akcje, aż do spełnienia poniższych żądań:

1. Wykonanie wyroku NSA i przywrócenia rekreacyjnego charakteru Sikornika.
2. Zatrzymania wszelkich prac budowlanych na spornym terenie do czasu podjęcia decyzji o rozbiórce nielegalnej inwestycji.
3. Ukarań bez względu na zajmowaną pozycję urzędników odpowiedzialnych za ten skandal.

blokada

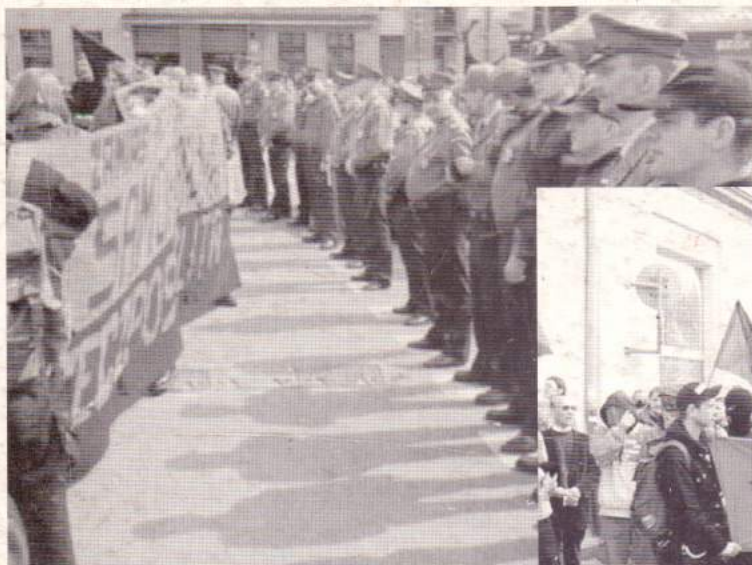
**zero tolerancji dla bezprawia
w Magistracie**

**oni niszczą
Twoje
miasto**

**RATUJMY
SIKORNIK
PRZED
GOŁASIEM
... spółka**



więcej info: www.fakrakow.most.org.pl



1 maja

To Święto nie jest własnością SLD.

...Przez całe lata osiemdziesiąte dziesiątki rozbijanych przez milicję niezależnych pochodów było tego najlepszym przykładem. Dla nas 1 maja...



...to dzień tych, którzy mają odwagę powiedzieć NIE! Pozostawienie rządzących poza kontrolą i krytyką społeczną prowadzi do jeszcze większego wyalienowania władzy i jeszcze większej jej degeneracji...

1 maja to znakomita okazja, by wypowiedzieć zarzuty pod adresem elit politycznych, by ostrzec je przed dalszym ignorowaniem społeczeństwa.



Słupsk 2002